

SIECI

MACIEJ WĄSIK:
DLA CBA NIE MA ŚWIĘTYCH KRÓW,
WIĘC ATAKUJĄ NAS CZARNYM PR

POLITYCZNE GRY:
SZACH-MAT KACZYŃSKIEGO,
TAJNY PLAN TUSKA

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

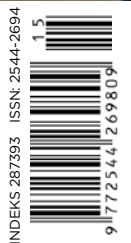
Nr 15 (280) 2018
9-15 kwietnia

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

MARTA KACZYŃSKA

PRAWDA ZAWSZE ZWYCIĘŻY

PORUSZAJĄCA ROZMOWA O **SMOLEŃSKU**,
KTÓREGO WSPOMNIENIE WCIĄŻ BOLI,
O **RODZICACH**, KTÓRYCH TAK BARDZO BRAKUJE,
I O WSPARCIU ZE STRONY **JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO**



Na wiosnę dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:

na **1** miesiąc

~~19,99 zł~~ **tylko 9,99 zł**



książka
o wartości
44,90 zł

na **6** miesięcy

89,99 zł + prezent!

na **12** miesięcy

159,99 zł + prezent!

koszulka
RED IS BAD™
o wartości 103 zł



biała lub czarna do wyboru

www.SiećPrzyjaciół.pl

Szach i mat

Prawo i Sprawiedliwość miało problem z wytłumaczeniem opinii publicznej, dlaczego ministrowie ustępującego rządu Beaty Szydło otrzymali nagrody. Wszystko dlatego, że PiS wygrało wybory jako formacja politycznych ascetów – ludzi, których misją jest naprawa państwa, a nie napychanie sobie portfeli. Premie wywołały więc zgrzyt. Nic dziwnego, że opozycja podchwyciła nadarżającą się okazję i rozdmuchała sprawę nagród do niebywałych rozmiarów. Nastąpiło wahnięcie PiS w sondażach, które z pewnością można wiązać z ministerialnymi premiami.

W ubiegły czwartek antypisowska ofensywa została zatrzymana. Jarosław Kaczyński mistrzowsko odrzucił piłeczkę na stronę opozycji. A przy okazji obnażył niesłychaną wręcz hipokryzję swoich krytyków. Jeszcze przed jego konferencją w najlepsze rozkręcała się akcja pod hasłem: „PiS, oddaj kasę”. A gdy tylko Kaczyński zapowiedział, że ministrowie oddadzą nagrody, a przy okazji obniżone zostaną diety poselskie, nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozpoczął się lament, że to przecież nie o to chodziło, że to straszny populizm.

Populizm? Może i tak. Ale to przede wszystkim odpowiedź na nakręconą do granic absurdu znacznie bardziej populistyczną akcję opozycji. Czwartkowa decyzja PiS nie rozwiązuje problemu wynagrodzeń dla urzędników (sam od dawna uważam, że powinny być na tyle wysokie, aby nie

opłacało się uciekać do prywatnego biznesu czy – co znacznie gorsze – brać łapówek), ale przecież opozycji nie chodziło o jakiegokolwiek rozwiązania systemowe. A skoro krytycy PiS tak bardzo domagali się skromności w polityce, to teraz mają ją zagwarantowaną. Dzięki obniżkom diet poselskich i samorządowych. Cóż, kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Oczywiście szkoda, że nie dało się tego załatwić w inny sposób. Że w ogniu politycznej wojny uciekł z pola widzenia ważny problem wynagrodzeń urzędników publicznych. Bo powinno to być pole wspólnych ustaleń władzy i opozycji, chodzi przecież o jakość państwa, a tej nie da się zagwarantować bez odpowiednich środków. Opozycja – jak zwykle – wybrała jednak inną drogę, zamiast debaty urządzono wścieklą nagonkę. Problem w tym, że w starciu z Jarosławem Kaczyńskim opozycja w tej akurat kwestii stoi na z góry przegranej pozycji. Prezes PiS nigdy nie przywiązywał wagi do spraw materialnych i trudno go uderzyć z tej strony.

Zapowiedź obniżki diet zabolęła posłów. Ale najbardziej tych z opozycji. Bo oto rozpoczął się lament, że to niezasłużona kara za „pazerność ministrów”, że trzeba pilnować standardów etycznych itd.

Panie i panowie z opozycji, sami tego chcieliście, więc nie pogrążajcie się już bardziej.

Konrad Kołodziejewski




46

**Zbrodnie
poza rubrykami**
Maja Narbutt


60

Spór o WRON
Jan Rokita


71

**Z minister finansów
Teresą Czerwińską
rozmawiają**
*Michał Karnowski
i Maciej Wośko*

NA POZĄTEK

- 6** **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski
- 8** **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
- 9** **POWRÓT „TEFLONA”**
Krzysztof Feusette
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 12** **PINIENDZY NI MA**
Jan Pietrzak
- 13** **KTO DECYDUJE
O KONSTYTUCYJNOŚCI**
Bronisław Wildstein
- 15** **JAK DROGOWSKAZ**
Marta Kaczyńska
- 16** **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Kosiewicz
- 17** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18** **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20** **Z MARTĄ KACZYŃSKĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

- 28** **Z MACIEJEM WĄSIKIEM**
rozmawiają Jacek Karnowski
i Wojciech Biedroń
- 34** **PLAN TUSKA**
Stanisław Janecki
- 38** **NASTĘPCY GROSSA**
Konrad Kołodziejowski
- 41** **WYJŚCIE BEZ WYJŚCIA**
Piotr Skwieciński
- 44** **KRĘTA DROGA DO REFORMY
SZKOLNICTWA**
Wojciech Biedroń
- 46** **ZBRODNI POZA RUBRYKAMI**
Maja Narbutt

SIECI KULTURY

- 49** **BOŻENA DYKIEL I MIECZYSLAW
HRYNIEWICZ: WIELE NAS ŁĄCZY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 52** **„DZIADY” DEJMKA:
ODKRYWAMY TAJEMNICĘ**
Piotr Zaremba
- 54** **ZIMERMAN W BRAWUROWYM
BLUESIE**
Adam Ciesielski
- 55** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

- 56** **CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**

Wojciech Stanisławski

- 58** **POLECA I ODRADZA**

Łukasz Adamski

OPINIE

- 60** **SPÓR O WRON**
Jan Rokita
- 62** **KOŚCIÓŁ, PAMIĘĆ I HOLOKAUST**
ks. Andrzej Kobylński

HISTORIA

- 65** **UKRAIŃSKA WOJNA JARUZELSKIEGO**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

- 68** **GALOP POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI**
Krzysztof Tyszcza-Drozdowski

GOSPODARKA

- 71** **Z PROF. TERESĄ CZERWIŃSKĄ**
rozmawiają Michał Karnowski
i Maciej Wośko
- 74** **EKOLOGIA KONTRA RYNEK**
Jadwiga Marcińska

NATURA DLA LUDZI

- 82** **100 TYS. DZIKICH GĘSI**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 84** **MOJE SMAKI:
JOANNA JABŁCZYŃSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85** **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

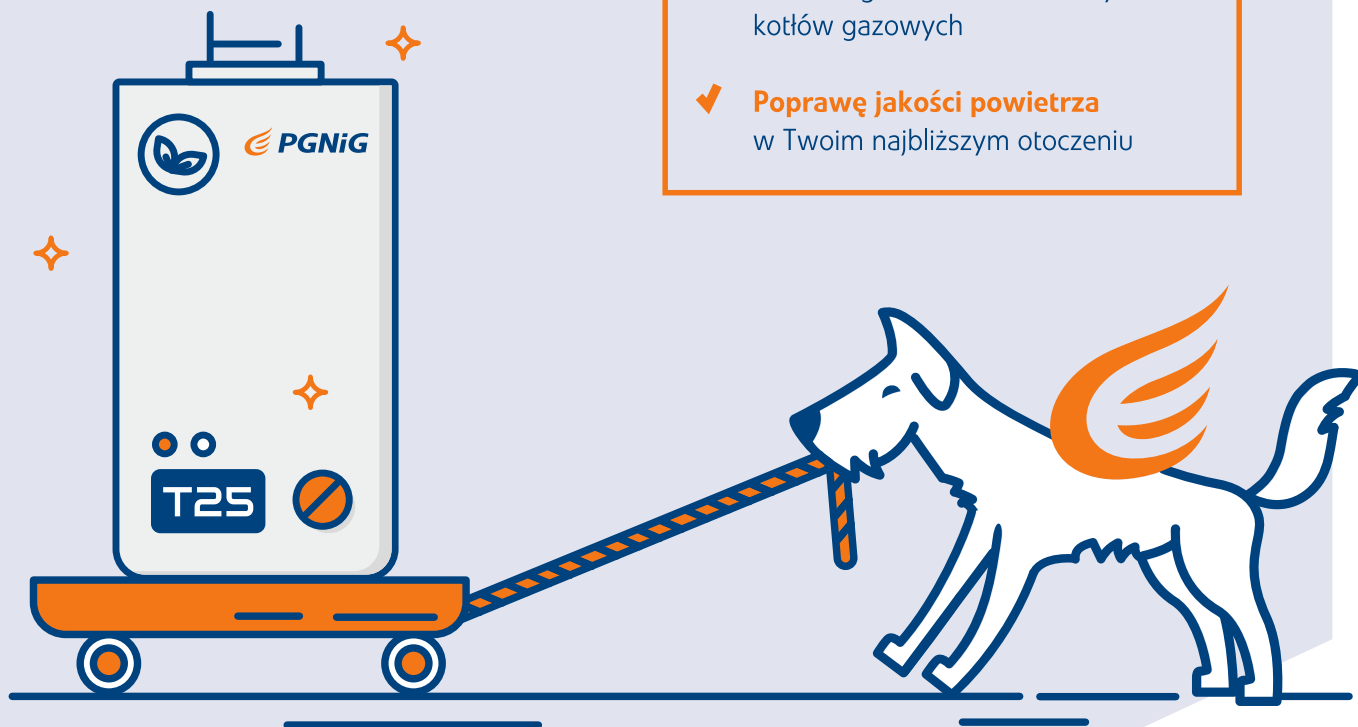
- 86** **RĘCZNIKI KRZYŻOWCÓW**
Piotr Skwieciński
- 87** **DOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 88** **SCHRÖDER, MERKEL, KONTYNUACJA**
Dariusz Karłowicz
- 90** **O UPADŁYM DZIENNIKARSTWIE**
Wojciech Reszczyński
- 91** **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92** **KOMUNOPOL**
Wiktor Świetlik
- 93** **PRZYPowieŚĆ**
Aleksander Nalaskowski
- 94** **GŁUCHOTA WIEKU ŚREDNIEGO**
Robert Mazurek
- 95** **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 98** **NARÓD NIE WYBACZY**
Andrzej i Katarzyna Zybortowiczowie

Bądź EKO i oszczędzaj

Wymień stary piec
na nowy kocioł gazowy.
Możesz **zaoszczędzić**
nawet do **3000 ZŁ**

CO ZYSKUJESZ?

- ✓ Możliwość dofinansowania zakupu pieca gazowego nawet do **3000 zł**
- ✓ **Nowoczesny i ekologiczny** sposób na ogrzewanie Twojego domu
- ✓ **Wygodę i bezpieczeństwo** dzięki bezobsługowości nowoczesnych kotłów gazowych
- ✓ **Poprawę jakości powietrza** w Twoim najbliższym otoczeniu



Oferta ograniczona czasowo. Kwota dofinansowania 3000 zł dla maksymalnie 1 tysiąca Klientów posiadających Kartę Dużej Rodziny oraz 1000 zł dla maksymalnie 10 tysięcy Klientów. Regulamin oferty promocyjnej „Dofinansowanie nawet do 3000 zł” dostępny jest na stronie www.pgnig.pl oraz w **Biurach Obsługi Klienta**.

Z życia koalicji



No i **Kaczafi** wyrócił stolik. Najpierw poszło hasło: wszyscy bronimy premii i pokazujemy pazurki, ale jak się okazało, że nic z tego, publika nadal uważa, że PiS przegięło, więc odwrót. Przy okazji pan Jarosław zrobił panią Beatę w balona, mówiąc, że o pazurkach to wcale nie mówił i w ogóle to może i zachęcał, ale tak jakby nie zachęcał. Współczujemy, ale niech się pani pocieszy, że pani to nie zaszkodzi, a Gowinowi nie będzie teraz starczało do piętnastego.

Miesiąc później niż planowano (i pisaliśmy), bo od 1 kwietnia, wiceministrem spraw zagranicznych został nasz stary kumpel Andrzej Papierz. Taki papież, ale przez rz. Papa – jak nazywają go znajomi – tylko ksywkę ma taką miłusińską, bo zasadniczo to pistolet jest. Zastanawia nas tylko, czemu ma się on marnować w MSZ na odcinku Polonii? My byśmy go widzieli na froncie rosyjskim. Wrak wykradłby nocą osobiście i jeszcze napisał „Путин хуй” na murach Kremla. A jakby się zorientował, że z błędem, to następnej nocy poprawiłby na „Путин хер”.

W każdym razie pistolet Papierz zastąpił ciepłe kluchy Dziedziczaka. I my tu mamy pewien kłopot, bo nie chcemy o Janku pisać źle, wystarczy, że i tak bojący jest, ale kpili z niego w Gmachu (tak w żargonie dyplomatycznym mówi się na siedzibę MSZ) niemilosierdzie, że to jedyny wiceminister, który nie zna angielskiego, dlatego rzucono go na odcinek Polonii. Hm, może i nie zna angielskiego, ale zna Kaczora, a to do kariery w MSZ wystarcza.



Angielski zna za to **Anna Maria Anders**, i to pewnie lepiej niż polski, ale i tak się jej czepiają. Wyszło na to, że w ciągu dwóch lat wylatała ponad 600 tys. zł, głównie do Stanów, gdzie mieszka. Sorry, ale taki Sikorski (kiedyś) czy Andruszkiewicz (teraz) to na kilometrówki wydali tyle, że dystansem Hermaszewskiego zawstydzili, a tu się kobiety czepiają, wstyd.

Zasadniczo tego się można było spodziewać. Po tym jak Andrzej Duda zawetował ustawę degradującą Jaruzela, Kiszczaka i pomniejszych komuchów, oczekiwano ryku oburzenia zawiedzionych pisowców, ale nikt nie przypuszczał, że pierwszy do szarży ruszy on, Pierwszy Kirasjer Rzeczypospolitej Marek Suski herbu Suski. Minister kirasjer zapowiedział, że na Dudę więcej nie zagłasuje, potem nieco się ulitował i powiedział, że tamten będzie się musiał o głos Eksceleencji Ministra postarać. Ale po co, panie Marku kochany?! My osobiście zgłaszamy się na wolontariuszy kampanii #Suski2020, którą niniejszym uznajemy za oficjalnie otwartą.



Oburzył się też, a jakże, wciąż obrażony za to, że zabrano mu zabawkę, **Antek Macierewicz**, który uznał, że Duda stanął po stronie WRON, że to generalnie szczyl, który nic nie rozumie, ale cofnął nas do czasów Magdalenki. Do Magdalenki?! Panie Antoni, toż to Sejm Niemy albo i Głuchy (proszę to z panem Petru ustalić). A panu pozostanie teraz stanięcie na czele sztabu kampanii #Suski2020.

Dopiero teraz to do nas dotarło, że poseł klubu PiS, choć nieprawomyślny, bo gowinowiec, Marek Zagórski dopuścił się świętokradstwa. Serio, rzućcie okiem na jego profil sejmowy w internecie. Tam na dole jest rubryka „zawód”. I wiecie, co napisał Zagórski? „Prezes”. A pani Zagórska mówi koleżankom: „Mój mąż z zawodu jest prezesem”?



Mazurka

Z życia opozycji



No ładnie. Ledwo napisaliśmy, że **Kazimierz Michał Ujazdowski** może kandydować na prezydenta Wrocławia, a już go poparł Grzegorz Schetyna. Czyli Budyń będzie wspólnym kandydatem PO i DO. Czyli Doktor Oetkera. Ciekawa koalicja.

Ujazdowski jest jednak, jakimś cudem, postacią kontrowersyjną. Na znak protestu przeciwko poparciu przez PO kandydata fundamentalistycznego, a może i faszystowskiego najostrzej zareagował Tomasz Władimirowicz Cimoszewicz. Facet przejął się nie na żarty, bo w geście protestu zrezygnował ze stanowiska wiceministra ochrony środowiska w gabinecie cieni PO. Paradne, nieprawdaz?

Ale fakt, że z tym Ujazdowskim to straszne. Z oburzeniem zagulgotały również środowiska LGBT, dla których Doktor Oetker to

homofob. W tej sytuacji nie mamy wyjścia i dołączamy do protestu. Ogłaszamy, że rezygnujemy z noszenia kapci w domu. Ale tylko do weekendu majowego, bo nie chcemy brnąć w nieokiełznany radykalizm.

A w ogóle to zupełnie zapomnieliśmy, że młody Cimoszewicz jest w PO. A że był wiceministrem ochrony środowiska w gabinecie cieni to – przyznajemy się bez bicia – nie mieliśmy zielonego pojęcia. Ale teraz mamy i w reakcji na to wydymamy wzdrygnięte wargi, wydając przy tym mniej więcej taki dźwięk: pfff...



Grzechu Schetyna ma jednak poważniejsze kłopoty niż rezygnacja jakiegoś postkomunistycznego synalka. Oto bowiem Bronisław Komorowski zgłosił chęć kandydowania w wyborach do europarlamentu. Dziwne to dosyć. Dla byłego prezydenta to spory despekt, ale widać sam Pą Prezydą nie uważa się za zbyt. Trudno go nie rozumieć.



W każdym razie **Komorowski Bronisław** chce się upokorzyć i startować. Ale jeśli już, to z najbardziej prestiżowego miejsca w tych wyborach. Czyli domaga się od Schetajedynki w Warszawie. Sęk w tym, że Schet to miejsce już obiecał komu innemu. Konkretnie Ewie Kopacz w zamian za to, że gdy rozprawiał się z Miśkami Kamińskimi, Niesiołowskimi i innymi dziwolągami, Kopacz obiecała mu, że nie będzie brykać. I faktycznie, Królowa Polskiej Komedii odpuściła, poświęciła swoich, przestała knuć i zajęła się tym, w czym jest najlepsza. Czyli oddychaniem.

Czeka nas zatem cudownie komiczny pojedynek o jedynkę na liście warszawskiej: z jednej strony Królowa Polskiej Komedii, z drugiej Pą Prezydą, który jest wręcz wykapanym inspektorem Clouseau. Czujemy, że przed nami sporo gagów.

A Schet chciałby Komorowskiego ulokować na liście mazowieckiej. Bronek uważa, że to miejsce niegodne byłego prezydenta. No dlaczego? Radom, naszym zdaniem, to idealne miejsce dla Komorowskiego.

Tymczasem w Szczecinie pojawiły się już billboardy Sławomira Nitrasa, który jest oficjalnym kandydatem na prezydenta tego znanego miasta. Na plakacie jest Nitras, szczęśliwy jakby coś właśnie zażył, oraz hasło: „Wspólnie. Szczecin. Nitras. Pomoc”. A dlaczego nie: „Dziobak. Sławek. Kluski. Tupać”. Nie dość, że lepiej brzmi, to ma więcej sensu.



TYGODNIA

Zalawskiego

Nieoficjalny przegląd tygodnia

Po tym, jak Jarosław Kaczyński ogłosił, że **ministrowie mają zwrócić premie i nagrody**, pewne jest jedno: zabrają banki. Bo wielu pieniądze już wydało: na remont, na samochód, na działeczkę. Więc teraz pechowcy muszą wziąć kredyt, żeby wpłacić na Caritas. Niektórzy nie ukrywają żalu. „Chcieliście twardej reakcji, to ją macie. Pozdrowienia od żony nauczycielki i moich dzieci” – piszą w esemesach, także do Sygnalisty. Choć akurat on niewinny.

Na tle biznesu czy największych mediów **zarobki posłów bywają śmiesznie niskie**. Ale jest i druga strona medalu: wielu posłów „w cywilu” na te mniej więcej 10 tys. liczyć by nie mogło. Inna sprawa, że poseł musi się ubrać, że oczekuje się, iż to on zapłaci w knajpie, że rzuci stówkę czy dwie na cel charytatywny. Po paru latach na trzech biedronkowych pensjach nawet największy idealista zaczyna marzyć albo o przejściu do spółki skarbu państwa, albo o wyjeździe do Brukseli.

Kto jak kto, ale **Jarosław Kaczyński wie**, że przy takich zarobkach elity politycznej nie będzie poważnego państwa. Ale prezes jest nie tylko teoretykiem, lecz i politykiem walczącym o utrzymanie władzy. Zawistował wysoko i bardzo celnie. Istota sprawy jest prosta: skoro tak gracie, to nie tylko nie będzie podwyżek, lecz będą też obniżki. I zobaczmy, kto pierwszy padnie.

Opozycję zatkało, ale tylko na chwilę. Michał Kamiński zaproponował, by „pensja poselska była równa średniej krajowej”. W tym boju zdecydują zasoby. To może potrwać, bo – jak widzimy na przykładzie Ukrainy – zawsze znajdują się bogate osoby, które opłacą posłów w zastępstwie państwa. W razie potrzeby także ich wybiorą w zastępstwie ludzi.

Zanim nastąpi rozstrzygnięcie, tłuste misie z bogatych mediów (media prawicowe nie są bogate, bo wciąż mają pełną blokadę w domach mediowych oraz w wielkim biznesie, i dostają dużo mniej komercyjnych reklam) rozliczą dobrą zmianę z każdej złotóweczki. A przy okazji jeszcze śmiejel będą udawały „opinię publiczną”. Ten fundament III RP znów zaczyna dyktować warunki.

Słynny „San Escobar” być może przyniósł ministrowi Waszczykowskiemu dymisję, ale dał mu też sukces w prestiżowym plebiscycie radiowej Trójki „Srebrne usta”. „Czekaliśmy bardziej na wyróżnienie z Towarzystwa Geograficznego. Nie nadeszło” – dowcipnie spuentował minister, wyluzowany i jakby nieco szczuplejszy. Widać, że wygnanie mu służy. A dodajmy, że i na prawicy wielu zaczyna za nim tęsknić.

Tym bardziej że nasza dyplomacja jest **o krok od historycznego porozumienia** z Komisją Europejską, ale za to stała się niemiłosiernie wręcz nudna i poprawna. Złogów też raczej nie gonią. Niektóre złogi nawet śmieją się serdecznie, bo nie tylko symbolicznie z MSZ odszedł właśnie ostatni pisowiec, czyli Jan Dziedziczak. Ponoć poszło o Instytuty Kultury, które Dziedziczak chciał nieco upatryotyczyć. Jak widać, i dziś za takie marzenia można stracić pracę.

Donald Tusk ogłosił, że na emeryturę nie pójdzie, w 2019 r. „będzie tutaj” i że „niech nikt nie myśli, że będzie tylko oglądał telewizję i grał w piłkę”. Wizja emerytury dość prosta, ale trudno mówić o zaskoczeniu. Tusk jednak na tym nie skończył: „Warto sobie uświadomić, z jak wielką szansą i z jakimi pozytywnymi możliwościami kojarzył się awans Polaka na szefa Rady Europejskiej” – przypomniał narodowi. Lata mijają, a ten wciąż sprzedaje szklane paciorki.

Po wecie w sprawie ustawy degradacyjnej prezydent zapewniał, że chce degradować generałów WRON, ale inaczej. Zofia Romaszewska twierdzi jednak, że nie inaczej, lecz w ogóle, ponieważ „nie można w całości jakiegokolwiek grupy ludzi osądzić i jednakowo potraktować”. Sprawa niemal na pewno jest więc martwa. Hermaszewski pozostanie generałem. Nie ma się co dziwić: gdy ktoś był pierwszym i ostatnim Polakiem w kosmosie, to musi mieć szczęście.

Wicepremier Gliński skomentował falę krytycznych recenzji na temu rejsu „Polska100” z Mateuszem Kusznierewiczem w roli głównej. Poprosił o nieuczestniczenie w „polskim piekle”, wziął odpowiedzialność za projekt, który „miał mieć charakter wydarzenia ponad podziałami, a zjednoczył hejterów”. A to naprawdę może być wydarzenie łączące Polaków: nie można wykluczyć, że Kusznierewicz wypłynie z IV RP, a powróci znów do III RP.

Kazimierz Michał Ujazdowski będzie kandydatem Platformy na prezydenta Wrocławia. Szanse na zwycięstwo ma duże. Łatwość, z jaką starzy wyjadacze z obu obozów zmieniają sztandary, rzeczywiście może imponować. W polskiej polityce mało kto umiera naprawdę. A we Wrocławiu to już nikt.

Sygnalista



Niech nikomu się nie wydaje, że wrócę i będę siedział tylko przed telewizorem. Po pierwsze: „nie siedział”, bo do „siedzenia” to ja mam bardzo daleko. Od czubka głowy najdalej. Zresztą kto umiałby siedzieć przed telewizorem przez cały dzień? Chyba skazany. Ale o tym już powiedziałem.

Telewizor też nie jest mi do niczego potrzebny. TVN-u nie oglądam, bo wiem lepiej niż oni, co mają mówić, a takiego Sobieniowskiego czy Knapika to i tak bym nie wymyślił. Polsat czasem obejrzę, ale tylko jak jest Gugała. A TVP kłamię. Bez przerwy dają przekaz, że Hania nie chce się stawić przed komisją Jakiego. Co to znaczy: „nie chce”?! Nie może po prostu, gdyż takie otrzymała polecenia. Jak mówi ten śmieszny Rysiek z „Planu”, wszyscy wszystko wiedzą. A jak się Hania stawia, to w świat pójdą obrazki, że siedzi i się tłumaczy. Kurczę, co ja tak z tym „siedzeniem” dzisiaj, podświadomość jakaś czy co? No, w każdym razie wiadomo, kto się tłumaczy. Potem mnie Frans z Żonkłodem będą nagabywać, czy ja ją znam. A jak ja mogę znać człowieka, który staje przed komisją?

Rodzinka – to co innego. Mówiłem Michałowi, żeby na czas przesłuchań przed Wassermanową pozostał już przy tym „Baku Józeffie”, jak się w e-mailach podpisywał. A ten w ryk. „Tatus – mówi – się mnie wypiera?”. A czy ja się kiedykolwiek czegoś albo kogoś wypierałem? Ja po prostu o niczym nie wiem. Nagrali mnie u Sowy? No właśnie.

Więc, jak już wrócę, a wrócę na pewno, bo w Berlinie mi się nie podoba, a nigdzie indziej mnie nie zechcą, to najpierw trzeba w wąskim gronie 40 doradców dobrze obmyśleć, jak ten powrót ma wyglądać. Pociągami już próbowałem i niewygodnie. Ani w paprotkę człowiek nie kopnie, ani do „Warsu” nie pójdzie, bo wiadomo, jakie są nastroje społeczne. Tylko „państwa-miasta” z Grasiem pozostają. Ale mówię mu ostatnio: „I tak ze mną nie wygrasz, bo ja teraz na »B« to znam i Berlin, i Brukselę, i Beru...”, to się klócił do Kuluszek, że to się „Peru” pisze. A potem, jak powiedziałem, że jego punkty są policzone, zaczął bzdury wpisywać, żeby przegrać. Za to go szanuję, inteligencja to jest przecież umiejętność znalezienia się w każdej sytuacji. Grzesiu tego nie ma. Mówię mu: „Weź, podaj...”, a on piłkę pod pachę i biegnie przez pół boiska. „Ale co?” – pyta wystraszony. „Nazwiska? Namiary?”. Dobrze, że sędzia był rozgrzany, bo nawet wolnego nie gwizdnął. Zresztą nigdy niczego nie gwizdnął, nawet łącznika do wiertarki. Taki był uczciwy krystalicznie, że daliśmy go potem w dowód wdzięczności do Sądu Najwyższego. Tam mógł gwizdać sobie na wszystko.

Powrót „Teflona”



KRZYSZTOF FEUSETTE

Więc pociąg odpada. Stąd się wzięły plany, żeby do granicy limuzyną w kolumnie pojechać, a potem, gdyby nie padało, przesiąść się na konia. Po pierwsze – romantyczna dusza by ze mnie wylazła, a i szacunek dla zwierząt bym podreperował po tym, jak tego kundla piłką w pysk dzieliłem. Czasem się człowiekowi nóżka omsknie, czasem rączka, politycy tak mają. Niestety laska pańska na pstrym koniu jeździ. Mieli mi białego z Janowa podstawić, to PiS stadninę przejął. „Osla – napisali – weź lepiej, chłopie. Ale to już musisz w gabinecie cieni u Grzesia popytać”. Parszywcy. Wtedy mecenas się zgłosił i woła od progu: „Ja chcę! Mnie weź, królu Europy!”. „Niby jak, Romuś? – pytam go grzecznie – skoro ty się nawet pod wiaduktem nie zmieścisz? Tu jest »Braveheart« potrzebny, a nie »Nasza szkapla!«”. A on, że nie na środek transportu zgłasza się, tylko na obrońcę. Tłumaczę mu, że w Brukseli to ja już drużynę mam, a na obronie to u mnie gra Lewandowski. Wziął i zemdłał. Wziąłbym biedaka do lektyki, ale mam lęk wysokości.

Zresztą z lektyką, cośmy ją wymyślili po wywiadzie z redaktorem... Jak on się nazywa? Graś mi podpowiada, że Takjest Andrzej. Zupelnie temu Pawłkowi odbiło, od czasu jak go fotoreporterzy z „premierem Bułgarii” pomylili. Przez tydzień był pewny, że naprawdę go wybrali – w podziękowaniu za to, że w Burgas wczasował. Z kim jak muszę pracować? A pomyśl z lektyką nie był zły. Kamery, mikrofony, reflektory i czterech mnie niesie przez przejście w Zgorzelcu. Wcześniej kastingi po mediach. Już widzę, jakby się Czercy z Wiertniczymi po mordach lali. Ale co tabloidy powiedzą? „Bizancjum sobie urządził”. Więc lektyka padła.

Samolotem też się nalatałem, jak trzeba było zięcia do domu podrzucić. Daj pan spokój, ciągle to samo, lecisz, lądujesz, lecisz, lądujesz, a po plecach ciarki przechodzą, gdy człowiek pomyśli o tych, co nie wylądowali. A jeszcze bardziej o tym, co się później działo... Kurczę, co ja tak z tym „siedzeniem”, podświadomość, czy co? Się nie siedziało i się siedzieć nie będzie. Chyba że przed telewizorem, ale na pewno nie wyłącznie. Już prędej w telewizorze. Wiadomo, że trasę koncertową trzeba będzie po pluszakowych programach odbyć, bo bez tego nic się w tym nienormalnym kraju nie uda. A może bym na te wywiady autobusem jeździł? Jak kiedyś, w kampanii, od miasta do miasta, z tymi pajacami, co moje wiersze recytowali, tak teraz – Teflonobusem na ojczyzny łono! Bo mam nadzieję, że to jednak będzie łono.

A nie gdzieś obok.

Ukraina

Koniec Joanny d'Arc

Kiedy 25 maja 2016 r. wróciła do kraju po dwóch latach w rosyjskiej niewoli, noszono ją na rękach. Nazywano ukraińską Joanną d'Arc i stawiano za wzór. Jeśli ktoś nad Dnieprem stanowił uosobienie patriotyzmu, była to właśnie Nadia Sawczenko. Kobieta, która służyła jako komandos w wojskach powietrznodesantowych, strzelec transportera opancerzonego w czasie wojny w Iraku czy nawigator na bombowcach i śmigłowcach bojowych. Schwytała przez Rosjan podczas walk w Donbasie trafiła do aresztu, gdzie podjęła głodówkę protestacyjną. Skazano ją na 22 lata łagru pod fikcyjnym zarzutem współudziału w zamordowaniu rosyjskich dziennikarzy. Wkrótce potem została jednak wymieniona na dwóch oficerów GRU i powróciła do kraju.

Od razu weszła do polityki. Jeszcze będąc w więzieniu, została wybrana do parlamentu jako „jedyńka” z listy partii Batkiwszczyna. Nikt nie miał wówczas większego kapitału społecznego niż ona. A jednak szybko zaczęła go trwonić. Polityka wymaga innych kompetencji niż służba wojskowa. A ją pociągała zawsze walka na froncie, najlepiej na pierwszej linii. Posiedzenia komisji parlamentarnych nie dają tyle adrenaliny. Brakowało jej też szerszych horyzontów myślowych.

Sawczenko widziała to, co widzi każdy na Ukrainie: chore państwo toczone przez liczne patologie systemowe. Jako deputowana czuła się wobec nich bezsilna. Jako sfrustrowany żołnierz miała na to tylko jedną receptę: wysadzić cały ten system w powietrze. I to dosłownie. Niedawno została aresztowana pod zarzutem przygotowywania zamachu stanu, w którym planowała wymordowanie obecnych w parlamencie posłów, ministrów, premiera i prezydenta. Nie zaprzeczyła tym zarzutom. Na nagranych ukrytą kamerą zdjęciach operacyjnych SBU widać, jak mówi do innych spiskowców: „Jeśli nie zrobimy teraz tego przewrotu, za wszelką cenę, to nie ma sensu żyć”. Niezrównoważona psychicznie, nadużywająca alkoholu, zdesperowana. Sama nie mogłaby jednak nic zrobić. Ktoś pomógł jej zdobyć cały arsenał broni i przygotować logistycznie operację. Pytanie: kto?

Grzegorz Górny

RPA

Odszedł symbol lat 80.

Wiedźma nie żyje!”, „Krzyżyk na drogę!” – takie komentarze pojawiły się na forach internetowych białej mniejszości w RPA na wieść o śmierci Winnie Mandeli. Nic dziwnego, eksżona Nelsona Mandeli, która zmarła 2 kwietnia w wieku 81 lat, odgrażała się, że pokona wrogów za pomocą „paczek zapalek i naszyjników” (naszyjnikami nazywa się opony zarzucone na ofiarę i podpalone). I nie były to puste słowa.

Winnie wyszła za mąż za Nelsona w 1958 r. Gdy w 1962 r. Mandela został uwięziony, Winnie kierowała – jak mówi jej rodzina – „walką o sprawiedliwość, poświęcając jej większość swojego dorosłego życia”. Pod nieobecność męża nazwano ją „Matką Narodu”. W latach 80. świecąc jego odbitym światłem, stała się bardzo popularna na solidarnym z walczącymi przeciw apartheidowi Zachodzie. Jej postawę docenił w 2016 r. ówczesny prezydent RPA Jacob Zuma, honorując Winnie za „odważny i nieustanny opór wobec prześladowań ze strony policji oraz za przeciwstawianie się na każdym kroku brutalności reżimu”.

To jednak tylko jedna strona medalu. Winnie miała bowiem drugą, upiorną, twarz. Jako „Matka Narodu” kierowała w Soweto – najsłynniejszym czarnym getcie Johannesburga – bojówką ukrywającą się pod szyldem klubu sportowego. Jego członkowie zastraszali ludność przy niemal całkowitej bierności białej policji. Ofiarami bojówek stawiali się zwykle młodzi ludzie, na których padło po-

dejrzanie, że są wtyczkami policji. Najsłynniejszą z ofiar był zaledwie 14-letni Stompie Sempei, który miał być torturowany i osobiście zamordowany przez Winnie. Zginął również Abu-Bakr Asvat, zaufany lekarz Winnie, który badał Stompiego przed śmiercią. Kolejną ofiarą był 21-letni Lolo Sono, którego po raz ostatni widziano zakrawianego w samochodzie prowadzonym przez Winnie. Ojciec Lolo próbował interweniować u „Matki Narodu”, ta jednak zbyła go stwierdzeniem, że jego syn jest zdrajcą. Bezkarność Winnie nasuwała przypuszczenia, że to ona – a nie jej ofiary – współpracuje z policją.

Po upadku apartheidu brutalnych rządów Winnie w Soweto nie dało się już zamieść pod dywan. Mandela, tuż po wyjściu z więzienia, ogłosił separację z żoną, zarzucając jej niewierność. Para rozwiódła się w 1996 r., a już rok później jej zbrodniami zajęła się Komisja Prawdy i Pojednania – rodzaj sądu powołanego do badania przestępstw z czasów apartheidu. Kluczowym świadkiem był jeden z bojówkarzy Katiza Cebekhulu,

który świadom, że wie o swojej szefowej zbyt dużo, przeznornie uciekł w 1991 r. za granicę. Ostatecznie udało się go przesłuchać i to dzięki jego zeznaniom Winnie udo-

wodniono współudział w co najmniej dwóch morderstwach. Skazana początkowo na krótkie więzienie, ostatecznie wykipiała się grzywną. „Nie zasłużyła na szacunek” – napisał o Winnie jeden z internautów. Obecne władze RPA są najwyraźniej innego zdania. Można to uznać za symboliczny zmierzch polityki pojednania, zainicjowanej w 1994 r. przez jej męża.

Konrad Kołodziejwski



Coraz bardziej zdumiewająca jest sytuacja w relacjach amerykańsko-rosyjskich. Oto między prezydentem USA a w zasadzie całą resztą jego administracji istnieje zasadnicza różnica zdań, dotycząca stosunków z Moskwą.

„Trump chce traktować Putina jako potencjalnego partnera, ale nie używa żadnej z pozostających w jego dyspozycji dźwigni – porozumień dyplomatycznych, posunięć wojskowych – aby spróbować przekuć tę wizję w rzeczywistość. Odwrotnie – polityka wydaje się kształtowana przez amerykańską rządową biurokrację, która postrzega Rosję jako rywalkę i przeciwniczkę” – pisze publicysta Zack Beauchamp.

A stosunek do Kremla tych ostatnich sił (określanych często jako amerykańska wersja tzw. głębokiego państwa) jest najbardziej jednoznaczny od końca komunizmu. W ogóle „od czasu wtargnięcia do Iraku w żadnej sprawie nie było tak uderzającego konsensusu wewnątrz jakiegokolwiek administracji



Mamrotanie do ścian

i wszystkich środowisk, zajmujących się w Waszyngtonie polityką zagraniczną. Jest tylko jeden, samotny, istotny wyjątek – ale jest to prezydent Stanów Zjednoczonych” – mówi analityk Jeremy Shapiro.

I podkreśla rzecz zdumiewającą: mimo że wszystko, co wiemy o poglądach Trumpa na sprawę rosyjską,

każe uważać za oczywiste, iż są one sprzeczne z resztą establishmentu, jak dotąd nigdy nie zaangażował on w politykę wobec Moskwy. „Jeśli chodzi o Rosję, wydaje się, że siedzi on samotnie w Gabinetie Ovalnym, mamrocząc coś do ścian, ale nie może znaleźć nikogo, kto zmienilby jego niejasne pomruki w działanie”.

Jakiegokolwiek są przyczyny tego dziwaczego stanu rzeczy (nacisk elit jest zbyt silny? Prezydent oskarżany o związki z Kremlen boi się konfrontacji na tym konkretnym polu?), Trump może go zmienić w każdej chwili. Bo przecież to jemu podlegają sekretarz stanu i w ogóle wszyscy urzędnicy administracji, i zgodnie z amerykańską praktyką to on ma wytyczać kierunki polityki zagranicznej.

„Nie wiem, jak długo ta absurdalna sytuacja może trwać” – konkluduje Shapiro, i trudno nie zadać sobie tego samego pytania.

Piotr Skwieciński

Rosnące wpływy polityczne i gospodarcze Chin stanowią poważne wyzwanie dla Europy. Chińczycy wykorzystują część politycznych, gospodarczych i medialnych elit na Starym Kontynencie do forsowania swoich interesów. Pekin korzysta przy tym na jednostronnym otwarciu Europy, sam bowiem ogranicza dostęp zachodniego kapitału, idei i towarów do swojego rynku. Rodzi to asymetrię, która z czasem będzie się jeszcze pogłębiać. Tym bardziej że niektóre państwa członkowskie UE starają się przyciągnąć chiński kapitał (choćby Węgry) lub używają Pekinu jako karty przetargowej w grze z Brukselą i o lepszą pozycję na arenie międzynarodowej.

Jednak choć Chiny stanowią poważne wyzwanie dla Europy, nie zagrażają jej militarnie, a ich celem nie jest rozbięcie kontynentu, tylko realizacja (głównie) gospodarczych interesów. W przeciwieństwie do Rosji. Jak na łamach „Politico” pisze Anthony Cho z Centre for a New American Security (CNAS), think tanku, którym kieruje była ambasador USA przy NATO Victoria Nuland (skwitowała niegdyś postawę Europy wobec kryzysu na Ukrainie słowami „fuck the EU”), choć ekspansja Pekinu może negatywnie wpłynąć na europejskie interesy i normy, to wpływ Rosji jest znacznie większy i o wiele bardziej bezpośrednio zagraża projektowi europejskiemu.

„Reagując zbyt wrogo na wejście Pekinu do Europy, UE ryzykuje, że zrazi swoich wschodnioeuropejskich członków, którzy potrzebują chińskich inwestycji, mają więc łagodniejszy stosunek do Państwa Środka. Może to mieć poważne konsekwencje dla jedności Unii” – twierdzi Cho.

Tymczasem szkodliwe działania Rosji Europa zdaje się lekceważyć. Pokazuje to nader dobitnie reakcja na próbę otrucia byłego rosyjskiego szpiega Siergieja Skripala w Wielkiej Brytanii. 18 państw Unii oraz USA, Kanada, Islandia, Australia i Ukraina postanowiło wydalić w sumie ponad 140 rosyjskich dyplomatów. Możliwe, że dołączą do nich kolejne kraje, jak Macedonia, Norwegia czy Albania, ale to bez znaczenia, nałożone bowiem sankcje, choć spektakularne, mają głównie wartość symboliczną. Jest to potrząsanie szabelką bez szabelki. Tuż po wydaleniu czterech rosyjskich dyplomatów szef MSZ Niemiec Heiko Maas stwierdził, że Rosja jest „jednym z filarów porządku światowego”

i nieodzownym partnerem dla Europy. Jedność, którą Europa zademonstrowała przy okazji zamachu na Skripala, nie jest więc w stanie przysłonić tego, że w kwestii Rosji kontynent pozostaje głęboko podzielony. Gazprom jest wciąż jednym z głównych dostawców gazu do Europy.

Prawdziwym uderzeniem i bolesną karą dla Kremla byłoby więc zablokowanie projektu Nord Stream 2 i pomoc Europie Środkowej i Wschodniej w dywersyfikacji dostaw. Na to UE się jednak nie zdobyła i raczej nie zdobędzie. Tak Kreml może na długą metę osiągnąć swój cel: pogłębienie podziałów między Wielką Brytanią (i Stanami Zjednoczonymi) a państwami kontynentalnej Europy Zachodniej – zwłaszcza Niemcami i Francją.

Sprawa Skripala może okazać się kolejną lekcją, z której Europejczycy nie wyciągną właściwych wniosków.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Piniendzy ni ma

Tegoroczny kalendarz zaskoczył nas, żartownisiów, zbieżnością Wielkanocy z dniem 1 kwietnia. Primaaprilisowe kawały nie przystają do odświeżonej sytuacji, do Paschy. Postanowił wykorzystać tę okazję pewien facycjonista z Brukseli i wpadł do kraju, by rozbawić koleżeństwo trzy dni przed terminem.

Pan Tusk, powiedzmy szczerze, nie wszystkich rozśmieszył obietnicą powrotu do Polski w 2019 r. Jego krajowy plenipotent, zwany Szetyną, oszczędnie demonstrował olśniewające uzębienie. Musi teraz kombinować z Rychem, Zbychem i innymi, jak poukładać wyborcze listy na samorząd i parlament. Jeżeli były szef osobiście zechce poprowadzić PO do wyborczego boju o władzę, to jedyna szansa Szetyny, by coś ugrać, ogranicza się do dolnośląskiego miasteczka, gdzie może wejść do rady gminy.

Skrywanym motywem dziwnej wizyty króla Europy jest podtrzymanie na duchu słabszych psychicznie współników. Mają wierzyć, że Tusk wróci na białym koniu, i nie puszczać farby o aferach, za które odpowiada... Przypomnijmy choć



**Jan
Pietrzak**

kilka: hazardowa (właśnie przesłuchano ministra Kapicę), stoczniowa (mityczny inwestor katarski), węglowa („siedzą, piją, lulki palą”), informatyczna, ambergoldowa (z udziałem rodziny), reprivatyzacyjna (specjalność HGW), paliwowa, atomowa, lupkowa, VAT-owska, akcyzowa, po których pozostały „ch... d... i kamieni kupa”. Za każdym tytułem kryją się miliardy polskich pieniędzy. Nic dziwnego, że tuskowy minister finansów, dla przyjaciół Gargamel, skomentował prospołeczne wydatki rządu PiS słowami: „Piniendzy ni ma”. Był szczerze przekonany, że przez osiem lat wycyckali, wydoili, wypompowali z Polski wszystko, co możliwe.

Jak oszacował poseł Janusz Szewczak z sejmowej komisji finansów, Polacy stracili ponad 800 mld zł pod rządami PO-PSL. Jacyś ludzie personalnie musieli te fałszywe operacje przeprowadzać, kwity podpisywać, salda podliczać, na konta współników przysyłać... Nie wszyscy oni muszą znać osobiście Tuska, ale niektórzy znajomi znajomych zapewne pamiętają, gdzie podziały się „piniendze”, bo nic w przyrodzie nie ginie... Podobno...

Trzeba umieć spieszyć z pomocą

*Z aktorką **Sonią Bohosiewicz** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Dobrze czuje się pani na Śląsku?

Sonia Bohosiewicz: Uwielbiam Śląsk! Tu są moje rodzinne Żory, tu jest mój Cieszyn, gdzie są moi dziadkowie i ciocie, i wujkowie od strony mamy; gdzie się urodziłam. A zawodowo, parę lat temu, w filmie „Laura” (o tąpnięciu w kopalni Halemba) grałam żonę górnika i matkę chorej na serce dziewczynki. W „Diagnozie” mój serialowy mąż też zjeżdżał pod ziemię. Po wybuchu w kopalni trafił do szpitala, gdzie pracuje Wanda.

By uratować mu życie, musiała podjąć dramatyczną decyzję.

Twarda z niej kobieta?

Twarda, ale i współczująca. Taka powinna być siostra oddziałowa. Sporo na ten temat rozmawiałam z szefowymi pielęgniarek, gdy przygotowywałam się do roli. Oddziałowa ma pod sobą sztab ludzi, którzy – jeśli porównać szpital do samolotu

– przygotowują wszystko, aby piloci lekarze mogli polecieć. Jest trochę matką chrzestną każdej operacji.

Czy jako „matka chrzestna” zdobyła pani umiejętności, które mogą się przydać w prywatnym życiu? Potrafi pani np. udzielić pierwszej pomocy?

Obowiązkowo! Każdy powinien znać podstawy. W szkole moich dzieci wszyscy rodzice przeszli takie przeszkolenie. Mam nadzieję, że w innych szkołach też przeprowadzane są podobne akcje. Jeśli nie, namawiam. Nie jest przecież problemem zebrać rodziców, zaprosić pielęgniarkę lub ratownika medycznego. Niech wytłumaczą, na czym to polega. Bo to mogą być te właśnie sekundy. Te, które ocalą komuś życie. A ratunku potrzebować będzie ktoś z najbliższego otoczenia. Ktoś, kogo kochamy. Trzeba umieć pospieszyć z pomocą.



Fot. Kurnikowski/KPA

Kto decyduje o konstytucyjności

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gdańsku na wniosek prezydenta miasta Pawła Adamowicza uchylił zmiany nazw ulic i przywrócił istniejące wcześniej. I tak zamiast ulicy Lecha Kaczyńskiego będziemy mieli znowu Dąbrowszczaków – chodzi o oddział polskich komunistów zorganizowany przez Związek Sowiecki do walki w hiszpańskiej wojnie domowej – pozostanie jako patron Leon Kruczkowski, a nie będzie Anny Walentynowicz itp.

Czytam uradowane wpisy w rozmaitych mediach III RP, które pokazują, że kampania nienawiści nie ustaje nawet po śmierci, i przypominam sobie, że np. w Tbilisi jedna z najważniejszych arterii nosi imię Lecha Kaczyńskiego, ale opozycja totalna woli najemników Moskwy. Nie o banałach jednak chciałbym pisać, ale o kwestii fundamentalnej, która dotyczy ładu prawnego w naszym państwie.

Adamowicz zwrócił się do sądu, powołując się na „niekonstytucyjność” postanowień wojewody, który miał odebrać samorządowi prawa do nazewnictwa obiektów przestrzeni publicznej. Rzeczą dotyczy ustawy dekomunizacyjnej, na mocy której budowniczowie sowieckiego totalitaryzmu przestaną funkcjonować jako patroni w domenie publicznej. Niekwestionowana przez nikogo – piszę o formalnych zastrzeżeniach, a nie o stałym jazgocie opozycji totalnej – ustawa przeszła właściwą ścieżkę legislacyjną i weszła w życie. Zgodnie z jej literą samorządy otrzymały rok na zmianę nazw. Adamowicz nic w tej kwestii nie zrobił, co powoduje przejście decyzji do wojewody. A kiedy ten wykonał swoje zadanie, prezydent Gdańska zwrócił się do sądu.

O konstytucyjności ustawy decyduje Trybunał Konstytucyjny. Coraz częstsze przypadki ogłaszania przez instytucje, które nie mają do tego prawa, swoich ocen w tej mierze, otwiera możliwości anarchii i destrukcji państwa. Od teraz na podstawie swojej opinii właściwie każdy – bo jeśli robi to nieuprawniony samorząd gdański, to na tej samej zasadzie może to zrobić Jan Kowalski – będzie mógł rozstrzygać, które prawo jest konstytucyjne, a więc które będzie honorował. Wojewódzki Sąd Administracyjny poparł tego typu praktyki.

Szeroko rozumiana opozycja proponowała już taką strategię. Skoro

nowa władza wybrała TK, który nie podoba się sędziowskiemu establishmentowi, to jego przedstawiciele w swoich orzeczeniach kierowali się będą własną interpretacją konstytucji. Nie mają do tego prawa? Dlaczego? Przecież, jak mogliśmy już wielokrotnie wnioskować z wypowiedzi jego przedstawicieli, a czasami słyszeliśmy wprost, to oni są prawem. Ich zdaniem państwo prawa to własność nieskrępowanych niczym prawników, którzy decydować mają o wszelkich aspektach naszego życia.

Sprawa gdańska jest tego dobrym przykładem. Wprawdzie nie mamy jeszcze pisemnego uzasadnienia wyroku, ale pozytywna odpowiedź na skargę prezydenta miasta, której podstawą była „niekonstytucyjność” ustawy o dekomunizacji, jest chyba najlepszym wskazaniem, że sąd podążył w tym kierunku. Aczkolwiek sędziowie tłumaczyli, że nachylił się nad merytoryczną stroną zagadnienia i rozważali, czy usunięcie patroni ulic są powszechnie utożsamiani z komunizmem, ale takie ich podejście budzić powinno jeszcze więcej wątpliwości.

W ustawie nie było nic na temat tego, że to sędziowie decydować mają o nazwach. Jeśli przyjmujemy, że są oni władni merytorycznie interweniować w każdej sprawie i podejmować w niej ostateczne decyzje, to, jak wspominałem już przy innej okazji, rozwiążmy ciało ustawodawcze i przekazmy wszelkie jego kompetencje sądom. Wyjdzie na to samo, tyle że uczciwiej. Że z demokracją nie będzie to miało nic wspólnego, to już inna kwestia.

I jeszcze uwaga na temat praw samorządów.

Zasada pomocniczości, czyli pozostawiania na niższym szczeblu decyzji, które tam mogą być podejmowane, jest ze wszech miar słuszna. Ale sprawy dotyczące tożsamości narodowej akurat nie mieszczą się w samorządowej sferze. Wyobraźmy sobie polskie miasteczko zamieszkane w większości przez mniejszość niemiecką, które swój główny plac dedykować chce Bismarckowi. Mimo że nie był on rzecznikiem żadnego totalitaryzmu, w tej kwestii potrzebna byłaby interwencja władz na wyższym szczeblu, a przykład ten powinien wskazywać, gdzie kończy się samorządność. Inaczej uniemożliwimy państwo.



OGNIEM NA WPROST

Szkoła bliskiego kontaktu



Jurij Tymoszenko to deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy. Oprócz tego w rodzinnej Kołomyi jest członkiem bractwa żołnierzy UON-UPA. Ale nie tylko. Należy do partii o profilu liberalno-demokratycznym i proeuropejskim, za jaki się uważa ugrupowanie byłego premiera Arsenija Jaceniuka. A oto, co ostatnio powiedział „znany” liberal i pro-Europejczyk Tymoszenko w sprawie dyskutowanej niedawno w Kijowie ustawy nr 8207, regulującej kwestię wykorzystania symboli państwowych Ukrainy oraz czerwono-czarnej flagi UPA. „Opowiadałem się w 100 proc. za czerwono-czarną flagą, za świętym sztandarem walki, za flagą UPA, za tym, by dać godną odpowiedź polskim łajdakom, którzy ją deptali, nasmiewając się z nas i naszej godności. Jestem za tym, by traktować ją na równi z państwową i by była obecna w każdym mieście na centralnych placach” – oświadczył. I zaraz dorzucił: „To nie jest prosta sprawa, ale po tym, jak tyle razy Polacy splunęli nam w kieszenie, jak wiele zrobiono przeciwko nam, najmniej mnie obchodzi fakt, że niektórzy Polacy coś tam sobie pomyślą”. Wypowiedź godna następców ojców założycieli Unii Europejskiej Roberta Schumana, a nawet Alcidego De Gasperi. Przecież każdy na kontynencie wie, że obydwaj byli zagorzałymi fanami jednostek UPA, szczególnie kiedy dopuszczali się masowych zbrodni na Polakach czy Żydach, kolaborując na potęgę z III Rzeszą. Przypominam Tymoszenko, że kiedy ich ukochani Niemcy pociągną drugą „rurę” od Rosjan, to bezpieczeństwo energetyczne Ukrainy zawisnie na polskim włosku. Jedyne, co go tłumaczy, to pochodzenie. Chłopak z Kołomyi. A Kołomyja według słownika wyrazów bliskoznacznych oznacza w języku polskim m.in.

kołowaciznę, kociokwik, gmatwaninę i w końcu burdel na kółkach.

Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych prowadzony przez Konrada D. i Rafała G. obraził publicznie posła RP Adama Andruszkiewicza. Nie pierwszy to przypadek, kiedy ta instytucja prowadzona przez faceta skazanego (jeszcze nieprawomocnie) na cztery lata pudła za przekręty finansowe, bluźni na lewo i prawo (przepraszam bardziej „na prawo”) w ramach walki z faszystowskim urojeniem. Tym razem na celowniku Ośrodka znalazł się Andruszkiewicz, obecnie poseł klubu Wolni i Solidarni. Nazwano go wprost „posłem rasistą”. Kiedy wyrok na kierownictwo tej organizacji pozarządowej już się uprawomocni i trzeba będzie odsiedzieć, proponuję szefowi sieci zakładów karnych ulokowanie osadzonych w celi razem z przestępcami z Afryki (chyba się gdzieś tacy znajdują). Najlepiej z wyrokami za ciężkie przestępstwa. Wtedy wreszcie zrozumieją, co jest „czarne”, a co „białe”. W końcu podstawowym celem kary jest resocjalizacja.

Poznać od tyłu. Właśnie uznano tam za winnego popełnienia wykroczenia trenera krav magi Roberta K. za odmowę prowadzenia treningów osobom ze stowarzyszenia Stonewall. Organizacja ta zrzesza ekipę spod znaku LGBT i coś tam, głównie o skłonnościach homoseksualnych. Decyzję oczywiście uznano za przejaw ho-

mofobii i sprawę skierowano do policji, a potem do sądu. Co ciekawe, trener na początku nie wyrażał obiekcji i ćwiczył gejų, ale coś się musiało stać, że nagle odmówił. Ciekawe co? Izraelska sztuka walki krav maga to szkoła bliskiego kontaktu. Osoby heteroseksualne nie muszą chcieć trenować akurat krav magi z ludźmi o odmiennych preferencjach seksualnych, ale także odwrotnie. To chyba zrozumiałe. Tylko nie dla polskiego sądu. Będzie apelacja.

Winternecie pojawiła się kolejna strona „sympatyków” naszego kraju zatytułowana Polandmurderedjews.com („Polska mordowała Żydów”). W nagraniu zamieszczonym na stronie głównej jakiś mężczyzna opowiada o swojej rodzinie zamordowanej w komorze gazowej „polskiego obozu śmierci”. A jakże! Przecież nie w niemieckim. Kim jest autor tej strony? To amerykański polityk żydowskiego pochodzenia Dov Hikind, od 1983 r. nieprzerwanie będący deputowanym do stanowej Izby Reprezentantów i nieprzerwanie walczący z antysemityzmem w swojej dzielnicy. Już kiedyś zasłynął z protestów przeciwko filmowi Mela Gibsona „Pasja”. Wtedy pod biurami pravicowej telewizji Fox News na Manhattanie zebrał swoich chasydów, by skandować: „»Pasja« to zabójcza broń przeciwko Żydom!”. W wywiadach głośno wypowiadał zdanie: „Ten film doprowadzi do eksplozji antysemityzmu i bigoterii”. Hikindowi w zasadzie odpowiedział już św. Jan Paweł II, który po obejrzeniu filmu Gibsona stwierdził krótko: „Tak było!”.

Andrzej Rafał Potocki

Jak drogowskaz

Rocznica śmierci uczestników prezydenckiej delegacji do Katynia sprowadza się w sferze mediów głównie do okoliczności związanych z katastrofą, w której zginęli, oraz jej wyjaśnianiem. Życiorysy i dokonania poszczególnych ofiar, za które należy im się pamięć, przykrywa cień podsycanych przez prasę politycznych sporów. Jestem głęboko przekonana, że biografia mojego ojca może służyć jako drogowskaz dla wielu ludzi, którzy chcieliby związać swoją przyszłość z działalnością publiczną, na rzecz państwa i nas wszystkich. Pozwalam sobie w sposób syntetyczny, unikając ocen i zbędnych emocji, przedstawić drogę życiową Lecha Kaczyńskiego.

Lech Kaczyński urodził się 18 czerwca 1949 r. w Warszawie. Uczęszczał do liceum im. Joachima Lelewela i XXXIX Liceum Ogólnokształcącego im. Lotnictwa Polskiego na Bielanach. W 1967 r. rozpoczął studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Na początku lat 70. przeprowadził się do Sopotu, by podjąć pracę naukową na Uniwersytecie Gdańskim. W 1980 r. obronił doktorat z prawa pracy, a w 1990 r. uzyskał habilitację. Był profesorem Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Współpracował z Komitetem Obrony Robotników, działał w Wolnych Związkach Zawodowych. W sierpniu 1980 r. był doradcą stoczniovców w Stoczni Gdańskiej, a później członkiem Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność”. 13 grudnia 1981 r. został internowany. Po zwolnieniu kontynuował działalność opozycyjną w podziemnej „Solidarności”. Brał udział w obradach okrągłego stołu. W 1989 r. wybrano go na senatora, wraz z bratem współtworzył rząd Tadeusza Mazowieckiego. Był wiceprzewodniczącym „Solidarności”. W 1991 r. został ministrem stanu do spraw bezpieczeństwa w Kancelarii Prezydenta. Już w tamtym czasie, kiedy stacjonowały u nas jeszcze rosyjskie wojska, opowiadał się za przystąpieniem Polski do NATO. Po konflikcie z Lechem Wałęsą odszedł z kancelarii. Od 1992 do 1995 r. był prezesem NIK. Do dziś wspominany jest w tej instytucji jako jej skuteczny reformator i dobry szef. Od czerwca 2000 do lipca 2001 r. był ministrem sprawiedliwości. W okresie swojego urzędowania zasłynął za sprawą spadku przestępczości, a w szczególności podjęcia zdecydowanych działań przeciwko zorganizowanym grupom przestępczym. Jesienią 2002 r. wygrał wybory na prezydenta Warszawy. Zreformował biura obsługi mieszkańców, dążył do wyhamowania dzikiej reprivatyzacji, wspierał teatry, pozostawił po sobie Muzeum Powstania Warszawskiego, wsparł inicjatywę budowy Muzeum Polin i Centrum Kopernika, planował wybudowanie centrum



**Marta
Kaczyńska**

*Lech Kaczyński miał wizję
Polski silnej, nowoczesnej,
świadomej swej historii*

sztuki współczesnej. W 2005 r. wygrał wybory prezydenckie. Lech Kaczyński uważał, że urząd Prezydenta RP to ogromna odpowiedzialność przed współczesnymi, a także przed kolejnymi pokoleniami.

Miał wizję Polski silnej, nowoczesnej, świadomej swojej historii, aktywnie i suwerennie działającej na arenie międzynarodowej. Ugruntowaniu wiedzy na temat przeszłości miały służyć polityka historyczna, polityka orderowa i odznaczeniowa.

Lech Kaczyński w czasie swojej prezydentury odwiedził 36 państw, składając 116 wizyt. Za priorytety swojej polityki uważał współpracę i sojusz naszego kraju ze Stanami Zjednoczonymi. Najbardziej widocznym efektem polsko-amerykańskiego współdziałania miało być posadowienie na terytorium RP elementów tarczy antyrakietowej, która to inicjatywa została odrzucona przez rząd Donalda Tuska. Dążył do umacniania przyjacielskich stosunków z Niemcami i Rosją. Wspierał starania Gruzji i Ukrainy o akcesję do NATO. Za wielką wartość uznawał solidarność z narodami, które leżą na południowy wschód od Polski. Współpraca z odległymi państwami kaukaskimi bazowała na wspólnych doświadczeniach historycznych i planach dotyczących budowy łańcucha bezpieczeństwa energetycznego właśnie od dalekiego Kaukazu aż po kraje skandynawskie. W sierpniu 2008 r., w obliczu inwazji wojsk rosyjskich na Gruzję, był inicjatorem podróży prezydentów Ukrainy, Litwy, Estonii i premiera Łotwy do Gruzji, by udzielić poparcia prezydentowi Micheilowi Saakaszwilemu. Już w tamtej chwili Lech Kaczyński przewidywał, że rosyjskie zagrożenie, któremu chciał stawić czoła, dotyczy nie tylko Gruzji, lecz także Ukrainy, a w przyszłości również republik nadbałtyckich i Polski.

W planach Lecha Kaczyńskiego Polska miała należeć do grona sześciu najważniejszych państw UE oraz odgrywać rolę unijnego lidera dla grupy państw członkowskich z Europy Środkowej. Prezydent był przekonany, że UE jako „Europa ojczyzn” może być dla nas gwarantem bezpieczeństwa, modernizacji i rozwoju. W 2009 r. prezydent Lech Kaczyński wynegocjował wszystkie postulaty Polski odnoszące się do traktatu lizbońskiego. Dotyczyły one w szczególności energetyki i gwarancji suwerenności państw narodowych.

Lech Kaczyński był ceniony w szczególności przez prezydenta Czech Václava Klause, który śmierć polskiego przywódcy uznawał za stratę dla całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej, a Lecha Kaczyńskiego za jedyną wybitną osobowość, która po upadku komunizmu mogła wpłynąć na dzieje Europy.

Dziecko poza kolejką

Japońska para przyszłych rodziców musiała przeproszać za to, że poczęli dziecko, choć nie była to ich kolej na potomstwo. „Japonka pracująca w jednym z ośrodków opieki dla dzieci została upomniana przez jej szefa za »samolubne złamanie zasad«, gdy zaszła w ciążę, zanim nadeszła jej kolej” – donoszą japońskie media cytowane przez „The Telegraph”. Kobieta pracowała w prywatnym ośrodku opieki nad dziećmi w prefekturze Aichi w północnej Japonii. O ciąży dowiedziała się chwilę po tym, jak dyrektor ośrodka wprowadził w placówce grafik, który wyznaczał, kiedy jej kobiecy personel może wychodzić za mąż i zachodzić w ciążę.

Całą historię opisał mąż kobiety w liście do jednej z japońskich gazet. Z listu wynika, że małżeństwo spotkało się z szefem przyszłej mamy i przeprosiło za tę sytuację, jednak podczas spotkania kobieta została zbesztana za swój stan i łamanie zasad ośrodka. Rozumiem, że można przeproszać za dziecko, gdy już się narodzi i narozrabia, ale to pierwszy znany mi przypadek przeproszania za dziecko jeszcze nienarodzone. 



4,4 proc.

– tyle w lutym br. według Eurostatu wyniosła stopa bezrobocia w Polsce. W Unii Europejskiej osiągnęła poziom 7,1 proc. Nasz kraj utrzymuje się w europejskiej czołówce państw z najniższym bezrobociem.

7

– na takiej pozycji znalazła się Polska w rankingu krajów UE, jeśli chodzi o wskaźnik bezrobocia. Najniższe bezrobocie jest w Czechach.

1,3 proc.

– o tyle według GUS wzrosły ceny towarów i usług konsumpcyjnych w marcu 2018 r. w ujęciu rok do roku. W porównaniu z poprzednim miesiącem ceny spadły o 0,1 proc. Tak niska inflacja zaskoczyła ekonomistów.



Nieoczekiwana zmiana płci

59-letni Sergio Lazarovich z Argentyny zmienił w świetle prawa płeć i został kobietą. Od czasu decyzji urzędu nazywa się Sergia. Sęk w tym, że Sergio płeć zmienił nie dlatego, że czuł się kobietą uwięzioną w męskim ciele, ale dlatego, że chciał skorzystać z przysługującego kobietom w Argentynie prawa do wcześniejszej emerytury. Kobiety mogą pobierać świadczenie już od 60. roku życia, a mężczyźni dopiero, gdy skończą 65 lat. O sprawie poinformował portal o2.pl: „W Argentynie od 6 lat obowiązuje ustawa o tożsamości płci. Kraj umożliwia oficjalną zmianę płci bez jakiegokolwiek operacji chirurgicznej. Według argentyńskiego prawa urzędnicy muszą szanować indywidualną decyzję obywateli”. E tam! Polacy byli pierwsi. Mamy przecież Annę Grodzką. 

Przezroczyste plecaki

Po strzelaninie w szkole w Parkland na Florydzie uczniowie muszą nosić przezroczyste plecaki. Taki wymóg postawiła dyrekcja szkoły. Ma to być jeden ze środków bezpieczeństwa wprowadzonych po strzelaninie, do której doszło w lutym. W tragedii zginęło 17 osób. O sprawie informuje portal Rp.pl. A nie łatwiej byłoby po prostu ograniczyć dostęp do broni? Może wtedy byłoby naprawdę bezpieczniej. 



Bezpiecznie jak u Angeli



Według szacunków niemieckiego kontrwywiadu w Niemczech żyje obecnie 11 tys. członków radykalnego odłamu islamu, tzw. salafitów – podaje TVP Info. Najwięcej z nich przebywa w Berlinie i Hamburgu. W każdym z tych miast służby kontrwywiadowcze zarejestrowały ponad 800 takich osób, z czego ponad połowa należy do dżihadystów.

Ciekawe, czy korzystający z gościnności Angeli Merkel muzułmanie żartują między sobą, że fajny ten Berlin, ale za dużo w nim Niemców...



„Odchodzę z Ruchu K15 – ogłosił w prima aprilis Paweł Kukiz, jednak nie zdziwiłaby mnie taka deklaracja innego dnia. Lider ruchu Kukiz '15 lubi zaskakiwać. Tylko jak wtedy nazywałby się ów ruch? Sieroty po Kukizie?”



Wielka rewolucja

Francuskie feministki chcą zmian w gramatyce języka francuskiego. Dyskusja na ten temat trwa już od kilku miesięcy. Podobno język ten w obecnym kształcie dyskryminuje kobiety. „Język francuski, szczególnie w rzeczownikach i czasownikach liczby mnogiej, daje pierwszeństwo formie męskiej. Językoznawcy i historycy przypominają, że forma męska w języku francuskim dominuje nad formą żeńską z tego powodu, iż w XVI i XVII w. ówczesni opiniootwórcy głośno mówili o nierówności płci” – czytamy na portalu Elbląg24.pl. Wyjściem z sytuacji ma być pisownia równościowa lub – jak kto woli – „pisownia włączająca” do gramatyki nowe znaki graficzne pozwalające wszędzie w zeszycie i książce dostrzec obecność kobiet. Czy język francuski zmieni się trwale? Kto wie, Francuzi lubią rewolucje.

Fot. Andrzej Witko, Shutterstock (43), mal. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Władza potrzebuje przywilejów

To był kolejny skandal w rządzie dobrej zmiany! Okazało się, że pełnomocnik premiera ds. dialogu międzynarodowego nazbyt aktywnie zajmuje się... dialogiem międzynarodowym.

Oczywiście poszło o pieniądze, tym razem wydane na podróże. Anna Maria Anders, bo to o niej mowa, pozwoliła sobie w ciągu ponad dwóch lat na 75 wyjazdów i wydała na nie ponad 600 tys. zł.

Rozumiem, iż można krytykować premier Beatę Szydło za to, że utworzyła stanowisko pełnomocnika – być może było niepotrzebne, może wystarczyłoby, aby za stosunki międzynarodowe odpowiadało MSZ. Rozumiem, że można krytykować panią Anders – pewnie sama znajomość kilku języków nie wystarczy, aby skutecznie zadbać o dialog Polski z innymi państwami.

Skoro już jednak biuro pełnomocnika premiera ds. dialogu międzynarodowego istnieje, to bardziej bym się niepokoił, gdyby się okazało, że w ciągu 24 miesięcy Anna Maria Anders wyjechała – dajmy na to – 10 razy i wydała na to tylko 50 tys. zł. Oznaczałoby to, że nikt nie oczekuje od niej jakiegokolwiek aktywności.

Od wielu lat i wielu kadencji powtarzam, że ludzie władzy powinni być nie tylko doskonale opłacani, lecz również powinni mieć jak najbardziej komfortowe warunki pracy. Mówiąc wprost: muszą mieć nadzwyczajne przywileje. Z wielu powodów – przede wszystkim dlatego, żeby czuli się ze swoim miejscem pracy silnie związani, aby obawiali się utraty tej pracy, aby starali się być jak najlepszymi urzędnikami, aby byli mniej chętni do – mówiąc oględnie – dorabiania sobie na boku. Kiedy słyszę, że ktoś się chwali, iż w jakimś rządzie zarobki były niskie, a premii nie było wcale, to zaczynam się bać, tym bardziej jeśli ci sami ludzie zapowiadają likwidację CBA.

Problem w tym, że w tej akurat kwestii PiS samo zła pało się we wnyki, które kiedyś zastawiło na politycznych przeciwników. Do wychowanych na populistycznej retoryce wyborców musi mówić językiem, który zrozumieją. Stąd ubiegłotygodniowa deklaracja radykalnego obniżenia uposażeń polityków każdego szczebla. Społeczeństwo może uzasadniona, ale dla dobrego funkcjonowania państwa nader ryzykowna.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

RZECZY POSPOLITE

Smoleński krzyż

Kolejna rocznica tragedii smoleńskiej. Kończą się marsze i modlitwy na Krakowskim Przedmieściu. Jest już pomnik, a na pełny raport ciągle trzeba czekać. Oddany niegdyś Rosjanom wrak jest do teraz w posiadaniu Putina. Za nami lata upokorzeń i cierpień, których doznały smoleńskie rodziny. Za nami historia najpierw niszczenia honoru i pamięci śp. gen. Błasika, a potem także heroicznej walki jego żony Ewy o prawdę. Za nami zmaganie się wielu innych rodzin, środowisk walczących ze smoleńskim kłamstwem.

Kończą się tzw. miesięcznice, ale one na zawsze staną w polskiej pamięci. Będą niezwykłym śladem polskiej godności, wiary, polskiego Ducha. Obrona krzyża na Krakowskim Przedmieściu przeciwko bluźnierstwom i atakom rozjuszonych gawiedzi. Im bardziej imperium rządowe Tuska mataczyło, im bardziej pograżało się w kłamstwach i im dłużej dezercerowało ze służby obywatelom oraz narodowi, tym bardziej upór i żelazna wola tych, których pogardliwie zwano „sektą smoleńską”, dawały świadectwo, że Polska żyje.

Walka o smoleński krzyż na Krakowskim Przedmieściu nabrała wymiaru symbolicznego. Chodziło bowiem nie tylko

o konkrety: śledztwo smoleńskie, kolejne, nawarstwiające się kłamstwa, brak elementarnej odpowiedzialności i obowiązku troski o ciała czy rodziny ofiar, lecz także o wartości najświętsze i najważniejsze dla naszej ojczyzny... Chodziło o wolność. O odwagę. O trwanie przy prawdzie nawet wtedy, gdy cały świat zwraca się przeciw tobie. O szacunek wobec tych, którzy zginęli, pełniąc służbę. O miłość do symboli. Do flagi. Do munduru. Chodziło o to, co wyżej stawiamy niż siebie – o dobro ojczyzny.

Tym samym i tragedia smoleńska, i walka o pamięć oraz prawdę o niej wyostrzyły nie tylko linię sporów, nie tylko rozpałyły do czerwoności polską debatę, lecz także wyznaczyły wyraźną oś sporu światopoglądowego, który wymaga dobrego definiowania siebie, umiejętności wyboru, stanięcia po „dobrej stronie”.

Smoleński krzyż urósł do rangi symboli najwyższych. To bowiem Krzyż Zbawiciela. Wpisany od wieków w historię Polski. Dzieje 96 miesięcznic smoleńskich wpisują się w jego – nie ziemską i nie świecką – perspektywę. Wpisują się w historię Ducha.



**Tomasz
Łysiak**

Lulki dla idiotów

Za co pan dostał 36,9 tys. zł w 2017 r.? Tylko szczerze...” – zahaczyła podsekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Rafała Bochenka pewna, powiedzmy, dziennikarka. Nie powiedziała tylko, że za chwilę w tej wielkiej grze wyświeśli mu się zegar i ile będzie miał czasu na odpowiedź. A miał mało, nawet nie zdążył się rozwinąć, gdy ona, dziennikarka Faktu24, oznajmiła, że czas minął... „Musimy kończyć” – stwierdziła nieubłaganie. I Bochenek się nie nagała.

Za to totalne media – wszak żyjemy w kraju rządzonego przez PiS łamiące demokrację i w ogóle, a opozycja sama ochrzciła się mianem totalnej – mają o czym rozprawiać na okrągło: że ci pisowscy reżimowcy przyznali sobie (uwaga!) premie. Skandal nad skandalem! Nagrody dla ministrów nie siodają z łamów ani ekranów. Totalni wykryli nawet, że ministrowie i sama pani premier Beata Szydło dostali je już rok wcześniej. „Sowite” – jak podkreślają. W 2016 r. „górny pułap” tych nagród – co ujawnił po wnikliwym śledztwie totalnie zaangażowany Krzysztof Brejza, obywatel poseł z Platformy – wyniósł aż 33 tysiąki. Ci to mają życie, dorwali się do koryta...

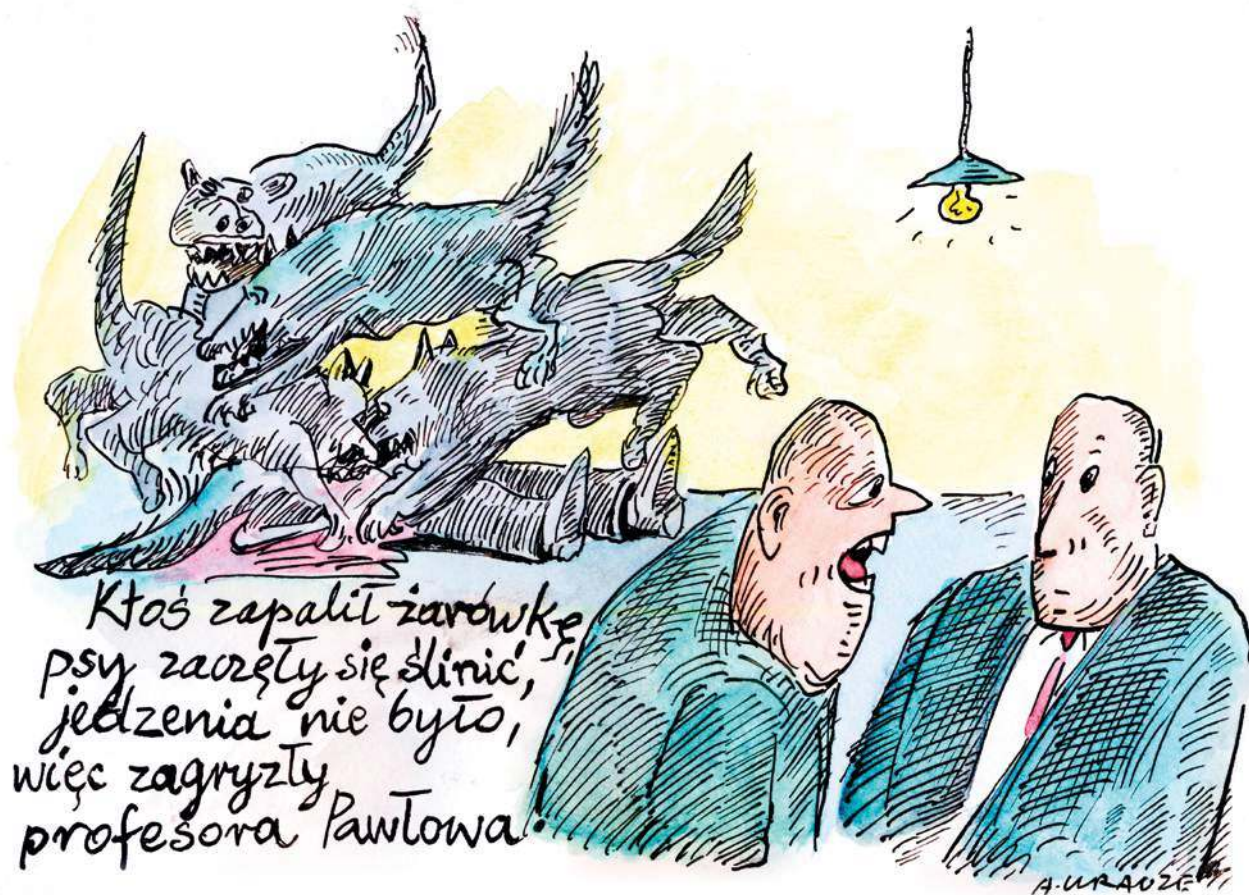
W kwestii formalnej, temu posłu Brejzu kwity dostarczył niejaki Michał Dworczyk, zdrajca kierujący kancelarią premiera. Tenże wydał, że premie dostali wszyscy szefowie resortów, od 8 do 33 tysięcy właśnie, a wiceministrowie skasowali od 6 do 15 tys. zł. Nie wiem, dlaczego premier Szydło dostała jedynie piętnastaka. Może dlatego, że zasłużyła tylko połowicznie, w końcu przepracowała jedynie pół kadencji – to byłoby logiczne.

Jak tak dalej pójdzie, gabinet prezesa Rady Ministrów trzeba będzie obsadzać ludźmi z łapanek, bo jego członkowie za robotę od rana do nocy mają mniej niż sklepikarz osiedlowy... – święte słowa minister Eli Bieńkowskiej, od 2014 r. komisarz UE do spraw rynku wewnętrznego i usług, która (zanim uciekła do Brukseli) zwierzała się byłemu szefowi CBA Pawłowi Wojtunikowi poufnie: „Ja dostawałam, powiem ci, 6 tysięcy... 6 tysięcy... Rozumiesz to? Albo złodziej, albo idiota... To jest niemożliwe, żeby ktoś za tyle pracował!”. Było tam coś jeszcze, że „pili, palili lulki, w dupie mieli całe górnictwo...”, ale pominę tę sekwencję od Sowcy & Przyjaciół. Jest afera?! Jest! Amber Gold, hazardowa i ile ich jeszcze było, toż to przy tej pryszcze...!



**Piotr
Cywiński**

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



Ktoś zapalił żarówkę,
psy zaczęły się ślinić,
jedzenia nie było,
więc zagryzły
profesora Pawłowa.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOLEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ
KOSTRZEWA-ZORBAS, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE,
DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI,
ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLIK, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK
PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA,

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECINSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIECIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN
WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA,
RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL
LUB LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 111 400 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL

TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

**REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).**



FOT. NA OKŁADCE: FOT. ANDRZEJ WIKTOR, JULITA SZEWCZYK, PAP/GRZEGORZ MICHAŁOWSKI,
PAPIEROSTAPSIENIE LECOCIO, CHARAKTERYZACJA: ANNA BEATA WASILEWSKA

W cieniu Smoleńska

Ta tragedia została odhumanizowana. Wielu ludzi nie traktuje jej jako dramatu konkretnych rodzin. Dali się przekonać, że to coś abstrakcyjnego z ich punktu widzenia, niewygodnego, a może nawet niebezpiecznego

Z Martą Kaczyńską rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Na okładce pierwszego numeru tygodnika „wSieci” w 2012 r. widniała zapowiedź wywiadu z panią i tytuł: „Dowiem się, co tam się stało”...

Marta Kaczyńska: ...wciąż wierzę, że kiedyś się dowiem. A jeśli nie ja, to moje córki. Dziś wszyscy jeszcze lepiej wiemy, jak bardzo skomplikowane jest wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej. Przesuwamy się do przodu, ale do poznania całej prawdy wciąż sporo brakuje. Pewnie i za kolejny rok jeszcze jej nie poznamy.

Jak pani ocenia te dwa i pół roku dobrej zmiany pod kątem dochodzenia do prawdy o 10 kwietnia?

Bardzo się cieszę, że w końcu udało się zaangażować do badania zagranicznych ekspertów. Dzięki temu realizujemy to, o czym mówiliśmy jeszcze w 2010 r. Takie rozwiązanie postulowałam z innymi przedstawicielami rodzin w Brukseli – aby zapewnić jak najbardziej wiarygodny dla wszystkich wynik badań. Pokładam duże nadzieje w efektach prac naukowców z National Institute for Aviation Research i w grupie ekspertów prokuratury. Liczę na to, że niezależne grono osób zupełnie niezwiązanych z naszymi politycznymi sporami będzie właściwe dla wyjaśnienia tej tragedii.

Pozwoli m.in. znaleźć ostateczną odpowiedź na jedno z zasadniczych

pytań: czy na pokładzie Tu-154M doszło do wybuchu?

Wiem, że są podstawy, by formułować takie domniemanie, choćby sądząc ze stanu ciał niektórych ofiar czy na podstawie miejsca ich znalezienia. Ale ostatecznego dowodu na wybuch nie ma.

Czy tempo prac panią satysfakcjonuje?

Tu nie chodzi o tempo, o żadne terminy. Absolutnie nie należy sugerować się kolejnymi rocznicami. Zwłaszcza że widzimy, jak trudna jest ta sprawa, przy tak okrojonym materiale dowodowym. Wrak nie został nam oddany i osobiście nie sądzę, żeby to było możliwe.

Ale czy po dwóch i pół roku nie spodziewała się pani jednak, że nowy rząd zrobi więcej? Nie jest pani zadowolona?

Nie. Wiem, w jak trudnych warunkach przyszło temu rządowi działać. Katastrofa smoleńska to dla wielu niewygodna sprawa – również dla naszych sąsiadów, sojuszników. Niestety nie możemy liczyć na jakiegokolwiek wsparcie.

Nie oczekiwała pani, że prokuratura np. nieco szybciej postawi jakieś zarzuty – jeśli nie w śledztwie głównym, to w którymś z pobocznych?

Mam świadomość, jak wyglądają codziennosc i procedury w wymia-

rze sprawiedliwości i że nie można oczekiwać szybkich rezultatów. Jedynie, co mnie zdziwiło w tym czasie, to brak pełnej współpracy pomiędzy prokuraturą a podkomisją. Docierają do mnie informacje, że pomiędzy tymi instytucjami nie ma nawet odpowiedniego przepływu informacji. Przecież to jest absolutnie priorytetowa rzecz. I należałoby w niej łączyć siły, a nie współzawodniczyć.





Dlaczego pani zdaniem tak się dzieje?

Proszę o to pytać przewodniczącego podkomisji i jej członków. To nie są pytania do mnie.

Powodów braku tej współpracy należy szukać właśnie w podkomisji?

Nie chcę nikogo oskarżać. Przeciwnie – bardzo doceniam zaangażowanie i pracę członków komisji. Zwłaszcza tych osób, które w 2011 czy 2012 r., jeszcze za rządów poprzedniej ekipy, miały odwagę prowadzić prace i głośno o tym mówić. To wymagało charakteru, wielkiej odporności. Nie chciałabym kogokolwiek dyskredytować. Nie jestem tak blisko ani komisji, ani prokuratury, by wydawać jednoznaczne sądy. Patrząc z boku, mogę tylko powiedzieć, że te dwa gremia powinny współpracować. A tak nie było. Mam nadzieję, że wreszcie się to zmieni.

Wiele razy słyszeliśmy już o ustaleniach ostatecznych, definitywnych. Ale wciąż, osiem lat po katastrofie, oficjalnym dokumentem państwa polskiego jest raport komisji Millera. Jest pani w stanie to zaakceptować, czekając na końcowy raport podkomisji, czy oczekuje publikacji cząstkowych ustaleń?

Opinia publiczna pewnie chciałaby poznać jakieś szczegóły dotychczasowych analiz. Ale ja osobiście wolałabym poczekać dłużej. Jestem cierpliwa, jeśli chodzi o tę sprawę.

Słyszemy to od wielu rodzin. Ale w ostatnim wywiadzie premier Kaczyński mówił, że można się spodziewać raportu „technicznego”.

Wyjaśnijmy jedno – nasza rozmowa odbywa się bez żadnej wiedzy i konsultacji z moim stryjem. Nie mam takiego zwyczaju. Wypowiadam swoje prywatne zdanie: poczekalabym na końcowe ustalenia naukowców. Oni też potrzebują spokoju do pracy, a nie bombardowania terminami i koniecznością pisania cząstkowych raportów. A poza tym byłoby to pro-

wokowanie niepotrzebnych sensacji i dyskusji. Ta sprawa żyje, jest w toku. Pozwólm ją spokojnie dokończyć. Wiemy też, jakie jest nastawienie społeczne do katastrofy smoleńskiej. Niektórzy mają jej dosyć. Jeżeli ja

Jeżeli ja miałabym o tym decydować, skoncentrowałabym się na przygotowaniu rzetelnego, ostatecznego dokumentu. A dywagowanie o nie do końca potwierdzonych okolicznościach katastrofy jest po prostu szkodliwe

miałabym o tym decydować, skoncentrowałabym się na przygotowaniu rzetelnego dokumentu. A dywagowanie o nie do końca potwierdzonych okolicznościach jest po prostu szkodliwe.

Spotyka się pani osobiście z tym, że ludzie odwracają głowy od Smoleńska?

Tak, już dawno mówiłam, że ta tragedia została odhumanizowana. Wielu ludzi nie traktuje jej jako dramatu konkretnych rodzin. Dali się przekonać, że to coś abstrakcyjnego z ich punktu widzenia, niewygodnego, a może nawet niebezpiecznego. Była np. mowa, że grozi nam wojna z Rosją. Niektórzy myślą w takich kategoriach.

Czy te zjawiska, o których pani mówi, nie spowodują, że dla niektórych Polaków ta katastrofa już nigdy nie będzie przekonująco wyjaśniona? Że będziemy ją mierzyć „wiarą” w zamach – jak w kolejnym głośnym sondażu sprzed kilku dni?

Zadawanie takich pytań w badaniach sondażowych jest po prostu podstęp-

pem. Jak można wierzyć – lub nie – w zamach? Ta katastrofa miała miejsce naprawdę. Albo zakładamy, że mogło dojść do zamachu – na podstawie tego, co wiemy – albo nie. Chodzi o racjonalne myślenie, a nie wiarę. Samo stawianie sprawy w taki sposób jest manipulacją. Ale odpowiadając na panów pytanie: prawda zawsze się obroni. Jeżeli będziemy mieli naukowo potwierdzone okoliczności tego wydarzenia – niezależnie od tego, jakiekolwiek by one były – trzeba je uczciwie pokazać. I koniec.

Jakie znaczenie będzie mieć odsłonięcie pomnika ofiar tragedii na pl. Piłsudskiego?

To ważny moment. Ma symboliczne znaczenie dla pamięci o ofiarach, które zostaną uczczone w sposób godny w sercu Warszawy. Ponadto zamknie się pewien etap ich upamiętniania, zakończą się comiesięczne przemarsze przez centrum stolicy. Choć msze św. wciąż będą się odbywać. Modlitwa za ofiary jest potrzebą serc osób uczestniczących w miesięcznicach.

Skoro nie będzie marszów, to nie będzie też kontrmanifestacji?

Trudniej będzie znaleźć do nich pretekst, choć wciąż zapewne będziemy słyszeć, że pomnik należy rozebrać.

Nie boi się pani, że to się stanie?

Nie wierzę, że ktoś naprawdę mógłby uważać, iż ten pomnik należałoby zburzyć, a co dopiero chcieć to zrealizować.

Ale słysząc takie deklaracje. Mówią o tym nie jacyś anonimowi hejterzy, lecz konkretni politycy, liderzy największej partii opozycyjnej.

Nie jestem w stanie pojąć, jak można w ten sposób myśleć. Oni już mieli okazję „dobrze się przedstawić” w sprawie Smoleńska. Mówiąc takie rzeczy, dobitnie pokazują, jakimi są ludźmi.

Czy pomnik śp. prezydenta stanie w Warszawie w listopadzie?



Nie wiem. 10 kwietnia zostanie pod ten monument wmurowany kamień węgielny. Mój tata był warszawiakiem, urzędnikiem państwowym z doświadczeniem jak mało który polityk w naszym kraju. Kochał Warszawę, był jej prezydentem, honorowym obywatelem. Był bardzo zasłużony zarówno dla miasta, jak i dla Polski. Powinien więc mieć swoje miejsce w Warszawie.

Ma wreszcie swoją ulicę.

Właśnie nie wiem, jak wygląda sytuacja z aleją Lecha Kaczyńskiego – do niedawna Armii Ludowej. Gdy byłam przed kilkoma tygodniami w Warszawie, jechałam taksówką i poprosiłam kierowcę – nieco prowokacyjnie – byśmy pojechali al. Armii Ludowej.

Rozpoznał panią?

Chyba nie. Zdziwiłam się, bo powiedział: „Nie, Armii Ludowej już nie możemy”. Zapytałam dlaczego. „Bo to już jest al. Lecha Kaczyńskiego”. Pokazał mi nawet na mapie Google, że nazwa została zmieniona. Jednak tabliczki przy tej arterii są stare. Nie wiem więc, na ile zmiana formalnie stała się faktem. Mam nadzieję, że

w Warszawie al. Lecha Kaczyńskiego się ostanie. Byłoby pięknie. Ta ulica przechodzi w Wawelską, dalej – przy

Mam nadzieję, że w Warszawie al. Lecha Kaczyńskiego się ostanie. Ta ulica przechodzi w Wawelską, dalej – przy pomniku Lotnika – skręca na lotnisko. Ta trasa mocno kojarzy mi się z tatą

pomniku Lotnika – skręca na lotnisko. Ta trasa mocno kojarzy mi się z tatą.

Prawnie zmiana nazwy ulicy w stolicy wygląda inaczej niż w Gdańsku, bo nad Motławą sąd administracyjny przychylił się do wniosku władz miasta i uchylił zarządzenie wojewody zmieniające nazwy ulic.

Jest mi przykro z tego powodu, ale powiem szczerze, że nie byłam zwo-

lenniczką rozwiązania, które zostało tutaj preforsowane.

Dlaczego?

Zdaję sobie sprawę ze specyfiki Trójmiasta i wiedziałam, z jakim oporem spotka się tu decyzja wojewody, że zostanie to politycznie rozegrane przez władze miasta. Wszelkie tego typu konflikty nie służą dobrej pamięci o moim ojcu. Ale cieszę się, że jesteśmy coraz bliżej odsłonięcia tablicy na Uniwersytecie Gdańskim. Mam nadzieję, że w czerwcu ojciec zostanie tam godnie upamiętniony.

Był wieloletnim wykładowcą tej uczelni.

W dodatku bardzo cenionym przez studentów. Do dziś zdarzają mi się sytuacje tego dowodzące. Kilka tygodni temu odbierałam córkę z klasowego wyjścia do kina. Zaczepiła mnie pewna starsza pani z wnuczkim, mówiąc: „Dzień dobry, w latach 70. byłam studentką pani ojca”. Zaczęła mi opowiadać, jakim tata był wykładowcą, jak studenci go cenili, podkreślała, że zawsze wykladał bez kartki, jak bardzo interesujące były zajęcia z nim. I że wcale nie było tak łatwo u niego zdać. Ale był ceniony również jako człowiek



po prostu sympatyczny, otwarty na innych. To dla mnie niezwykle ważne, że ktoś zupełnie bezinteresownie podchodzi do mnie i ma potrzebę zwierzenia się ze wspomnień z tak odległej przeszłości.

To, jakim naprawdę był człowiekiem, dla wielu wciąż jest bardzo niewygodne. Nie mogą znieść, że jego idee, na których powstało PiS, przekonały w 2015 r. Polaków. Media związane z tymi, którzy wówczas przegrali, wciąż piszą, że Prawo i Sprawiedliwość objęło władzę

dzięki – jak to ujmują – „smoleńskiemu kłamstwu”...

A nie dzięki propozycjom związanym z gospodarką, z państwem solidarnym otwartym na rodziny? Zawsze, gdy zbliża się rocznica katastrofy, chcą tą sprawą nas dzielić, by budzić niechęć do PiS. To stary, sprawdzony mechanizm rozkręcania negatywnych emocji. Na tej samej zasadzie gra się tematem aborcji, który nie ma z Prawem i Sprawiedliwością nic wspólnego. To przecież projekt zewnętrzny, obywatelski, a manifestacje organizuje się pod siedzibą partii rządzącej. Próbuje

się w ten sposób wdrukować ludziom do głów, że to PiS chce zaostrzyć przepisy dotyczące dopuszczalności aborcji. I to się poniekąd udaje.

Jak pani ocenia rząd zjednoczonej prawicy po półmetku?

Dobrze. Dużo się zmienia. Najczęściej mówi się oczywiście o programie 500+ i ja też nie będę unikać tego tematu, bo on otwiera całkiem nowe perspektywy przed polskimi rodzinami. Dzietność się zwiększa, nawet przechodzi oczekiwania. Biorąc pod uwagę nasze tendencje do zmniejszania się rodzin i starzenia się społeczeństwa, należy uczciwie powiedzieć, że teraz Polska rozkwita. To jest program dla wszystkich, którzy planują mieć więcej niż jedno dziecko.

Krytyczna pierwotnie opozycja teraz chce ten program poszerzać. Z sukcesem 500+ już mało kto dyskutuje. Na co jeszcze zwróciłaby pani uwagę?

Cieszy mnie, że coraz bardziej uniezależniamy się energetycznie. W Świnoujściu działa gazoport im. Lecha Kaczyńskiego. To jest naprawdę piękny pomnik dla mojego ojca. Dla niego polska niezależność energetyczna była priorytetem. Rzadko się to podkreśla, ale przecież ta kwestia zmienia naszą codzienność. Jako matka cieszę się także z reformy szkolnictwa i likwidacji gimnazjów, choć zdaję sobie sprawę z pewnych problemów. W trakcie egzaminów do liceum moja córka będzie rywalizować z dziećmi z tego samego rocznika oraz z młodszymi, bo akurat te dwie grupy się spotkają. Ale to niedogodność, która dotknie tylko te roczniki. Na przykładzie starszej córki wiem, z czym wiąże się przejście do gimnazjum, i jestem pewna, że to nie jest dobre rozwiązanie. Ogromne znaczenie dla sprawnego funkcjonowania państwa i dla nas wszystkich ma uszczelnienie systemu podatkowego. Zeszłoroczny budżet osiągnął najlepszy wynik od 1990 r., deficyt sektora finansów publicznych był w 2017 r. najniższy w historii, a wartość bezwzględna długu publicznego spadła. Trwa modernizacja dróg, kolei, w perspektywie mamy budowę lotniska

centralnego i portu centralnego. Unia Europejska przyznała nam kolejne dotacje na rozwój infrastruktury kolejowej. Z tego, co wiem, absorbujemy unijne środki znacznie sprawniej niż za rządów PO-PSL. Zakupiliśmy od Amerykanów system obrony przeciwrakietowej Patriot. Pod Szczecinem i w Orzyszu stacjonują żołnierze NATO. Jesteśmy bezpieczniejsi. Zacieśniamy współpracę gospodarczą z USA, czego namacalnym dowodem jest powołanie w ostatnich dniach Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej. Instytucja ta ma ułatwić polskim przedsiębiorcom wejście na amerykański rynek i sprzyjać amerykańskim inwestycjom w Polsce. Polska rozwija się na wielu płaszczyznach. Nie da się temu zaprzeczyć.

Również pierwszą połowę kadencji, m.in. sprawy socjalne, uznaje pani za sukces. Po co więc była zmiana na stanowisku premiera? Czy nie ma pani wrażenia, że ludziom niezbyt precyzyjnie to wytłumaczono?

Nie wiem, czy jeszcze ktokolwiek się nad tym zastanawia. Chyba ludzie patrzą już do przodu, na kolejne wyzwania. Po prostu na ten etap „socjalny” Beata Szydło była nieoceniona, doskonale pełniła swoją funkcję. Zrealizowała to, co Polakom obiecała. Teraz jesteśmy na kolejnym etapie. Jest rzeczą normalną w demokracji, że wewnątrz obozu rządzącego dochodzi do rotacji nie tylko w momencie jakiegoś kryzysu, lecz właśnie wtedy, gdy pojawiają się nowe wyzwania. Nikt nie powinien się na to obrażać. Doskonale pamiętam, że właśnie tak do swoich obowiązków – jak do służby – podchodził mój ojciec. Gdy był prezesem NIK, pracował nad ustawą o Izbie, która doprowadziła do tego, że musiał z tego stanowiska odejść. Nie był przywiązany do fotela, lecz pracował dla instytucji, dla państwa. W demokracji każdy ma swoją rolę. Zresztą pani Beata Szydło nie opuściła Rady Ministrów, wciąż w niej działa. A to, że doszło do zmiany na stanowisku premiera, pokazuje dobitnie, iż ten obóz rozumie, na czym polega praca zespołowa.

Dobra zmiana zaczęła się od zwycięstwa wyborczego Andrzeja Dudy. Jego współpraca z obozem rządowym do ostatnich wakacji szła gładko. Co się stało? – pytamy w kontekście kolejnego weta, tym razem w sprawie ustawy degradacyjnej.

Gdy polityk zostaje prezydentem, nie może już być tak blisko związany ze swoim obozem, lecz staje się prezydentem wszystkich Polaków, to jasne. Ale nie ukrywam, że niektóre decyzje pana prezydenta bywają zaskakujące. Ostatniego weta się nie spodziewałam.

Stryj jest osobą odpowiedzialną, liczy biegnące lata, ale też nie jest tak, że on się jakoś intensywnie szykuje na emeryturę. Wielu pewnie by chciało, aby skoncentrował się na wnukach i pisaniu wspomnień

Było dla pani rozczarowaniem? W mediach, także przychylnych prezydentowi, pojawiły się głosy, że odezwał się od swojego obozu, a przez to nie zgłasza w niego wielu zagorzałych wyborców PiS.

Trzeba to ocenić jako bardzo ryzykowny ruch pana prezydenta. Z jednej strony być może pozbawił się części głosów, ale też utrzymał – czy zdobył – inne. Pytanie brzmi, którzy wyborcy są dla niego ważniejsi. Nie chciałabym myśleć, że wchodzimy w etap kampanii wyborczej, że weto w sprawie ustawy degradacyjnej było „pod kogoś”.

Często rozmawia pani ze stryjem?

Czasem nawet kilka razy w tygodniu. Choć nie ma jakiejś gorącej linii między nami. Nie omawiamy każdej sprawy. On jest w Warszawie, ja mam swoje życie w Trójmieście,

więc na wiele spraw patrzę z innej perspektywy.

Spojrzenie z dystansu czasem może być bardzo cenne. Rozmawiacie o polityce?

Stryj bardzo lubi słuchać ludzi i sam bardzo ciekawie opowiada. Mało kto ma taką wiedzę, zna tyle anegdot. Lubię też jego poczucie humoru, podobne zresztą miał mój tata. A wracając do rozmów – on jest ciekawy ludzi, ich codzienności. Niejako dla niego pytam czasem inne osoby o pewne sprawy, także polityczne. Chcę wiedzieć, jak przeciętni ludzie odbierają zmiany, które zachodzą w Polsce, i dzielę się tą wiedzą.

A co pani słyszy od stryja? Jakie on stawia sobie cele?

Chyba panów nie zaskoczę. Wszyscy wiemy, że zwłaszcza w ostatnim czasie polska polityka skupia się na kwestiach międzynarodowych. Dla niego także ważne są nasze relacje z zagranicą i wygaszanie wszelkich konfliktów. Ale on jest zarzucony takim ogromem spraw, że w naszych rozmowach staram się poruszać przede wszystkim tematy rodzinne, osobiste. Po ludzku, jak bratanica. Pytam, jak się czuje, czy pyłki olchy dają mu spokój, czy wciąż pył. Bardzo lubi słuchać opowieści o moich córkach, a zwłaszcza tych związanych z ich jeździecką pasją. Interesują go też sprawy szkolne. Mimo dzielącej nas odległości się zawsze mogę na niego liczyć.

Co jakiś czas w mediach pojawia się temat sukcesji po nim na prewicy. Czy jemu samemu zaprzęta to głowę?

Takie dywagacje toczą się od lat. Przecież nawet były polityk Prawa i Sprawiedliwości, którego nazwiska nie chcę nawet wymieniać, wydał książkę „Koniec PiS-u”. I PiS się nie skończył, i ten polityk dzielnie się trzyma, zaliczając kolejne ugrupowanie. Muszę przyznać, że to bardzo przykra historia i mój osobisty zawód, bo to człowiek, który był naprawdę blisko, a rzeczywistość pokazała, że był bardzo daleko od nas.

Co z przyszłością stryja? Myśli o tym, kto mógłby zostać kontynuatorem jego misji?

W pewnym stopniu na pewno. Jest osobą, która myśli perspektywnie, zależy mu na Polsce i ważne sprawy traktuje na prawdę realnie. Na pewno chce, by jego wizja, wizja Prawa i Sprawiedliwości była kontynuowana. Najgorsze, co mogłoby się wydarzyć, to jakiś spór o to, kto miałby przejąć schedę po nim. To mogłoby grozić rozpadem tego wielkiego obozu, który należy przecież uznać za pewien fenomen. Przetrwał najtrudniejsze czasy opozycji, dla ludzi nie było łatwe trzymać się tej formacji i nie zmieniać zdania.

Widzę, jak bardzo moim córkom brakuje dziadków. To jest wyrwa. Nasza rodzina jest okrętem, który płynie, ale jest przechylony

A okazało się, że nie dość, iż przetrwali, to jeszcze wygrali. Stryj jest osobą odpowiedzialną, liczy biegające lata, ale też nie jest tak, że on się jakoś intensywnie szykuje na emeryturę. Wielu pewnie by chciało, aby skon-

centrował się na wnukach i pisanii wspomnień.

Nie ma ochoty nieco zwolnić, odpocząć?

To nie ten etap. Na swój sposób to jest imponujące. Wiele osób od niego młodszych takiego tempa by nie wytrzymało, wielu pozornie mocniejszych chciałoby mieć taką siłę jak on. Może dlatego z każdego jego małego przeziębienia robi się wielką chorobę. Wtedy wielu myśli, że to może już ta emerytura. Ale grubo się mylą.

Od tragedii smoleńskiej minęło osiem lat. Czy ta rana wciąż jest otwarta?

Czas powoduje, że wydarzenia z 10 kwietnia 2010 r. momentami sprawiają wrażenie aż nierealnych. Łapię się na tym, że pojawia się myśl, iż taka katastrofa nie mogła się wydarzyć... Tęsknota za rodzicami, za najbliższymi osobami pozostaje i jest wciąż ogromna. Nie tylko we mnie.

A w jaki sposób Smoleńsk jest obecny w życiu pani córek?

Ostatnio robiłam coś w kuchni, słuchałam radia, trwał wywiad z Jackiem Sasinem. Mówię do starszej córki: „Chodź, Ewa, Jacek mówi o dziadku”. Najpierw opowiadał o ich wspólnej pracy w warszawskim ratuszu, potem przeszedł do wspomnień z 10 kwietnia. Nie mogła tego słuchać. Wyszła. Miała łzy w oczach. Osiem lat temu była przecież małą dziewczynką, ale wciąż trudno jej przywyknąć do tego, że dziadkowie zginęli. To boli. Nie mówi o tym, ale wiem, że cierpi. Nie izolowałam córek od tej sprawy, ale też nie epatowałam nią. Dbałam o to, by miały beztroskie dzieciństwo, ale cień tego, co się wydarzyło, zawsze będzie na nie padał.

Pytają o dziadków?

Tak. I staram się dużo o nich opowiadać. Chcę, żeby interesowały się tym, co robił dziadek, jakimi ludźmi byli moi rodzice. Mimo że ich z nami nie ma, to chciałabym, aby czerpały z ich podejścia do życia i do ludzi. Widzę, jak bardzo moim córkom brakuje dziadków. To jest wyrwa. Nasza ro-



dzina jest okrętem, który płynie, ale jest przechylony. To pewnie jest też obciążenie dla innych dzieci i wnuków ofiar tej katastrofy. O tym się zapomina. Również dlatego w badaniu tej sprawy potrzebna jest cisza. Z szacunku dla bliskich.

Kilka lat temu skarżyła się pani, że paparazzi nie dają żyć waszej rodzinie. Wtedy tłumaczyła to pani chęcią uderzenia w stryja. Jak jest dziś?

Podobnie. Kilka lat temu, gdy mówiłam te słowa, PiS nie było przy władzy. Wciąż czuję się „narzędziem” do uderzania w stryja. To jest oczywiste. Wiem to ja, dzieci także zdają sobie z tego sprawę. Nie byłoby tego zainteresowania, gdybym była tylko – oczywiście „tylko” i „aż” – córką prezydenta niezwiązaną z bieżącą polityką. Ale za sprawą stryja jestem kojarzona politycznie i śledzi się nasze poczynania. Nie wytaczam jednak hurtowo proce-

Nie ukrywam, że niektóre decyzje pana prezydenta bywają zaskakujące. Ostatniego weta się nie spodziewałam

sów, bo mam tylko jedno życie i szkoda mi czasu na spory sądowe.

Tabloidy znów starają się być na bieżąco z pani życiem. Niby udało się trochę stępić tę żarłoczność uśmiechem i żartem, ale nasilenie zainteresowania jest chyba odczuwalne?

Liczba nieprawdziwych informacji na mój temat ostatnio trochę mnie przytłoczyła. Pewnego dnia jedząc obiad, stwierdziłam, że wyrażę swój stosunek do tych rewelacji. Spontanicznie napisałam kilka zdań. Zdaję sobie

jednak sprawę, że moje słowa giną w tym zamieszaniu. Gazety potrzebują po prostu co jakiś czas nowej dawki informacji, niekoniecznie prawdziwych. I mają na to taki przepis, że jakieś historyjki w połączeniu z nazwiskiem Marta Kaczyńska dają efekt. Gdzieś na końcu cel jest jeden – uderzyć w Jarosława Kaczyńskiego. Ale nie popadajmy też w paranoję, nie jest tak zawsze.

Mówi pani o kłamstwach na swój temat, ale patrzymy na panią i poza tym, że świetnie pani wygląda, to widzimy także, że niektóre z ostatnich doniesień są prawdziwe...

Tak, są prawdziwe, ale czy to dobry moment, żeby mówić o mnie? Po-przestańmy na tym, że jestem bardzo szczęśliwa. Każdemu życzę takiego pocucia. Żałuję tylko jednego – że tym wszystkim nie mogę się dzielić z moimi rodzicami. Ale mam nadzieję, że gdzieś z góry to widzą.

REKLAMA

Nie odchudzimy Twojego kota...

**Możemy
odchudzić
Twoje
raty,**

by były proste
do spłaty!



Pożyczka Fit

RRSO
6,23%

**Przyjdź
i sprawdź!**

kasastefczyka.pl

801 600 100 (koszt połączenia wg taryfy operatora)



KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 21.03.2018 r.

eprasa.pl 3c981d2245

Nie ma żadnych wątpliwości, że gdyby nie zmiana polityczna w Polsce, gdyby nie zmiany w prokuraturze, gdyby nie to, że Mariusz Kamiński został koordynatorem służb specjalnych, gdyby nie to, że Ernest Bejda został szefem CBA, to afery reprivatyzacyjna nie miałaby realizacji procesowej

Zachowałem się tak, jak należało

Z Maciejem Wąsikiem, zastępcą koordynatora służb specjalnych i sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, rozmawiają Jacek Karnowski i Wojciech Biedroń

Jaki charakter miały pana relacje z braćmi R. – Jakubem i Marcinem? Ten pierwszy uważany jest za jedną z kluczowych postaci afery reprivatyzacyjnej w Warszawie. Siedzi w areszcie, skąd pisze listy pełne oskarżeń pod pana adresem.

Maciej Wąsik: Nigdy nie wypierałem się bliskiej znajomości z Marcinem Rudnickim, bratem Jakuba R. To był mój bardzo dobry kolega, kumpel, a nawet sądziłem, że przyjaciel. Najpierw w ogólniaku chodziliśmy do jednej klasy, później razem studiowaliśmy. Znajomość trwała także przez dość długi czas po studiach. Byłem świadkiem na jego ślubie, ojcem chrzestnym jego córki. Nasze drogi rozeszły się mniej więcej 10 lat temu.

Dlaczego?

To się stało z przyczyn naturalnych. Wybraliśmy różne drogi życiowe, pojawiły się dzieci, zaczęło brakować czasu.

A znajomość z Jakubem R.?

Z nim samym nie utrzymywałem bliższych kontaktów towarzyskich. Jakub R. funkcjonował wokół mnie jedynie jako brat Marcina Rudnickiego.

Media opozycyjne, w tym TVN, budują wokół pana dawnej znajomości z braćmi R. atmosferę sensacji. Publikują zdjęcia z archiwów rodzinnych, które mają dowodzić, że coś pan ukrywa.

To są prymitywne manipulacje. Na podstawie mojego twierdzenia, że nie przyjaźniłem się z Jakubem R., próbuje się przypisać, że wypieram się znajomości z Marcinem Rudnickim. A chwilę potem z mojej dawnej przyjaźni z nim próbuje się zrobić przyjaźń z Jakubem R. Zdjęcia, które są prezentowane, w bezdyskusyjny sposób dotyczą mojej znajomości z Marcinem. Po prostu nie było bliskich kontaktów moich czy Mariusza Kamińskiego z Jakubem R.

Czy był to człowiek związany z waszym środowiskiem, a więc Niezależnym Zrzeszeniem Studentów?

Jakub R. nigdy nie był związany z NZS. Marcin Rudnicki, owszem, tak.

Cała rodzina ciążyła jednak w stronę prawicy?

Nie. Ojciec Wojciech R., który również ma zarzuty w sprawie reprivatyzacji, był w rządzie PO-PSL ministrem zdrowia z ramienia PSL, Alina D., matka braci, była w przeszłości obrońcą generała SB Władysława Ciestonia, który był oskarżony o współudział w zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki. Marcin Rudnicki, owszem, działał w Pomarańczowej Alternatywie, w NZS, ale taki był wówczas pokoleniowy trend. Wielu ludzi działało, a później trafiło w bardzo różne miejsca. Nie możemy też zapominać, że cała ta rodzina odnosiła poważne korzyści materialne z afery reprivatyzacyjnej: zarówno ci bezpośrednio zaangażowani, jak i ci stojący z boku. Ci drudzy, jak wynika z materiałów, otrzymywali bardzo duże darowizny zarówno rzeczowe, jak i pieniężne. Chodzi o milionowe przelewy, jakich Alina D. i jej mąż dokonywali na rzecz swoich dzieci oraz przekazywanie im atrakcyjnych nieruchomości, często wielohektarowych w atrakcyjnych lokalizacjach. Wątek ten jest analizowany przez organy ścigania. Chodzi o nieruchomości nie tylko w Polsce, lecz m.in. na Florydzie.

Czyli Jakub R. dzielił się tym, co „zarobił” na reprivatyzacji?

Darowizny szły do wielu członków rodziny. Można postawić tezę, że działalność Aliny D. oraz Jakuba R. była podstawą powodzenia materialnego całej rodziny, tego się nie da rozdzielić. A mówimy o kwotach naprawdę szokujących.

Jaka była rola Jakuba R. w działaniach tzw. mafii reprivatyzacyjnej?

Śledztwo pokaże dokładnie, kto był najważniejszą osobą tego procederu, ale niewątpliwie Jakub R. i jego matka odgrywali w nim kluczową rolę.

Mówimy o człowieku, który jest bratem pana dawnego przyjaciela.

Tak. Za wielką aferą, do której doszło w Warszawie, współodpowiedzialna jest rodzina mojego byłego kumpla. To nie jest ani mile, ani łatwe. Ale nie można było postąpić inaczej. Zachowałem się tak, jak należało.

W tym sensie, że dawna znajomość nie wpływała na działanie CBA?

To, że znałem Marcina Rudnickiego, że wokół kręcił się jego brat Jakub, że znałem rodziców obu panów, nie miało żadnego wpływu na przebieg postępowania w tej sprawie. Organy państwa, za które odpowiadamy, zachowały się zgodnie z interesem publicznym. Gdyby ta znajomość miała wpływ na to, co robiło i co robi np. CBA, to rzeczywiście mielibyśmy do czynienia z wielkim skandalem. A jest dokładnie odwrotnie. Powtarzam: zachowaliśmy się tak, jak powinniśmy się zachować. CBA podjęło działania z determinacją, zostały zatrzymane osoby podejrzane o poważne przestępstwa, prokuratura postawiła zarzuty, śledztwo idzie dobrym torem.

Zabierając się do tej sprawy, musieliście mieć świadomość, że fakt dawnej znajomości może zostać wykorzystany przeciwko wam.

Byliśmy pewni, że taki atak wcześniej czy później nastąpi, nie znaliśmy jedynie jego kierunku. Ale co mieliśmy robić, odpuścić? W życiu! Ale nie przyszło mi do głowy, że to będzie np. fałszywe sugerowanie mi homoseksualizmu...

...na podstawie zdjęcia z młodzieńczej imprezy, na której ściska i całuje pan Marcina R.

Tak, to były wyglupy z bardzo dawnych czasów, konkretnie z imienin Marcina R. świętowanych w Dębkach w towarzystwie naszych rodzin. Są osoby, które były świadkami tej sytuacji i które mogą zaświadczyć, że nie można z tego wywodzić żadnych wniosków dotyczących mojej orientacji. Ale to pokazuje bezwzględność tych ludzi, choć nie ich skuteczność, bo homoseksualizmu jednak nie da mi się przypisać [śmiech]. Nie takie armaty wytaczano przeciwko nam. Przypomnę choćby wyrok wydany przez sędziego Łączewskiego, skazujący nas na trzy lata więzienia i dziesięcioletni zakaz pełnienia funkcji publicznych za aferę gruntową. Wyrok, który miał oznaczać naszą cywilną śmierć. Prawda i tym razem zwycięży.

Ma pan żal do swojego dawnego przyjaciela Marcina Rudnickiego, który w pewnym sensie stoi za tą próbą wrobienia pana i pana współpracowników w dziką reprywatyzację?

Nie można tego rozpatrywać w kategoriach żalu. Marcin Rudnicki jest częścią rodziny, która walczy nie tylko „o życie”, lecz także o majątek. W mojej ocenie niewykluczone,

że prokuratura będzie występowała do sądu o zastosowanie konfiskaty rozszerzonej. Chodzi o wiele, wiele milionów złotych. Zarzuty mówią o przyjęciu bądź żądaniu przez Jakuba R. i jego matkę łapówek w kwocie ok. 50 mln zł. A to przecież nie koniec śledztwa.

W artykule „Gazety Wyborczej” pt. „Towarzyski układ Wąsika i Kamińskiego”, opartym na relacji braci R., znalazło się wiele zarzutów dotyczących pana znajomości z tymi ludźmi. Np. to pana środowisko miało załatwić Jakubowi R. pracę w stołecznym Biurze Gospodarki Nieruchomościami.

To jest po prostu nieprawda, wielka bzdura. Nie wiedzieliśmy nawet, że Jakub R. stara się o pracę w ratuszu. Załatwił to sobie sam, własnymi kanałami. Jestem przekonany, że śledztwo pokaże, kto stał za zatrudnieniem Jakuba R. w warszawskim ratuszu. Na pewno nie byliśmy to my.

W związku z tą sprawą opozycja forsuje pomysł, by doprowadzić do swego rodzaju konfrontacji pana i Jakuba R. na komisji weryfikacyjnej.

Proszę pamiętać, dlaczego Jakub R. siedzi w areszcie. Otóż dlatego, że istnieje oczywista możliwość mactwa, utrudniania postępowania. Trzeba podkreślić, że donosy zostały napisane dopiero po niemalże roku przebywania w areszcie! To przemyślana strategia i gra Jakuba R. Wezwanie go w tej chwili byłoby daniem mu tuby. Mógłby sugerować zainteresowanym, jak się zachowywać, co mówić, w jaki sposób się bronić, czyli tak naprawdę mactać. A śledztwo jest przecież nadal rozwojowe. Jakub R. powinien być przesłuchany do-

piero po zakończeniu śledztwa, kiedy prokuratura zweryfikuje wszystkie zeznania i wyjaśnienia, kiedy prześwietli wszystkie okoliczności, ustali fakty i skieruje akt oskarżenia.

I trzeba tu powiedzieć jedną rzecz w kontekście żądań „konfrontacji” przez przedstawicieli opozycji w komisji weryfikacyjnej. Nie ma żadnych wątpliwości, że gdyby nie zmiana polityczna w Polsce, gdyby nie zmiany w prokuraturze, gdyby nie to, że Mariusz Kamiński został koordynatorem służb specjalnych, gdyby nie to, że Ernest Bejda został szefem CBA, to afery reprywatyzacyjna nie miałaby realizacji procesowej. Przypomnę, że prokuratura we Wrocławiu postawiła zarzuty w sprawie reprywatyzacji 26 osobom.

Prokuratura pewnie i tak zajęłaby się sprawą.

Prokuratura potrzebuje silnego partnera w śledztwie. W minionych czasach w Warszawie umorzono 19 śledztw

Wszystkie działania Rady Warszawy zmierzające do wyjaśnienia reprywatyzacji odbywały się na wniosek radnych Prawa i Sprawiedliwości. Robiliśmy tyle, ile może zrobić opozycja. To my wnioskowaliśmy o specjalne debaty, to my składaliśmy interpelacje. Również z tej perspektywy próba zrobienia z nas sprawców jest śmieszna

dotyczących restrytywizacji, w innych 20 przypadkach wydano odmowy wszczęcia postępowania. Przeprowadzona przez CBA kontrola kilkudziesięciu postępowań restrytywizacyjnych była ogromnym wsparciem dla toczącego się we Wrocławiu śledztwa. Pokazaliśmy bardzo dokładnie pewne mechanizmy. W mojej ocenie to był element kluczowy dla tej sprawy, choć nie twierdę, że jedyny, nie chcę umniejszać roli prokuratury. Zresztą znamienne i nie bez znaczenia jest to, że Jakub R. pisze donosy również na prokuratorów prowadzących postępowanie, chcąc doprowadzić do odsunięcia ich od śledztwa. Mam nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy wzywać ich przed komisję.

Mówimy o kontroli CBA przeprowadzonej oczywiście już po wyborach 2015 r.?

Oczywiście. Zresztą, to zabawne, gdy w paszkwilankim materiale TVN na mój temat widzę w roli komentatora/eksperta Pawła Wojtunika, szefa CBA za rządów PO-PSL, bo za czasów tego człowieka Biuro prowadziło dwa postępowania w sprawie restrytywizacji. Zakończyły się jednak bezwynikowo. W mojej ocenie chodziło tylko o to, by je prowadzić, a nie by rozwinąć. Podam przykład. Pozyskano billingi, czyli historie połączeń Jakuba R., ale nie dokonano ich analizy. Nie robiono podstawowych ustaleń, nie pozyskano nawet od operatorów informacji, kto się kryje za każdym z numerów telefonów, z którymi łączył się podejrzany! Nie sposób nie wiązać tego ze słynną odprawą z czasów Wojtunika, podczas której dyrektor delegatury warszawskiej w zasadzie zakazał funkcjonariuszom zajmowania się stolicą.

Dlaczego zakazał?

Bo w Warszawie rządzi Hanna Gronkiewicz-Waltz, czyli to już wielka polityka, a CBA miało nie zajmować się wielką polityką. Więc tylko udawano, że się coś robi w tej sprawie. Po analizie owych dwóch postępowań z czasów Wojtunika można stwierdzić, że są tam elementy istotne dla śledztwa. Można było coś z tym zrobić. Paweł Wojtunik nie stanął na wysokości zadania. A przecież przestępstwo dużo łatwiej wykryć i ukarać wówczas, gdy ono się dzieje, a nie po latach. Gdyby ówczesny szef CBA działał tak, jak powinien, udało by się zapobiec przejęciu ogromnego majątku przez mafie restrytywizacyjną.

Wiadomo, że łapówki w sprawie restrytywizacji były przekazywane w kamienicy, która niemal sąsiaduje z siedzibą CBA.

Rzeczywiście, okna mieszkania państwa R., w którym dochodziło do przekazywania milionowych kwot łapówek, wychodziły na okna Pawła Wojtunika w CBA. Oba miejsca dzieliło kilkadziesiąt metrów. Były szef CBA, można powiedzieć w przenośni, nie chciał tego widzieć, chociaż milionowe łapówki przekazywane były w zasięgu jego wzroku. Taki jest kontekst całej tej sprawy. Na marginesie można przypomnieć, że właśnie to mieszkanie kupiła od małżeństwa R. gwiazda TVN. Nie widzę żadnego związku tej osoby z aferą restrytywizacyjną, niemniej stosując metodę, jaką zastosowały wobec nas „Gazeta Wyborcza” i TVN, można

byłoby z tego zbudować piękną historię. Na zasadzie: „Przypadek? Nie sądzę...”.

Nie mniejsze zdumienie może budzić zachowanie „Gazety Wyborczej”, która chwali się swoimi publikacjami na temat restrytywizacji, co ma być dowodem jej niezależności politycznej, by chwilę później grzmieć, że to „pisowska afera”.

Mamy tutaj do czynienia z zabiegiem, który parę razy Platformie i jej przyjaciółom wyszedł. Wymienię aferę gruntową, aferę hazardową, sprawę Sawickiej i jej słynne „lzy na schodach”. Chodzi o zamianę ról. Ogromne koncerty medialne regularnie starają się przedstawiać policjantów jako winnych, a przestępców jako ofiary. To, co się dzieje teraz, to kolejna taka próba, to czarny PR w czystej postaci. Na szczęście nie zawsze się to im udaje. Nie udało się przy aferze podsłuchowej, a pamiętacie, jak bardzo chcieli powiązać tę sprawę z PiS...

...i jak wciąż chcą.

Tak, wciąż chcą, co jest przecież więcej niż niedorzeczne. Te techniki są dobrze znane i znów próbują z nich skorzystać. Donosy Jakuba R., donosy wyssane z palca, wymyślone po prawie roku przebywania w areszcie, stały się paliwem do kolejnej tego typu operacji.

Czym są te donosy? W jakim celu powstały?

One mają kilka celów. Przede wszystkim podejrzanemu Jakubowi R. chodzi o pozyskanie politycznych sojuszników.



*Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że w dniu
4 kwietnia 2018 r. zmarł*

GRZEGORZ HEBERLEIN

*przez wiele lat związany z ruchem
Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych,*

*członek Rady Nadzorczej
Towarzystwa Zarządzającego SKOK Sp. z o.o. S.K.A.*

*Rodzinie i najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i słowa wsparcia*

składają

**Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy Towarzystwa
Zarządzającego SKOK Sp. z o.o. S.K.A.**

I to się udaje. Jakub R. jest już w mediach inaczej przedstawiany, stał się „ofiara CBA”. Jego matka Alina D. również jest już ofiarą „reżimu”, starszą panią bez powodu utrzymaną w areszcie. To jest także pewna konkretna linia obrony, którą da się sprowadzić do twierdzenia, że to nie ja byłem winny, ja byłem inspirowany. To znów zupełna niedorzeczność. Kolejnym celem tych donosów jest wykluczenie CBA i prokuratorów prowadzących ze śledztwa. No i wreszcie chodzi o prywatną zemstę. Jestem przekonany, iż Jakub R. liczył na to, że przez swojego brata będzie w stanie odwrócić bieg śledztwa i zablokować jego konsekwencje dla siebie i swojej rodziny.

Wątpliwej jakości donosy zostały podjęte przez największe media i opozycję. Widać, że to próba doprowadzenia do przełamania w tej sprawie.

To ziarno padło na bardzo podatny grunt. Chodzi o dolożenie i ludziom, którzy budowali CBA, i całemu PiS. Dlatego do fikcyjnej opowieści Jakuba R. włożono wszystko, co się dało, nawet spółkę Srebrna. Platforma podjęła ten temat z radością, bo czegoś takiego od dawna szukała. Przypominam, że wcześniej próbowali obciążyć restrytyzacją śp. prezydenta Kaczyńskiego, ale to nie zadziałało, więc zmienili kierunek. Teraz mają wsparcie TVN i „Wyborczej”, które to media są w stanie, jak widzimy, budować całkowicie fałszywą opowieść opartą jedynie na donosach Jakuba R., byle tylko osiągnąć własne cele polityczne. Dziennikarze firmujący te materiały nie są dziennikarzami śledczymi, to dziennikarze wspierający narrację osób, które dopuściły się przestępstw. No i pamiętajmy o niezwykle silnych środowiskach mieniących się elitami prawniczymi i biznesowymi, o beneficjentach restrytyzacji, którym zależy, by zdeorientować opinię publiczną, zamącić sprawę, zmyć z siebie winę i wskazać na kogoś innego, najchętniej na PiS. Nie mam wątpliwości, Platforma będzie dalej atakować, bo czuje w tym ataku polityczny interes. Będzie to robiła wbrew prawdzie i wbrew faktom. Dlaczego? Bo to przecież oczywiste, że afery restrytyzacyjna w Warszawie jest aferą Platformy. To oni mieli i mają nadal samodzielną większość w Radzie Warszawy oraz prezydent, która była wiceprzewodniczącą partii. To Platforma ponosi pełną odpowiedzialność za to, co się działo.

Jakub R. twierdzi, że to wy się mścicie. Za to, że nie zrealizował waszych życzeń i nie dostarczył materiałów obciążających Hannę Gronkiewicz-Waltz. To miał być także powód do bójki na pięści na weselu z udziałem pana i właśnie Jakuba R.

Nie było żadnej bójki. To klasyczna manipulacja, pomieszanie faktów z wymysłami. Rzeczywiście byłem na tym

weselu, rzeczywiście był tam Jakub R., ale na tym koniec. Nie doszło do żadnej sprzeczki, żadnej awantury. Jest na to wielu świadków.

Wcześniej nie było propozycji skierowanej do Jakuba R., a dotyczącej współpracy z CBA w sprawie wyjaśniania afery restrytyzacyjnej?

Wszystkie działania CBA w sprawie restrytyzacji są udokumentowane, każdy krok jest odpowiednio opisany. To, co mówi Jakub R., to całkowita bzdura, to próba stworzenia fałszywej narracji. Podejmuje to Platforma, bo to oni mają fundamentalny interes polityczny, by ją tworzyć, a potem robić ciągle zamieszanie w tej sprawie. Są tak zdesperowani, że swoje działania opierają na wymyślonych donosach podejrzanego o ciężkie przestępstwa Jakuba R. Zwróćcie panowie uwagę, że już po napisaniu donosów, po złożeniu zawiadomienia w prokuraturze Jakub R. jako zawiadamiający odmówił złożenia zeznań w sprawie z własnego zawiadomienia. A odmówił zapewne dlatego, że są to zeznania składane pod rygorem odpowiedzialności karnej. To znamienne, bo przecież inna jest waga zawiadomienia, a inna zeznań.

Za wielką aferę, do której doszło w Warszawie, współodpowiedzialna jest rodzina mojego byłego kumpla. To nie jest ani miłe, ani łatwe. Ale nie można było postąpić inaczej. Zachowałem się tak, jak należało

Proponowaliście mu ponoć także, w czasach, gdy rządziła

Platforma, wyszukiwanie kamienic do restrytyzacji. Dochody miały wesprzeć PiS. Brzmi to więcej niż groteskowo i pośrednio dowodzi, jakie są cele całej opowieści.

Ostatni raz widziałem Jakuba R., pomijając sesję lub komisję Rady Warszawy, na których pojawiał się w roli urzędnika, wiele lat temu. Nie wiem, czy nie było to właśnie na wspomnianym weselu Ernesta Bejdy wiele lat temu, na którym przypisuje mi się, że biłem się na pięści. Takiej propozycji nie mogłem więc mu złożyć i nigdy nie złożyłem. Nie przyszłoby mi to nigdy do głowy. Stoje i stałem po jasnej stronie.

W tej sprawie uderza, że Jakub R. brutalnie atakuje ludzi CBA, a jednocześnie składa swego rodzaju hołdy prezydent stolicy.

To jest charakterystyczne i wskazuje na to, że Jakub R. na sojusznika w tym śledztwie wybrał Hannę Gronkiewicz-Waltz. A wybrał dlatego, że od nas nie uzyskał żadnej pomocy. Nie było i nie będzie w takich sprawach ani innych żadnego kumoterstwa.

Wreszcie przebywa również wspomniana już Alina D. W „Wyborczej” można wyczytać, że mimo zaawansowanego wieku siedzi w złych warunkach i nie jest przesłuchiwana.

Przypomnę, że Alina D. siedzi w areszcie, bo tak zdecydował sąd. Prokuratura widziała przesłanki, by o to wnioskować.



Fot. Julia Szawczyk

Chodzi o obawę mactwa, o to, że śledztwo wciąż się rozwija. Cały ten medialny atak może być próbą wywarcia presji na sąd. Mam nadzieję, że sąd na tego typu techniki będzie impregnowany, oceni wyłącznie przedstawione materiały i będzie się kierował dobrem postępowania.

Podczas jednego z ostatnich posiedzeń komisji weryfikacyjnej przewodnicząca Rady Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska, prywatnie żona ważnego polityka PO, wspólnie z posłem Kropiwnickim, również z PO, zarzucili panu, że będąc jeszcze radnym stolicy, naciskał pan na to, by wydawano jak najwięcej decyzji odszkodowawczych.

Naciskałem na ratusz w zupełnie innej sprawie. Otóż domagałem się, by pokazano mechanizmy, na podstawie których wypłaca się odszkodowania. Pytałem, dlaczego jedni dostają szybko, a inni w ogóle, na jakich zasadach to się odbywa, bo do mnie jako radnego przychodzili ludzie, prawowici właściciele, a nie handlarze roszczeniami, którym w latach 60. zabrano ziemię pod szkołę czy inny cel publiczny, odszkodowanie rzeczywiście im się należało, mieli sądowy wyrok. Nie mogli się jednak niczego doprosić, podczas gdy niektóre kancelarie załatwiały bardzo wątpliwe sprawy wręcz błyskawicznie. Ta sprawa po prostu była zdumiewająca i o to dopytywałem Hannę Gronkiewicz-Waltz.

Z jakim efektem?

Nie dostałem odpowiedzi, ponieważ, jak usłyszałem, naruszałoby to ochronę praw osobowych beneficjentów. Wszystkie działania Rady Warszawy zmierzające do wyjaśnienia reprivatyzacji odbywały się na wniosek radnych Prawa i Sprawiedliwości. Robiliśmy tyle, ile może zrobić opozycja. To my wnioskowaliśmy o specjalne debaty, to my składaliśmy interpelacje. Również z tej perspektywy próba zrobienia z nas sprawców jest śmieszna.

Czy planuje pan podjęcie jakichś kroków prawnych w związku z tym, co głosi Jakub R.? Wobec niego albo niektórych mediów?

Jestem zdeterminowany, by podjąć kroki prawne. Mój adwokat w tej chwili ocenia te materiały.

Czy afera reprivatyzacyjna miała swój jeden mózg, czy też były to działania sieciowe?

Ktoś musiał na to wpaść. Pewne środowiska prawnicze uznały, że to okazja do szybkiego wzbogacenia się. Padło to na podatny grunt rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz w Warszawie. Jednocześnie Jakub R. uzyskiwał wpływ na to, co działo się w Biurze Gospodarowania Nieruchomościami. Jest pytanie o odpowiedzialność Gronkiewicz-Waltz i prokuratorzy będą musieli się z tym zmierzyć. To ona miała bezpośredni nadzór nad BGN, przez cały czas odpowiadała za to, co się tam dzieje. Jakub R. miał personalne pełnomocnictwa Hanny Gronkiewicz-Waltz do wydawania decyzji zwrotowych. Nie wyobrażam sobie sytuacji, kiedy udziela się pełnomocnictw osobie, do której nie ma się zaufania. To był zaufany człowiek wiceprzewodniczącej Platformy Obywatelskiej.

Czy Hanna Gronkiewicz-Waltz wiedziała, co się dzieje?

Musiała wiedzieć, gdyż ilość informacji, skarg do miasta stołecznego Warszawy na temat nieprawidłowości, także zwykłego draństwa z tym związanego, napływających choćby ze środowisk lokatorskich, była ogromna. To spływało z wielu stron. Jako prezydent Warszawy była odpowiedzialna za tę sytuację. Jej obowiązkiem było podjąć skuteczne działania. Nie zrobiła tego. To musi budzić pytania o odpowiedzialność Hanny Gronkiewicz-Waltz nie tylko polityczną, lecz również karną. A może nie była zainteresowana, gdyż jej najbliżsi – mąż i córka – byli beneficjentami dzikiej reprivatyzacji?

Może prezydent bała się to ruszyć, bo mówimy przecież o ludziach, którzy potrafią zabijać.

Tak, potrafią zabijać. Jest przykład Jolanty Brzeskiej. Z zeznań opublikowanych przez tygodnik „Sieci” wynika jasno, że bali się również adwokaci, prawnicy. W każdym razie trzeba było być ślepym i głuchym, by przez tyle lat nie zauważyć tego, co się dzieje. Hanna Gronkiewicz-Waltz jest odpowiedzialna za dziką reprivatyzację w Warszawie. I żadne sztuczki tego już nie zmienią.

Plan Tuska

Kandydowanie byłego premiera na prezydenta będzie najpoważniejszym wyzwaniem dla PiS od wygrania wyborów przez Andrzeja Dudę

Od objęcia funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej (1 grudnia 2014 r.) Donald Tusk zwodził partijnych kolegów i opinię publiczną w Polsce w sprawie swego ewentualnego przyszłego funkcjonowania w krajowej polityce. Wynikało to z podszytej narcyzmem chęci występowania w roli zbawcy opozycji, który w każdej chwili może wrócić i zająć pozycję niekwestionowanego lidera. Jak i z podszytego rozrośniętym ego funkcjonowania w roli Cyncynata dla polskiego społeczeństwa.

Cynizm i zmysł knucia motywowały z kolei Donalda Tuska do drażnienia – swoim ewentualnym powrotem jako przewodniczącego Platformy Obywatelskiej – Grzegorza Schetyny, w mniejszym zaś stopniu prezesa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego. Przez ponad trzy lata Donald Tusk bawił się i grał swoim ponownym wejściem do polskiej polityki, ale przed ostatnimi świętami wielkanocnymi uczynił z tego swój nowy życiowy plan, choć oczywiście niczego otwarcie nie zadeklarował.

Liczni politycy, zarówno w Polsce, jak i w strukturach Unii Europejskiej, potwierdzają jednak, że już całkiem otwarcie Tusk chce, aby traktowano go jako kandydata opozycji w polskich wyborach prezydenckich w 2020 r. Jako urzędnik UE nie może tego ogłosić oficjalnie przed 1 grudnia 2019 r., ale wystarczy, że nie będzie temu publicznie zaprzeczał, aby pozostać w grze przed decydującym starciem. Tylko jego najbliżsi współpracownicy będą wiedzieli, czy rzeczywiście przygotowuje się do kampanii wyborczej.

UKŁAD TUSK–SCHETYNA

Moment zmiany strategii Donalda Tuska nie jest przypadkowy. Cekał on z tym do pierwszych sondaży wskazujących na spadek poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości. Przede wszystkim dlatego, żeby ze spadku uczynić tendencję, czyli zdyskontować to, że opozycja może się zjednoczyć oraz że ma niekwestionowanego lidera – Donalda Tuska. I że ta ewentualna zmiana tendencji będzie wiązana właśnie z przewodniczącym Rady Europejskiej, czyli w przyszłości zadziała na jego korzyść. Opozycji, a szczególnie PO, to nie przeszkadza, bo najważniejsza jest zmiana trendów, a nie konkretny powód takiej zmiany i jej patron.



STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk najwyraźniej uznał, że nie opłaca mu się już tylko denerwowanie Grzegorza Schetyny, gdyż powrót na stanowisko szefa PO nie miałby dla niego większego sensu. Byłby to rodzaj degradacji, nieprzystającej do ambicji i pozycji najważniejszego formalnie urzędnika Unii Europejskiej. Grzegorz Schetyna jest więc spokojny o swoją pozycję w partii i może otwarcie

(wcześniej robił to wyraźnie z przekory i z chęci wciągnięcia Tuska w krajową politykę, ale na własnych warunkach) popierać i lansować byłego premiera na prezydenta RP. Nieprzypadkowa jest więc radość i werwa zaprezentowane tuż po świętach przez Grzegorza Schetynę. To wygląda jak ustalenie stref wpływów między odwiecznymi rywalami i zawarcie pokoju w przedpokoju prowadzącym do władzy.

Konsekwencją porozumienia między Tuskiem a Schetyną jest pozbycie się wielu strachów przez obecnego przewodniczącego PO oraz to, że od 1 grudnia 2019 r. (w tym dniu Donald Tusk nie będzie już przewodniczącym Rady Europejskiej) aparat PO na jeden gwizdek przedstawi Donalda Tuska jako kandydata na prezydenta. Platforma może też go wesprzeć swoimi milionami złotych, a i tak będzie to dużo mniejsza suma do wydania niż w wypadku każdego innego kandydata, gdyż byłego premiera nie trzeba lansować ani kreować.

Warto pamiętać, że gdy w sondażach Prawo i Sprawiedliwość wręcz masakrowało Platformę Obywatelską i resztę opozycji, Donald Tusk był w Brukseli namawiany, by wsparł opozycję jakimiś deklaracjami w sprawie swego kandydowania w wyborach prezydenckich w Polsce. Przede wszystkim przez polityków zrzeszonych we frakcji Europejskiej Partii Ludowej. Ale też, jak wynika z moich informacji, przez wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa (Jean-Claude Juncker miał być znacznie bardziej wstrzemięźliwy) oraz szefową unijnej dyplomacji Federicę Mogherini.

Jeszcze intensywniej do kandydowania na prezydenta Polski mieli namawiać Donalda Tuska politycy niemieccy i francuscy, z Angelą Merkel i Emmanuelem Macronem na czele. Chodziło o to, by opozycji w Polsce, ale też politykom w Brukseli i kilku europejskich stolicach, stworzyć jakąś nadzieję odsunięcia PiS od władzy. Te w założeniu pokrzepiające dla polskiej opozycji namowy nakładały się na działania Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego przeciwko rządowi Prawa i Sprawiedliwości. Zamierzano przełamać domina-



Fot. Shutterstock

cję PiS w polskiej polityce i stworzyć realne perspektywy odzyskania przez opozycję władzy w 2019 r., a przynajmniej odwojowanie stanowiska prezydenta.

Rządy PiS zostały w wielu unijnych instytucjach i w niektórych europejskich stolicach uznane za epizod, który jak najszybciej powinien się skończyć, gdyż zagraża liberalno-lewicowej filozofii UE i zbudowanym na tej filozofii planom reformy wspólnoty.

ICH CZŁOWIEK W BRUKSELI

Obecne negocjacje Komisji Europejskiej z Polską w sprawie zażegnania większości konfliktów nie zmieniają generalnej strategii odwojowania naszego kraju przez europejski mainstream. W instytucjach UE oraz w najważniejszych stolicach uznano tylko, że raczej nie da się odsunąć PiS od władzy przed upływem kadencji, więc warto się skupić na lewarowaniu opozycji, a przede wszystkim stworzeniu perspektywy wygrania wyborów prezydenckich w 2020 r. I do tej roli Donald Tusk nadaje się najlepiej.

To oczywista ingerencja w wewnętrzne sprawy Polski, trwająca zresztą od co najmniej dwóch lat, ale niewiele można z tym zrobić, bo ta ingerencja jest akceptowana w najważniejszych ośrodkach decyzyjnych UE i miewa pozór obrony tego,

co zapisano w traktatach europejskich, większość zaś działań jest niejawna, zakulisowa. I w tych zakulisowych działaniach praktycznie od początku swej europejskiej kariery, czyli od 1 grudnia 2014 r., uczestniczy Donald Tusk: najpierw dyskretnie, a od końca 2016 r. całkiem otwarcie. Były premier w Brukseli nie działa na rzecz Polski, lecz bardzo intensywnie i współdziałając z zagranicą, pracuje nad odsunięciem PiS od władzy. Zmiana strategii w sprawie kandydowania w wyborach prezydenckich w 2020 r. jest tylko konsekwencją tego, co Donald Tusk robi od dawna, i właściwie tylko to z jakimś zaangażowaniem.

W styczniu 2017 r. Donald Tusk mówił: „Polska może ponieść poważne konsekwencje takiej [w warunkach blokady sali plenarnej Sejmu i prób zerwania obrad] formuły przyjęcia budżetu na 2017 r.”. Sugerował, że budżet można by uznać za nielegalny, co dałoby instytucjom UE powody do działań przeciwko Polsce, także na poziomie unijnych funduszy. „Każdy, kto będzie miał złą wolę i będzie dociekliwie chciał sprawdzać prawną sytuację Polski z dwuznacznie uchwalonym budżetem, będzie miał mocne argumenty” – dodawał.

Również w styczniu 2017 r. Donald Tusk straszył rząd Beaty Szydło, że poniesie on konsekwencje, także finansowe, jeśli nie zgodzi się na przymusową relokację uchodźców. Komisję Europejską zachęcał do kolejnych działań przeciw

Polsce w maju 2017 r., gdy mówił, że wyłamując się z europejskiej solidarności w relokacji uchodźców, należy się liczyć z kosztami i konsekwencjami. Gdy w lipcu 2017 r. opozycja w Polsce po raz kolejny zmobilizowała ulicę, Donald Tusk wydał kuriozalne oświadczenie, w którym napisał m.in.: „Zwróciłem się do prezydenta Dudy z propozycją pilnego spotkania w celu omówienia kryzysu politycznego w naszym kraju i jego groźnych konsekwencji dla międzynarodowej pozycji Polski. Naszym wspólnym zadaniem powinno być zapobieżenie czarnemu scenariuszowi, którego finałem może stać się marginalizacja Polski w Europie”. W taki sposób Tusk wspierał głęboką ingerencję instytucji UE w polskie sprawy, uzasadniał „karne” działania przeciw Polsce.

CYNCYNAT DONALD

Kandydowanie Donalda Tuska w wyborach prezydenckich dałoby mu płynne przejście od immunitetu wynikającego z piastowania urzędu przewodniczącego Rady Europejskiej do niepisanego immunitetu, jaki ma kandydat na prezydenta w Polsce. To ważne dla byłego premiera w kontekście działań prokuratury w sprawach katastrofy smoleńskiej czy prywatyzacji Ciechu, ale także w kontekście prac sejmowej komisji ds. Amber Gold oraz mającej wkrótce powstać komisji specjalnej ds. wyłudzeń VAT. Wszystkie te działania będą przedstawiane, także za granicą, jako zemsta na kandyda-

cie opozycji na prezydenta. I to takim kandydacie, który ma realne szanse powalczyć o prezydenturę. A aura kogoś prześladowanego przez prokuraturę i sejmowe komisje może być dyskutowana w kampanii prezydenckiej Donalda Tuska, co mogłoby przekonać do niego nawet tych wszystkich, którzy dobrze pamiętają wszystkie afery, błędy i zaniechania podczas siedmioletnich rządów ówczesnego premiera.

Z jednej strony przedstawiano by Tuska jako tego, którego PiS i Jarosław Kaczyński realnie się boją, z drugiej – jako męczennika za demokrację, prześladowanego właśnie dlatego, że jest silnym kandydatem na prezydenta. Oczywiście w kampanii Donald Tusk zapewne bardzo mocno rozkręciłby narrację o wyprowadzaniu przez PiS Polski z Unii Europejskiej i powoływałby się na własne doświadczenia oraz na swoje rozmowy w tej sprawie z czołowymi politykami europejskimi czy urzędnikami UE potwierdzającymi, że działania PiS w UE uważają oni za wstęp do Polexitu. Łatwo można sobie wyobrazić takie postawienie sprawy, że albo Donald Tusk zostanie prezydentem, albo Polska nie będzie członkiem Unii.

Jeśli przez jakiś czas utrzyma się korzystna dla PO, a niekorzystna dla PiS tendencja w sondażach, jeszcze mocniej będzie wykorzystywany argument, że wszystko to dzięki perspektywie kandydowania Donalda Tuska w wyborach prezydenckich. To bowiem porządkuje sytuację po stronie opozycji i pozwala się w pełni skupić na bieżących zadaniach. Da to Grzegorzowi Schetynie oraz jego najbliższymi współpracownikom niezbędny spokój do prowadzenia kampanii samorządowej i przygotowywania w 2019 r. wyborów do euro-parlamentu oraz do Sejmu i Senatu. Z tego powodu można się spodziewać częstszych oficjalnych lub półoficjalnych wizyt Donalda Tuska w kraju i wypowiedzania się przez niego o krajowej polityce. Mimo braku oficjalnego potwierdzenia, że będzie kandydował, czego na razie nie może zrobić. Opozycji, Donaldowi Tuskowi oraz ich zwolennikom z zagranicy będzie łatwiej prowadzić walkę z PiS, kiedy nastąpią już strategiczne rozstrzygnięcia. Plan Tuska jest więc najpoważniejszym problemem, przed jakim staje PiS od momentu wygrania wyborów prezydenckich przez Andrzeja Dudę.

Kandydatura Donalda Tuska to oczywiście wielki bagaż problemów i fatalnych skojarzeń z czasów jego rządów, ale można się spodziewać rozmywania tego negatywnego obciążenia przez oskarżanie PiS o jeszcze gorsze praktyki (premie dla ministrów czy uposażenia i przywileje w spółkach skarbu państwa). Dla nieprzekonanych o sensie popierania Tuska znajdują się też argumenty o mniejszym złu oraz wskazanie na jego europejską karierę, formalnie najbardziej spektakularną w historii III RP. Oczywiście Donald Tusk będzie cały czas się krygował i zastrzegał, że żadnej decyzji nie podjął, ale czas może grać na jego korzyść i zacierać złe wspomnienia. A to krygowanie się można będzie w pewnym momencie zamienić w oddolny apel, żeby Donald Tusk podjął się zadania „ratowania Polski”. Bo jeśli nie on, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Mielibyśmy więc powtórkę z finałowych scen powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy”, gdy elity II RP i towarzyska śmietanka w napięciu oczekiwały decyzji byłego prezesa Państwowego Banku Zbożowego, by odegrał rolę Cyncynata.

REKLAMA



SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY

poleca

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY

Spółdzielnia europejska w świetle prawa polskiego

Dominik Bierecki



© Dominik Bierecki / Spółdzielnia Europejska w świetle prawa polskiego, 2017

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY

Spółdzielnia socjalna w prawie polskim

Zagadnienia cywilnoprawne

Martyna Jedlińska



© Martyna Jedlińska / Spółdzielnia Socjalna w prawie polskim, 2017

wkrótce

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY

Trzon państwa

Lech Mażewski



© Lech Mażewski / Trzon państwa, 2017

Wybory i odwoływanie organów wykonawczych samorządu terytorialnego, powoływanie i odwoływanie Rady Ministrów, wybór Prezydenta RP oraz powoływanie i odwoływanie wojewody jako przedstawiciela Rady Ministrów w województwie pod rządami Konstytucji RP z 2 kwietnia 1997 r.

www.p-i-w.edu.pl

www.sin.edu.pl

22.04
2018

 **ORLEN
WARSAW
MARATHON**
NARODOWE ŚWIĘTO BIEGANIA



MARATON / BIEG OSHEE 10KM

BIEGANIE to dla Ciebie więcej niż sport?

Kierunek jest jeden...

ZAPRASZA



PARTNERZY GŁÓWNI



PATRONAT HONOROWY



eprasa.pl 3c981d2245



KONRAD KOŁODZIEJSKI

KOD przepadł wraz z wygaszeniem sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego i autokompromitacją Mateusza Kijowskiego. Wkrótce ten sam los czeka zapewne Obywateli RP, którzy czerpali paliwo do zadym z blokowania miesięcznic smoleńskich. Miesięcznice kończą się definitywnie, a Obywatele RP nie mają na razie żadnego innego pomysłu na swoją przyszłość. Nie zdołali też nigdy zyskać społecznej sympatii – przeciwnie – bezproduktywne awantury, coraz większa frustracja i agresja oraz brak jakiegokolwiek konstruktywnego celu budziły powszechną niechęć.

Powstała po nich próżnię zaczynają więc wypełniać nowi aktorzy. Podobnie jak poprzednicy – formalnie unikają polityki i działają z obywatelskich pobudek. Jednak o ile dla KOD i Obywateli RP oficjalnym celem była „walka o demokrację”, o tyle ich następcy zmagają się już wyłącznie z „faszyzmem” i „antysemityzmem”.

Celem tych działań jest – tak jak poprzednio – jak najszybsze zaangażowanie zagranicznych instytucji w polityczny konflikt w Polsce. Jednak tego rodzaju zagraniczną interwencję można łatwo uznać za niedopuszczalne wsparcie dla jednej ze stron konfliktu, zatem potrzebne jest coś więcej – jakiś obiektywny czynnik, który pozwalałby przedstawić obce zaangażowanie jako formę obrony uniwersalnych wartości. A faszyzm i antysemityzm nadają się do tego doskonale.

Stąd też wzięły się coraz bardziej głośne i gwałtowne oskarżenia o nacjonalistyczną fał, która rzekomo miała – pod auspicjami PiS – wezbrać na niespotykaną dotąd skalę. Przygotowaniem do boju były szeroko kolportowane w zachodnich mediach relacje o 60 tys. faszystów demonstrujących w Warszawie podczas Marszu Niepodległości, które podsycił na łamach „The



Następcy Grossa

Zmienia się forma walki z rządzącą prawicą. Coraz częściej wykorzystuje się w niej prowokację i dezinformację. Zmienia się też obsada na pierwszej linii frontu. Po wykruszeniu się emerytów z KOD i wyraźnym spadku formy dotychczasowych zadymiarzy spod znaku Obywateli RP ich miejsce zajmują głęboko zaangażowani ideologicznie pogromcy faszyzmu i antysemityzmu

New York Times” Jan Tomasz Gross, konfabulując na temat Polaków „domagających się znowu czystej krwi” i rozpowszechniając kłamstwa o okrzykach na cześć Ku Klux Klanu wznoszonych jakoby w trakcie marszu.

Jan Tomasz Gross to nestor prowokacji. W latach 80. wraz ze swoją ówczesną żoną Ireną Grudzińską napisał książkę o martyrologii Polaków deportowanych przez Sowieców na Syberię. Praca ta zatytułowana „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...” nie wzbudziła

jednak żadnego zainteresowania na Zachodzie. Dopiero wzięcie na tapetę Holocaustu i przypisywanie współodpowiedzialności za Zagładę polskim „sprawcom” przyniosło Grossowi międzynarodową sławę.

LICZBA GRABOWSKIEGO

Gross przekroczył Rubikon, a za nim podążyli inni. Dziś przypisywanie Polakom winy za Holocaust ma dodatkowy walor. Wspomaga bowiem starania sporej czę-



ści antypisowskiej opozycji, która próbuje udowodnić całemu światu, że rządy prawicy nie tylko są emanacją antysemitycznych nastrojów w społeczeństwie, lecz i cynicznie te nastroje pobudzają, wykorzystując je do utrzymania wysokich notowań. Inaczej mówiąc, tolerowanie PiS oznacza akceptację antysemityzmu w samym środku Europy. Świat powinien zatem twardo zareagować.

Szczegółne zasługi ma na tym polu Jan Grabowski, badacz Zagłady i profesor uniwersytetu w Ottawie. Rozpowszechnił on w światowych mediach liczbę 200 tys. Żydów zamordowanych rzekomo przez Polaków podczas II wojny światowej.

Ostatnio liczba ta pojawiła się w lutym w artykule Amandy Borschel-Dan na łamach „The Times of Israel”. Dziennikarka zapytana o to przez Jakuba Kumocha, ambasadora RP w Szwajcarii, a z zawodu specjalistę od badań ilościowych, odpowiedziała, że podaną w artykule liczbę otrzymała od znawcy Holocaustu prof. Jana Grabowskiego, który – z kolei – powołać się miał na prace nieżyjącego badacza Zagłady Szymona Datnera. Problem w tym, że w publikacji Datnera z 1970 r., do której odwołuje się Jan Grabowski, nie ma literalnie ani słowa o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków.

Grabowski na pytania Kumocha zareagował agresją, ale przyparty do muru przyznał w końcu, że Datner nigdy nie napisał o 200 tys. zamordowanych Żydów, a liczba ta wynika z szacunku wszystkich uciekinierów z gett i trans-

portów, których losy były potem różne. Cóż z tego, skoro informacja poszła już w świat i jest powtarzana w wielu publikacjach.

W niedawnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Grabowski twierdzi, że nigdy nie mówił o 200 tys. Żydów „własnoręcznie” zamordowanych przez Polaków, lecz o tym, że „Polacy mogą być odpowiedzialni lub współodpowiedzialni za śmierć większości tych ludzi”. Wystarczy jednak zajrzeć do artykułu z 11 lutego 2017 r. zamieszczonego w dzienniku „Haaretz”, żeby zweryfikować wyjaśnienia Grabowskiego. W nagłówku czytamy tam, że „historyk Grabowski mówi o 200 tys. Żydów zamordowanych – bezpośrednio lub niebezpośrednio – przez Polaków”. W podjętej miesiąc później na łamach tego samego tytułu polemice z prof. Grzegorzem Berendtem, wicedyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i członkiem Rady Naukowej Żydowskiego Instytutu Historycznego, Grabowski wcale nie wycofuje się z liczby 200 tys. Asekuruje się – jakby w przeczuciu, że przeholował – dziwnym pojęciem sprawstwa „niebezpośredniego”.

MUZEUM ZAANGAŻOWANE

Nauka opiera się na twardych dowodach. Gdy ich brakuje, a trzeba udowodnić jakąś politycznie użyteczną tezę, wówczas pojawiają się nowe pojęcia takie jak „sprawstwo niebezpośrednie” czy przedstawiony przez jednego z uczestników marcowej debaty w Muzeum Historii Żydów Polskich „antysemityzm wtórny”. Pojęcie to jest imitacją poglądów neomarksistów na faszyzm (w największym skrócie: „wszyscy jesteście antysemitami, tylko o tym nie wiemy”) i ma służyć udowodnieniu tezy, że rządzonej przez prawicę Polsce grozi dziś erupcja nienawiści na tle rasowym i etnicznym. Głównymi dowodami na poparcie sensacyjnej tezy o masowym antysemityzmie Polaków okazało się jednak kilka postów zamieszczonych na Twitterze.

Nic dziwnego, że konferencja – zamiast stanowić forum wymiany poglądów – okazała się sceną bezwartościowej propagandy wymierzonej w obecną ekipę rządową, ale również rodzajem konkursu na najbardziej obiecującego następcę Jana Tomasza Grossa (który

zresztą, niczym członek jury, zasiadał wśród słuchaczy).

Ostentacyjne zaangażowanie muzeum Polin w bieżący spór polityczny każe sądzić, że osoby nadzorujące (w imieniu różnych, nie tylko przecież rządowych, instytucji) działalność tej placówki zamiast edukować, prowadzą lub przynajmniej zgadzają się na szerzoną w niej dezinformację. Jakby tego było mało, jednostronny dobór uczestników debat i stawiane przez nich prowokacyjne tezy mogą sugerować, że w istocie muzeum zainteresowane jest nie ukazywaniem złożoności wielowiekowych relacji polsko-żydowskich, lecz podgrzewaniem konfliktu i kreowaniem we współczesnej Polsce antysemitycznych postaw. Jest to tym bardziej szkodliwe, że prowadzona przez Polin działalność jest z uwagą obserwowana za granicą, a jej efekty mogą zostać wykorzystane niekoniecznie zgodnie z polską racją stanu. Chyba że właśnie o to chodziło organizatorom marcowych debat w muzeum. Pytanie tylko, czy nie powinni w związku z tym działać z otwartą przyłbicą jako stronnictwo polityczne, zamiast się chować za swoimi tytułami naukowymi.

W WALCE Z MUSSOLINIM

Problem zaangażowania placówek naukowych i edukacyjnych w działalność polityczną nie jest niczym nowym. Lewicowa fala, która zawładnęła po 1968 r. zachodnimi uniwersytetami, dociera właśnie – choć z ogromnym opóźnieniem – do Polski. Jest skutkiem zarówno nieprzerwanej reprodukcji kadr naukowych po 1989 r., jak i – skądinąd niestety słusznego – przekonania, że najlepszym startem do kariery jest nie oryginalność i samodzielność prowadzonych badań, lecz prosta imitacja przyjętych za granicą lewicowych dogmatów.

Nic dziwnego, że na terenie uniwersytetów tolerowana jest dziś obecność radykalnych jacejek, takich jak powołany w listopadzie 2017 r. tzw. Studencki Komitet Antyfaszystowski. O komitecie zrobiło się głośno najpierw przy okazji obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, podczas których aktywiści tej organizacji zakłócili uroczystości, wdając się w przepychanki

z uczestnikami i z policją, a potem podczas próby okupacji Pałacu Arcybiskupów Warszawskich, gdzie wznosili hasła: „Hej, klecho, wychodź po dobroci” oraz „Zrozum, biskupie, że mamy cię w dupie”.

Kim są działacze komitetu? W oświadczeniu piszą, że są studentami, którzy przeciwstawiają się „przejawom wszelkiego rasizmu, homofobii, seksizmu, faszystwu i innych form wykluczenia”. Jest to bezmyślna imitacja haseł, z którymi występowali 50 lat temu posiłkowi dziś uczestnicy rewolt studenckich na Zachodzie.

W wypowiedzi udzielonej portalowi NaTemat.pl jeden z aktywistów, przedstawiający się jako student socjologii, tłumaczy, że do powołania komitetu skłoniła go wraz z kolegami znaleziona na jednym z wydziałów „ulotka faszystowskiej organizacji odwołującej się wprost do Mussoliniego”. To zdumiewające, jak silną inspiracją dla niektórych studentów Uniwersytetu Warszawskiego pozostaje dziś Duce.

Ale żarty na bok. Działalność komitetu nie spotyka się z żadną poważną reakcją władz uczelni. Na publikowanych w internecie filmach widzimy młodych ludzi maszerujących pod czerwonymi sztandarami przez dziedziniec uniwersytecki i śpiewających „Międzynarodówkę”. Na innych są osoby przygotowujące w salach wykładowych Instytutu Kultury Polskiej transparenty wykorzystane podczas Czarnego Marszu. Czy tolerowanie bolszewickich jacejek tylko dlatego, że są one sojusznikami części kadry w walce z prawicą, da się pogodzić z autonomią uczelni? Odpowiedź na to pytanie warto pozostawić władzom akademickim.

BIJĄ UKRAIŃCÓW

Co jednak zrobić, gdy chce się wmówić Polakom, że są nacjonalistami i antysemitami, ale ciągle brakuje na to twardych dowodów? Można tak jak onegdaj Jacek Hugo-Bader z „Gazety Wyborczej” posmarować sobie twarz pastą do butów, dołączyć do Marszu Niepodległości i godzinami czekać



Fot. YouTube/Zydowski Instytut Historyczny

– w towarzystwie fotoreportera – na atak, który nie nastąpił. Można tworzyć paranaukowe teorie o „antysemityzmie wtórnym”. Można też, tak jak Agata Diduszko z „Krytyki Politycznej” posłużyć się – z braku Żydów – rzekomo prześladowanymi Ukraińcami.

Czy tolerowanie bolszewickich jacejek na uniwersytetach tylko dlatego, że są one sojusznikami części kadry w walce z prawicą, da się pogodzić z autonomią uczelni?

Agata Diduszko to żona młodzieńca, który podczas jednej z kolejnych awantur pod Sejmem położył się jak długi na środku jezdni, aby symulować – przed obiektywami zagranicznych kamer – ofiarę bestialstwa reżimu. Sama również gustuje w prowokacjach, choć może nie tak teatralnych jak jej mąż. Co nie oznacza, że subtelnych. Bo cytowanie przez nią bliżej nieokreślonej Ukrainki mieszkającej w Polsce, która twierdzi, że jej dziecko boi się mówić po ukraińsku na polskiej ulicy w obawie przed zrobieniem mu za to krzywdy, jest kłamstwem tak ostentacyjnym, że aż niewiarygodnym, że ktokolwiek, kto chodzi po ulicach polskich miast, mógłby w nie uwierzyć.

W Polsce, w autobusach, pociągach lub sklepach ludzi rozmawiających po ukraińsku i rosyjsku jest niekiedy tak wielu, że czasem można mieć wrażenie, że to nie Warszawa, Kraków czy Wroc-

ław, lecz Kijów, Odessa albo Charków. Ale nie ma w tym nic zaskakującego, nikogo to nie dziwi, a już na pewno nie prowokuje do rękoczynów, co najwyżej – a i to rzadko – do okazywania dystansu. Najczęściej jednak po prostu nikt nie zwraca uwagi na to, że sąsiad

lub sąsiadka w tramwaju mówi po rosyjsku lub ukraińsku. Twierdzenie, że jest inaczej, jest zwykłym, podszytym złą wolą kłamstwem, wywoływaniem demonów, prowokacją zmierzającą do zbudowania w Polsce klimatu powszechnej wrogości wobec przyjezdnych zza wschodniej granicy.

Kto jest zatem adresatem tego kłamstwa? Być może ktoś, kto całą dobę siedzi w korku, za kierownicą auta i jest odseparowany od ludzi. A może – co bardziej prawdopodobne – ktoś, kto nigdy w Polsce nie był, a zatem skłonny jest uwierzyć w każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną bzdurę, łącznie z tą, że Polacy biją Murzynów na ulicach, świętują masowo urodziny Hitlera w krzakach oraz trzymają w garderobie strój Ku Klux Klanu.

O politycznej motywacji może świadczyć również wynikające z zacytowanej wypowiedzi twierdzenie, że Ukraińcy odczuwają obawę przed Polakami dopiero od 2015 r., a więc od chwili, gdy wygrała prawica. To już jasny przekaz do świata: rządy prawicy należy obalić, bo ich konsekwencją będzie rzeź obcokrajowców i ich dzieci.

Jeśli świat w to uwierzy, to będzie musiał interweniować. A przynajmniej wyrzucić presję. Pytanie tylko, czy sami Polacy w to uwierzą? Nad tym chyba nikt się nie zastanawiał, bo głos Polaków mało kogo wśród antypisowskich aktywistów obchodzi. To pewnie dlatego przegrali ostatnie wybory.

PiS jest jedynym liczącym się środowiskiem politycznym przeciwnym „rozrzedzaniu lojalności” wobec własnego państwa. Państwowiec powinien to dostrzec

Wyjście bez wyjścia

Fot. Andrzej Wiktor



PIOTR SKWIECIŃSKI

W „Wyjściu awaryjnym” Rafała Matyi, obrazie Polski pogrążonej w zimnej wojnie domowej, są passusy uderzające trafnością. Choćby taka uwaga o państwach peryferyjnych: „O ile mocarstwa – Stany, Chiny, Rosja – starają się rozumieć cały świat, a potęgi regionalne – najbliższe otoczenie, państwa peryferyjne mają kłopot z rozumieniem samych siebie. Dopuszczają przy tym stany permanentnej terapeutycznej autodezinformacji. Łudzą się

wątpliwymi sukcesami, pokrzepiają pamięcią historycznej potęgi, neurotycznie reagują na każdą wzmiankę o sobie, pochwały przeżywają jako potwierdzenie własnej świetności, a nagany jako wyraz wyjątkowej niesprawiedliwości i agresji ze strony silniejszych”. Przypomina nam to coś? W każdym razie mi przypomina, i nie jest to wesoła świadomość.

Podobnie jak takie zdania, dotyczące już wprost Polski: „Nie potrafimy opowiedzieć sobie o napięciach społecznych właściwych epoce nowoczesnej – konfliktach klasowych, tradycjonalizmie i modernizmie, zmianach obyczajowych, laicyzacji. O wielu z tych spraw mówimy tak, jak mówi się o obecnej inwazji”. Można by tu się wdać z Matyją w spór o tyle, że wiele z nowych zjawisk kulturowych na szeroką skalę zaczęło się na początku lat 90., od razu szybko

(to, co działo się na Zachodzie przez lat kilkadziesiąt, u nas kompresowało się do kilkunastu), i odbywało w atmosferze – właśnie – pewnego przymusu (słynne w latach 90., ulubione przez progresywidów, zdanie: „przyjdzie Unia i wyrówna”). Rodziło to oczywiście skutki, jeśli chodzi o odbiór tych procesów przez środowiska nienastawione do nich entuzjastycznie.

Ważniejszy jednak jest efekt, a jest nim, tu zgoda z Matyją, pewne samoszukiwanie się, mogące doprowadzić do zakłócenia kontaktu z rzeczywistością. Bo procesy te nie są wywołane ani na siłę, ani sztucznie, mają źródła w urbanizacji i cywilizacyjnej zmianie ogólnosiwiatowej wprawdzie, ale dokonującej się i u nas. Nacisk struktur zachodnich jest faktem, ale i bez niego stanęlibyśmy w obliczu zmian, tyle że wolniejszych.

* * *

Matyja konstatuje, iż Prawo i Sprawiedliwość w ciągu kilkunastu lat swojego istnienia radykalizowało się, choć przypomina, że przed rokiem 2010 w PiS nie było zamiaru destrukcji istniejącego porządku. „Nawet krytycznie nastawiony wobec własnego państwa prezydent zapewne myślał, że zepsucie nie może być całkowite, skoro udało mu się objąć urząd. Rok 2010 wydaje się jednak punktem zwrotnym. Polityka Jarosława Kaczyńskiego i jego obozu została skrojona nie na miarę rozczarowania czy zwątpienia, lecz na miarę tragedii, jaką była katastrofa smoleńska. Taka polityka z natury może traktować porządek liberalnej demokracji jedynie instrumentalnie”.

To trafna obserwacja mająca u podstaw psychologiczno-intelektualną oczywistość. Bo skoro państwo jest opanowane przez zdradę, przez szajkę morderców czy przynajmniej ludzi, którzy do morderstwa doprowadzili w „zamiarze ewentualnym” (zdradzali ojczyznę, spiskując z Rosjanami i mogli się domyślić, że ci mogą w efekcie zabić prezydenta), to usprawiedliwione są wszystkie metody walki z tą sytuacją. Bo państwo zdegradowało się do roli instrumentu zdrajców.

Jest rzeczywiście ciekawe, jak dalece i PiS, i jego wrogowie poszliby po konfrontacyjnej ścieżce w świecie bez katastrofy smoleńskiej. Podkreślmy – obie strony już i tak po tej ścieżce szły, apogeum „obdzierającej prezydenturę Lecha Kaczyńskiego z godności” działalności Palikota to z oczywistych względów okres przed kwietniem 2010 r., również sugestie zdrady były formułowane przez formację IV RP wobec Sikorskiego i Tuska przed tą datą. Niemniej jednak był Smoleńsk w oczywisty sposób punktem przełomowym, w jakimś stopniu cementującym nową jakość.

Nie widzę możliwości, aby w alternatywnej rzeczywistości bez Smoleńska obie strony zawróciły z tej ścieżki. Ale tempo, w jakim maszerowałyby po niej, byłoby wolniejsze. A co za tym idzie, obejmując władzę w roku 2015 (a może już 2011? Nie sposób tego wykluczyć; wielu uważa, iż Smoleńsk bardziej szkodził, niż pomagał wyborczym szansom

Kaczyńskiego), PiS byłoby inne. Mniej rewolucyjne (choć i tak rewolucyjne), mniej konfrontacyjne (choć i tak konfrontacyjne), może bardziej skłonne do ograniczenia frontów i do jakichś form negocjacji? Nie będziemy tego wiedzieli nigdy. Podobnie jak nie będziemy wiedzieli, do jakiego poziomu zdążyłby się wtedy podnieść antypisowski fanatyzm oponentów obecnie rządzącej partii. Czy kulturowo-klasowy odruch odmowy uznania jej prawa do rządzenia i zmieniania Polski pomimo posiadania demokratycznego mandatu byłby aż tak silny jak w znanej nam rzeczywistości?

* * *

Matyja opisuje pewien rzadko zauważany polski fenomen. „Półświadoma, półsenna polityka, w której rzeczy ważne dzieją się mimowolnie, a emocje aktorów koncentrują się na kwestiach trzeciorzędnych”. Gdy przeczytałem to zdanie, przypomniał mi się Filip Springer, autor książki o polskim budownictwie mieszkaniowym. I jego opis, jak to usiłował się dowiedzieć, jakie decyzje rządowe ukierunkowały w latach 90. nasz rynek mieszkaniowy, sterując procesy w stronę całkowitej dominacji modelu mieszkania własnościowego, a nie, jak jest najczęściej na zachodzie Europy, trwałego, wspomagane przez państwo wynajmu. Springer chodził od jednego dawnego decydenta do drugiego, by ostatecznie się dowiedzieć, że w zasadzie to... żadnej takiej decyzji nie było. Zrobiło się samo, przy czym rozmówcy Springera, takie przynajmniej odnosił on wrażenie, nic nie ukrywali ani nie kłamali. Szczerze oddawali rzeczywistość.

Przyczyny tego stanu są różnorokie. Historyczne – Matyja cytuje socjologa Adama Podgóreckiego, którego zdaniem niegdyś utrata niepodległości zmusiła Polaków do „ucieczki w nierzeczywisty świat marzeń”, na skutek czego „kultura polska jest kulturą gestu”, „w ramach której działanie racjonalne jest bezużyteczne”. I inne – jednym z ważnych doświadczeń bystrzejszej części nowych elit po '89 r. było poczucie rosnącej zależności od krajów centrum Zachodu i sił z nimi kojarzonych. A to z pewnością nie sprzyja efektywności działania.

Zwłaszcza w sytuacji, w której państwo było od początku niezwykle słabe. Paradoksalnie, bo zrodziło się przecież z przekształconej dyktatury. Ale – i to jest doskonała obserwacja – był to szczątek państwa. Bo przecież przedtem było to państwo partyjne. Odebranie władzy PZPR było jak amputowanie organizmowi jednocześnie mózgu i kręgosłupa.

* * *

Powinno to uzasadniać dążenie do instytucjonalnego wzmocnienia centrum państwa, od czego blisko do centralizmu. Tymczasem Matyja centralizm energicznie potępia, bliskie mu są natomiast ideały samorządności lokalnej. Ba, ale przecież ta samorządność rozkwitła w Polsce właśnie na skutek atrofii centrum państwa na początku lat 90. A sam Matyja konstatuje brak działań na rzecz instytucjonalnego wzmocnienia tego centrum, i jest to dla niego wyraźnie gorzka konstatacja. Widzę tu pewną sprzeczność.

Można oczywiście wyobrazić sobie mądre wzmacnianie centrum, nieprzeradzające się w centralizm i nie-szkodzące samorządności. Ale teoretyczne dywagacje swoją drogą, a realne życie, rysowane zawsze liniami znacznie grubszy niż stosowanymi przez subtelnych analityków, swoją. W tym punkcie wywody Rafała przybliżają się do wizji jednoczesnego posiadania ciastka i zjedzenia go.

I nie tylko w tym punkcie. Matyja podkreśla rolę napływu pieniędzy unijnych w tworzeniu nowych reguł gry, uzależniających zastępy klasy średniej (szerzej – w ogóle ludności) od rządzących. Tylko że właśnie w strefie oddziaływania tak cenionego przez Matyję samorządu, a nie instytucji centralnych, jest to zjawisko najbardziej uderzające i w największym stopniu kształtujące rzeczywistość. Matyja o tym milczy, co można by uznać za sugestię, że jest odwrotnie.

Jednolicie negatywny obraz współczesności Matyja wyraźnie kontrastuje z latami 90., które, można tak to postrzegać, idealizuje. Wtedy jego zdaniem tworzyła się polska klasa średnia i polski biznes, potem wypchnięte przez zachodnie korporacje, rzekomo tworzył

się wówczas kapitalizm szans, który potem ustąpił miejsca „kapitalizmowi dojść”.

Zgadzam się z Matyją w negatywnej ocenie tych zjawisk. Tylko że zaczęły się one jeszcze długo przed akcesją do Unii i napływem psujących zdaniem autora „Wyjścia awaryjnego” Polskę pieniędzy. Wydaje się, że strategicznie patrząc, było to nieuniknione w momencie samego podjęcia decyzji o szybkim marszu ku zachodnim strukturom, które to struktury wymagały i wymuszały wszechstronne ukompatybilnienie aspirujących do nich krajów. Pogodzenie dłuższej ochrony własnego biznesu, w oczekiwaniu, aż dorosnie na tyle, by móc w większej mierze przetrwać otwarcie granic, z samym kierunkiem przekształceń było, zwłaszcza w warunkach panującego w idealizowanych przez Matyję latach 90. zachwyty dla modelu zachodniego i królującego wówczas niemal bez reszty przekonania o jego bezalternatywności, niemożliwe.

* * *

Matyja podkreśla, że nie pisze swojej książki jako propozycji działań mających na celu odsunięcie PiS od władzy. Zapewne tak, choć wydaje mi się, że stopień jego skierowanych przeciw partii Kaczyńskiego emocji zdecydowanie przewyższa te, którym daje wyraz wobec opozycji. Widzę tu pewną niespójność. Dlaczego?

„Jeśli sprawa funkcjonowania bazy w Szymanach (gdzie za czasów Millera i Belki Amerykanie, za zgodą Polski, torturowali talibów – PS) pozostawała w wyłącznej gestii kierownictwa polskich służb specjalnych, to lokujemy je jako pośrednika gdzieś między służbami amerykańskimi a polskim rządem... Nie sądzę, by oznaczało to brak lojalności wobec własnego państwa, raczej pewne jej »rozrzedzenie«” – pisze Matyja. I ewidentnie owo „rozrzedzenie” mu się nie podoba, podobnie jak w ogóle atrofia państwa, charakteryzująca epokę III RP.

Ba, ale przecież właśnie w świecie PiS takie „rozrzedzenie” jest niemożliwe z definicji. Matyja powinien zwrócić na to uwagę. I docenić, bo nie ma w obecnej Polsce innego znaczącego politycznego środowiska tak jedno-



znacznie przeciwnego temu i podobnym fenomenom. Matyja konstatuje, że nieudane, oszczędzające na wszystkim państwo peryferyjne „staje się raczej strażnikiem porządku światowego niż obrońcą interesów lokalnych”. Jest tu w zgodzie z myśleniem pisowskim. Nie podoba mu się zaproponowany przez Kaczyńskiego sposób zmiany tej sytuacji. W porządku – jaka jednak alternatywa? Nie bardzo wiadomo. Matyja jej nie przedstawia, bo trudno za takową uznać zachętę do zakładania „budujących więzi księgarni lub kawiarni”.

To zresztą generalna uwaga dotycząca całej książki. „Wyjście awaryjne” ma, jak rozumiem, polegać na zmianie paradygmatu myślenia Polaków. Na odejściu od emocji partyjnej konfrontacji. Od stanu, który Matyja celnie oddał (w wywiadzie w „Polsce The Times”) jako „postrzeganie polityki jako walki na śmierć i życie z wewnętrznym wrogiem” („Wielu Polaków ma kłopot z uznaniem, że tworzymy jeszcze wspólnotę polityczną, »my już nie chcemy być z nimi żadnym jednym narodem« – słyszę. Nie od internetowych trolli, ale od ludzi, którzy we wszystkich innych sprawach potrafią zachować dystans”).

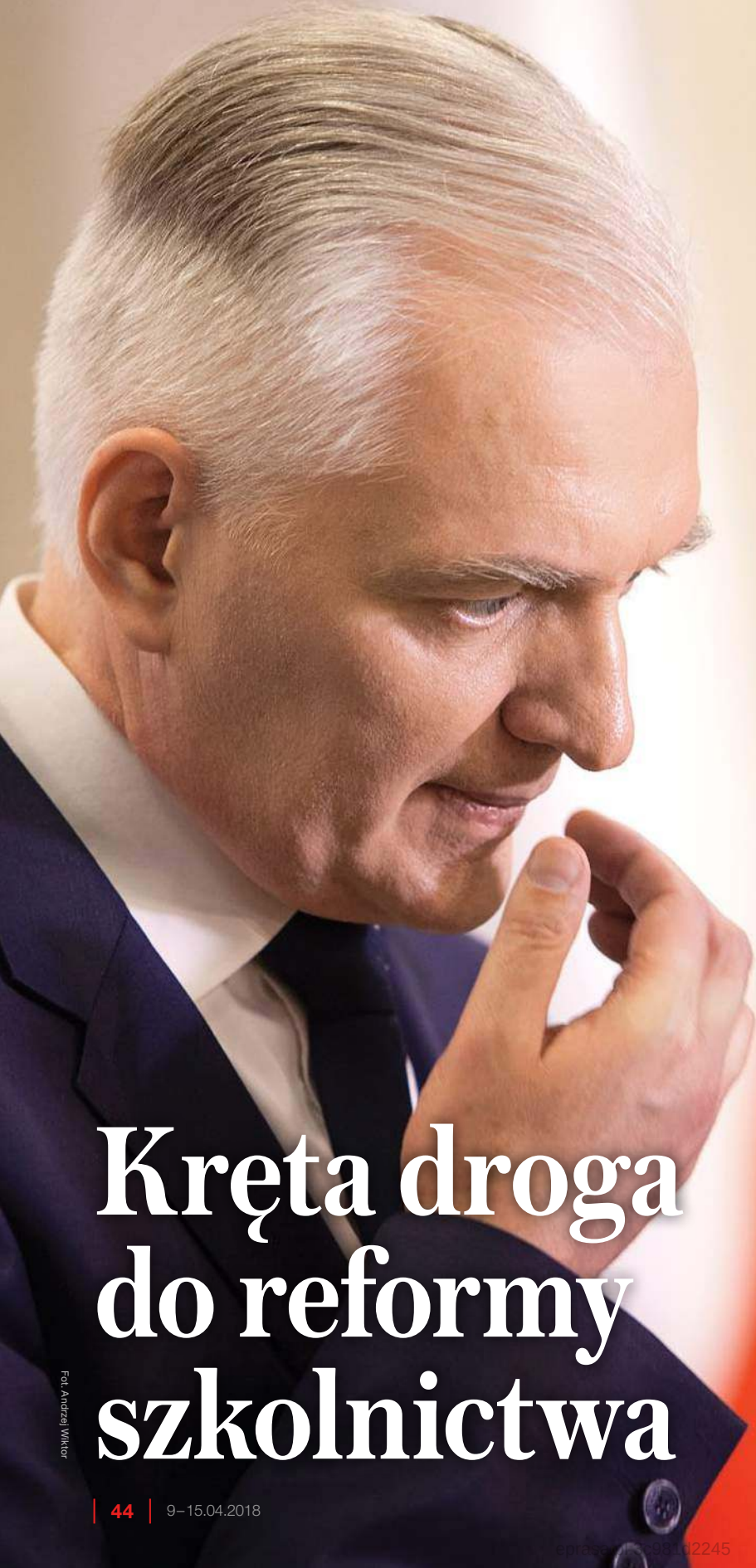
Nie robiłbym Matyi wyrzutów z powodu tej ogólności. Świadczy ona o bezradności – ale nie obarczam nią Rafała. Niemożliwość naszkicowania precyzyjniejszego planu wyjścia z sytuacji sugie-

ruje jej naturalność. Wcześniej Matyja twierdzi, iż w roku 2005 PiS i PO nie różniły się za bardzo między sobą, tylko Tusk i Kaczyński podjęli cyniczną decyzję o wszczęciu wojny, gdyż „wiedzieli, że na wyborcze zyski mogą liczyć tylko wtedy, gdy znajdą się w ostrym sporze o wszystko”. Jednak czy gdyby nawet przyjąć, że wojnę wywołały cynicznie dwa demony, kraj ześlizgnąłby się w nią aż tak łatwo i bez reszty, jeśliby nie odpowiadała ona bardzo dużej części ludności, w tym przeważającej większości tych, którzy są w jakimkolwiek zakresie czynni publicznie? A jeśli tak, no to może ta wojna, jakkolwiek by było szkodliwa, ma naturalne przyczyny? Stanowi emanację naturalnych skłonności, emocji, ale i interesów nie tylko dwóch partyjnych oligarchii?

Pozbyć się bagażu wojny, który przyniata nas do ziemi – wzywa Matyja. Czy to możliwe? Czy jednak bardziej prawdopodobne jest rozstrzygnięcie konfliktu poprzez całkowite zwycięstwo jednej ze stron, połączone z trwałą eliminacją z przestrzeni publicznej strony drugiej? Niosłoby to z sobą masę niebezpieczeństw, nie mówiąc już o tym, że nieszczęść, oznaczałoby też duże prawdopodobieństwo odłożonego o pokolenie „backlashu”, podobnego do ery zapaterizmu w postfrankistowskiej Hiszpanii (choć u nas mogłoby to równie dobrze odbyć się w drugą stronę).

Czy może bardziej prawdopodobne jest wyjście z sytuacji poprzez zmianę pokoleniową? Najmłodsze pokolenie przeżywa bowiem ten konflikt znacznie mniej emocjonalnie; nie dostrzegam jego innych przewag nad generacjami starszymi, o których wydaje się przekonany Matyja, ale już ta jedna wystarczy, bym patrzył na nie z nadzieją. Albo poprzez jakieś szersze zmiany (wewnętrzne czy zewnętrzne), które postawią Polaków wobec nowych problemów, dzieląc ich zarazem według linii innych niż dzisiejsze granice podziału mentalnego?

Nie wiem, a na pewno trzeba będzie na to czekać bardzo długo. Ale wydaje mi się to bardziej prawdopodobne niż nagła zmiana sposobu, w jaki o sprawach publicznych myśli prawie cały naród. Jakkolwiek pesymistycznie brzmiałaby ta konstatacja.



Kręta droga do reformy szkolnictwa

Fot. Andrzej Wiktor



WOJCIECH BIEDROŃ

Sejm rozpoczyna prace nad projektem ustawy reformującej szkolnictwo wyższe. Choć rewolucja w nauce autorstwa Jarosława Gowina zyskała poparcie rządu i akceptację Jarosława Kaczyńskiego, nie maleje opór w jej przeprowadzeniu, także w obozie władzy. Jej zagorzałym krytykiem jest Ryszard Terlecki, szef klubu parlamentarnego PiS i wicemarszałek Sejmu. Projekt wicepremiera, nazywany „Ustawą 2.0”, nie spodobał się również ekspertom Zespołu Zadaniowego Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie. Tygodnik „Sieci” dotarł do tej opinii.

Nad propozycjami Gowina od grudnia 2017 do marca br. pracował pięcioosobowy zespół. W dokumencie określonym jako „materiał wewnętrzny o charakterze roboczym, przygotowany dla Prezydenta RP” eksperci zarzucają projektowi Gowina ograniczenie autonomii uczelni na rzecz niepodzielnej władzy rektorskiej. Krytykują też kwestie związane z umiędzynarodowieniem uczelni, a także działania, które będą marginalizować uczelnie lokalne. Pojawiają się również wątpliwości co do finansowania polskiej nauki i sposobu awansowania naukowców. W raporcie padają stwierdzenia kategoryczne, a jego ton jest bardzo jednoznaczny – Ustawa 2.0 nie służy poprawie sytuacji w nauce. Opinię podpisali znani naukowcy: prof. dr hab. Barbara Kromolicka, dr Monika Jakubowska, prof. dr hab. Stanisław Karpiński, dr inż. Marek Kisilowski oraz dr hab. Marek Kośny.

REKTORZY TO HAMULCOWI

„[...] wreszcie nie dostrzega się podstawowego problemu reformy szkolnictwa wyższego w Polsce polegającego na tym, że w jej przygotowanie zaangażowane są wciąż te same instytucje i gremia (rektory, dyrektorzy instytutów badawczych, naukowych), które już wcześniej bez

powodzenia dokonywały reformy szkolnictwa wyższego. Paradoks zatem polega na tym, że proponowane reformy zachowują, a wręcz wzmacniają, rolę obecnego establishmentu szkolnictwa wyższego i nauki polskiej, nie spowodują zatem oczekiwanych zmian jakościowych. [...] Już teraz, na etapie samej dyskusji o kształcie Ustawy 2.0, na uczelniach odnotowujemy wiele negatywnych działań (w tym nadużywania władzy rektorskiej), stawiając tym samym pod znakiem zapytania powodzenie dla planowanych reform, które mają służyć dobru wspólnemu” – czytamy w raporcie prezydenckich ekspertów.

Doradcy Andrzeja Dudy wprost podkreślają też, że projekt zakłada zdecydowanie „zbyt dużą, niebezpieczną dla funkcjonowania środowiska uczelni i środowiska akademickiego koncentrację władzy w rękach jednej osoby – rektora”.

Zespół zauważa, że obecne władze były wybierane przed zaprezentowaniem planu i kierunku reform. W wielu uczelniach społeczności akademickie nie przewidywały konieczności przeprowadzenia uczelni przez proces trudnych reform.

„Konieczne jest skrócenie kadencji obecnych władz i przeprowadzenie nowych wyborów w celu wyboru osób właściwie przygotowanych do przeprowadzenia reformy i dostosowania szkoły wyższej do nowych wymogów ustawowych. [...] Wizja uczelni, w której na samym dole funkcjonują sprawne, zintegrowane zespoły katedr i zakładów, usytuowane w społecznej próżni menedżersko zarządzanego przedsiębiorstwa produkcji naukowej, jest utopijna” – twierdzą przedstawiciele zespołu.

NIEBEZPIECZNE WZORCE

Duży nacisk w opinii ekspertów kładzie się również na kwestie tzw. umiędzynarodowienia polskiej nauki. Zespół nie szczędzi tu krytycznych słów.

„Nie do przyjęcia jest zbyt radykalne przeniesienie akcentu na umiędzynarodowienie we wszystkich obszarach (będące konsekwencją standaryzacji

Proponowane reformy zachowują, a wręcz wzmacniają, rolę obecnego establishmentu szkolnictwa wyższego i nauki polskiej, nie spowodują zatem oczekiwanych zmian jakościowych

sposobów oceny działalności naukowej). To może w dłuższym okresie doprowadzić do nieodwracalnych skutków i zaniku badań w wielu istotnych obszarach nauk humanistycznych i społecznych. [...] Projekt Ustawy 2.0 zamyka szanse na rozwój polskiej humanistyki. Nie do przyjęcia jest sygnalizowany brak zainteresowania wszechstronnym rozwojem młodej polskiej inteligencji. Z Ustawy 2.0 wylania się obraz polskiej uczelni zunifikowanej z jakąś bliżej nieokreśloną wizją uniwersytetów zachodnich, rozwoju przez punkty parametryczne, współczynniki cytowań i pozyskiwane granty” – czytamy w opinii zespołu.

Eksperci podnoszą też kwestię marginalizacji lokalnych uczelni, które zdaniem zespołu zostaną sprowadzone do roli „uczelni zawodowych” o niskim znaczeniu.

„Nie do przyjęcia jest zepchnięcie w faktyczny niebyt uniwersytetów lokalnych, zmuszonych z uwagi na zapisy Ustawy 2.0 do tworzenia uczelni zawodowych. Założenia do Ustawy 2.0 wskazują na proces marginalizowania znaczenia uczelni w regionach oraz przenoszenia odpowiedzialności za funkcjonowanie uczelni na same uczelnie oraz środowiska lokalne. Przyjęcie kierunku wspomagania jedynie wysp doskonałości nie rozwiąże tego problemu”.

WĄTPLIWOŚCI W FINANSOWANIU

Autorzy opinii wskazują również mankamenty ustawy o nauce w obszarze finansowania. O wydatkowaniu pie-

niędzy ma decydować niemal wyłącznie rektor danej uczelni. Budzi to ogromne wątpliwości w zespole opiniującym projekt Gowina.

„W Ustawie 2.0 zakłada się połączenie strumienia finansowania nauki, kształcenia oraz utrzymania infrastruktury uczelni. W związku z tym budzi szczególnie niepokój zapis wprowadzający zarządzanie środkami na badania statutowe centralnie, tzn. jedynie przez rektora, co więcej z możliwością wydatkowania tych środków na cele pozabadawcze, pozanaukowe, np. na remonty. Ograniczenie i tak już skromnych funduszy na badania

naukowe na uczelniach spowoduje zanik możliwości rozwoju dla pracowników nauki, a w konsekwencji zaniżoną ocenę jednostki. Niewielu jest pracowników nauki, którzy przy aktualnych poborach mogą inwestować w swój rozwój naukowy na poziomie międzynarodowym, wymagającym przede wszystkim osobistych kontaktów, by realizować ciekawe zamierzenia badawcze. Poza-stawienie decyzji o przyznaniu środków na badania statutowe wyłącznie w gestii rektora rodzi podejrzenie u wielu pracowników uczelni, że nie otrzymają środków na własne projekty badawcze, szczególnie gdy są u progu rozwoju naukowego” – podkreślają autorzy opinii.

KUDRYCKA ZMARNOWAŁA POTENCJAŁ

Prezydenci eksperci nawiązują też w swojej opinii do nieudolnych prób reformy polskiej nauki podejmowanych przez poprzedniczkę Jarosława Gowina, Barbarę Kudrycką, w latach 2008–2010.

„[...] w wyniku nieudolnych i biurokratycznych reform, niezmiennających w rzeczywistości kultury organizacyjnej szkolnictwa wyższego oraz jakości uprawianej nauki i kształcenia, doszło do zmarnotrawienia zarówno entuzjazmu i kapitału ludzkiego, jak i pieniędzy na olbrzymią skalę. W efekcie naukowa pozycja polskich uczelni w świecie nadal pozostała relatywnie słaba, a duża część młodych, zdolnych naukowców wyemigrowała na Zachód” – napisali naukowcy z Narodowej Rady Rozwoju.

Mężczyzna zabił żonę i spowodował śmierć czterech innych osób, doprowadzając do wybuchu gazu i zawalenia kamienicy. Dwa tygodnie później inny mężczyzna zabił rodziców byłej dziewczyny i usiłował zabić ją oraz jej siostrę. Mniej więcej w tym samym czasie kobieta udusiła kablem troje dzieci i popełniła samobójstwo. Bulwersujące zdarzenia układają się w niepokojącą sekwencję. Jak mówią eksperci, cena ludzkiego życia wyraźnie spadła. Czy takim zbrodniom można zapobiec?



MAJA NARBUTT

Pewnych zbrodni nie można odnaleźć w policyjnych statystykach, bo taka kategoria zdarzenia nie została wyodrębniona. Nie ma rubryki dla zabójstw wielokrotnych, kiedy w jednym miejscu i tym samym czasie ginie kilka osób. Nikt nie policzył też, ile było samobójstw rozszerzonych, gdy sprawca zabija bliskich, zanim sam się zabije – mówi dr Joanna Stojer-Polańska, kryminalistyk z Uniwersytetu Humanistycznospołecznego SWPS w Katowicach.

Jeśli tych najbardziej szokujących zbrodni nie uwzględni się w statystykach, to można się oprzeć tylko na infor-

macjach pojawiających się w mediach. A z nich wynika, że takich przestępstw jest coraz więcej.

– Cena życia ludzkiego wyraźnie spadła. Być może inspiracją dla zabójców są akty terrorystyczne, w których ginie wielu ludzi. Może w ich umysłach podświadomie rodzi się przekonanie, że takie rzeczy się po prostu zdarzają i nie są niczym nadzwyczajnym. Warto, by podobne zbrodnie były nie tylko tematem sensacyjnych artykułów, lecz także głębszej analizy – uważa wybitny kryminolog prof. Brunon Hołyst.

Kiedy 4 marca zawaliła się kamienica w Poznaniu, znalezienie w gruzach ciała kobiety z odciętą głową zmieniło postrzeganie tej tragedii. Okazało się, że nie był to przypadkowy wybuch, lecz celowe rozszczelnienie instalacji gazowej, które miało ukryć zabójstwo.

Wydaje się to szczególnie przerażające: zabójca doprowadził bowiem do śmierci czterech innych, zupełnie przypadkowych osób, a 20 miesz-

kańców kamienicy zostało rannych. Wbrew początkowym prognozom domniemany zabójca Tomasz J. przeżył. Nie chce się jednak wypowiadać o swej zbrodni. Nie przyznaje się do winy, milczy i odmawia zeznań. Ale okoliczności zabójstwa wiele mówią o jego motywach.

– Ta zbrodnia miała być przestrogą dla innych: tak kończą kobiety, które zdradzają. Wycięcie napisu „Za zradę” na czole zabitej żony, zbezczeszczenie jej zwłok, było zemstą, która miała ją dotknąć nawet po śmierci – mówi znany psychiatra sądowy dr Jerzy Pobocha.

Pewne okoliczności zabójstwa wydają się nielogiczne: jeśli zabójca doprowadzając do wybuchu gazu, chciał zatrzeć ślady zbrodni, to dlaczego wycinał napis na czole kobiety czy maszkrował zwłoki w sposób, który musiał zwrócić uwagę osób, które je znalazły? A jeśli chciał tylko zatrzeć ślady, to dlaczego został w mieszkaniu, wiedząc, że gaz wybuchnie?



Zbrodnie poza rubrykami



Kiedy 4. marca zawałła się kamienica w Poznaniu, znalezienie w gruzach ciała kobiety z odciętą głową zmieniło spostrzeganie tej tragedii. Okazało się, że nie był to przypadkowy wybuch, lecz celowe rozszczelnienie instalacji gazowej, które miało ukryć zabójstwo

– Zabójstwo było kulminacją nienawiści do żony. Mógł potem żyć lub nie żyć, w tamtym momencie było mu to obojętne. Może nawet chciał, by w wybuchu zginęli lokatorzy kamienicy, bo uznał, że świat jest tak zły, że inni ludzie też zasługują na karę – uważa prof. Hołyst.

Jako pionier polskiej wiktymologii, czyli nauki zajmującej się ofiarami przestępstw, zwraca uwagę na dość drastyczne wnioski, które wypływają z tej historii. Może nie brzmi to najlepiej ani nie jest zgodne z polityczną poprawnością, ale – jak podkreśla słynny kryminolog – kobiety, które mają powody sądzić, że ich partner jest agresywny, powinny bardzo ostrożnie zrywać związek. Raczej powoli rozluźniać relację, niż zdecydowanie odrzucać mężczyznę, stawiając sprawę na ostrzu noża.

Podobne refleksje związane z tragedią w Poznaniu ma dr Jerzy Pobocha. Jak podkreśla, należy unikać bezpośredniej konfrontacji i wyzwolenia niekontrolowanych emocji partnera.

– Powinno się uczyć kobiety, jak się zachowywać w sytuacjach, które są niebezpieczne. Często na przykład wydają na siebie wyrok śmierci, mówiąc sprawcy gwałtu, że natychmiast pójść na policję. Równie niebezpieczne jest też nagłe zerwanie z mężczyzną, który ma obsesję na punkcie kobiety i uważa, że albo będzie ona jego, albo niczyja. Wtedy lepiej poinformować go o tej decyzji telefonicznie – mówi dr Pobocha.

Zamordowana kobieta miała powody, by się obawiać Tadeusza J. i sądzić, że jest on niebezpieczny. Dwa miesiące wcześniej spowodował wypadek samochodowy, w którym ciężko ranny został ich 12-letni syn. Jak uważała Beata J., mąż specjalnie wjechał samochodem na drzewo, chcąc zabić dziecko i w ten sposób ją ukarać.

– Akta dotyczące tego wypadku zostały włączone do sprawy o zabójstwo żony. Żona Tadeusza J. od razu twierdziła, że nie jest to zwykły wypadek. Ale twierdziła też, że nie czuje się zagrożona przez męża – mówi prokurator Magdalena Mazur-Prus.

Nawet jeśli Tadeusz J. jeszcze przed zabójstwem żony był niebezpieczny, nie można było przydzielić jej ochrony, bo o nią nie prosiła. Podkreślają to prokuratura i policja, choć z drugiej strony nasuwa się pytanie, czy jeśli istniały powody, by sądzić, że mężczyzna celowo spowodował wypadek, nie powinien się znaleźć w areszcie.

– Historia zabójstwa w Poznaniu każe się zastanowić, czy nie zdarzyło się już coś podobnego w przeszłości. Czy nie było już wybuchów gazu albo innych zdarzeń, które były w rzeczywistości zakamuflowaniem zabójstwa. Przecież gdyby nie zbezczeszczenie zwłok, można było przyjąć hipotezę, że doszło do przypadkowego rozszczelnienia instalacji gazowej – mówi dr Stojer-Polańska, która w swej pracy badawczej szczególnie interesuje się tzw. ciemną liczbą przestępstw, czyli takich, które nie zostają ujawnione ani wykryte.

JAK SAMOCHÓD BEZ HAMULCÓW

Żadnych wątpliwości nie mogło być w wypadku morderstwa w położonej także w Wielkopolsce Cerekwicy Sta-

rej. Doszło do niego dwa tygodnie po eksplozji w Poznaniu. 22-letni mężczyzna wszedł w nocy do rodzinnego domu swojej byłej dziewczyny. Wiedział, że tylne drzwi nie są zamknięte, doskonale znał rozkład pomieszczeń i mógł się poruszać po ciemku. Zabił jej rodziców, ją samą ciężko ranil ciosami noża, celując zwłaszcza w brzuch. Ranil też jej siostrę, ofiar mogło być więcej, gdyby nie został spłoszony przez innych domowników. Uciekł, lecz wkrótce został zatrzymany. – Zachowywał się zupełnie spokojnie. Podczas eksperymentu śledczego odtwarzał zdarzenia bez emocji – mówi prokurator Maciej Meler z Prokuratury Okręgowej w Ostrowie Wielkopolskim.

Ciosy w brzuch dziewczyny były nieprzypadkowe: była w dziewiątym miesiącu ciąży, nie zgodziła się na aborcję i usunięcie dziecka Eryka J. Wszystko wskazuje na to, że właśnie to było motywem zbrodni, która miała się zakończyć wymordowaniem całej rodziny.

– Funkcjonowanie niektórych ludzi można porównać do tego, jak działa samochód bez hamulców. Nie zatrzyma się, rozjedzie wszystko na drodze, staranuje przeszkody. Można też mówić o daltonizmie moralnym – po prostu taki człowiek nie zauważa problemów etycznych. Jako psychiatrzy wiemy, że jest to pewien defekt, który można nawet potwierdzić za pomocą rezonansu magnetycznego – opowiada dr Jerzy Pobocha. Jak podkreśla, w praktyce niewiele wynika z tego, że wiemy, iż ktoś ma ów szczególnie defekt i nie odczuwa skrupułów ani empatii. Nie można przecież uznać, że zmniejsza to jego odpowiedzialność za zbrodnię.

Najczęściej dowiadujemy się o psychopatycznych skłonnościach sprawcy zbyt późno. Nic nie wskazuje na to, że Eryk J., absolwent liceum o profilu policyjnym, był do momentu zbrodni postrzegany jako osoba, która jest jak tykająca bomba i zagraża otoczeniu. Podobnie jest zazwyczaj w wypadku tzw. samobójstw rozszerzonych – gdy sprawca najpierw zabija swych bliskich, a potem popełnia samobójstwo.

– Schemat jest podobny: mężczyzna przede wszystkim zabija swoją partnerkę lub rodziców. Kobieta zabija dzieci. Samobójstwo rozszerzone

poprzedzone jest często epizodem psychotycznym. Nagle i gwałtownie pojawiają się zaburzenia postrzegania rzeczywistości, omamy i urojenia – mówi dr Bogdan Lach, psycholog śledczy i profiler.

Nie zawsze jednak epizod psychotyczny musi wystąpić, a najbliższa rodzina często nie zauważa niepokojących sygnałów.

Przez kilka tygodni, które minęły od chwili, gdy w Zalczynie pod Skawiną 40-letni mężczyzna znalazł troje dzieci w wieku 4, 9 i 12 lat uduszonych w łóżkach, a swoją żonę powieszoną, śledczy nadal nie ustalili motywu, który kierował kobietą. Przesłuchano wielu świadków, przeprowadzono wywiady środowiskowe, ale nie trafiono na wyraźny trop.

Podobnie było w wypadku dokonanej w końcu stycznia zbrodni w Lubinie – kobieta ciosami noża zabiła 12-letnią córkę i jej 15-miesięczną siostrzyczkę. Sama nieskutecznie próbowała popełnić samobójstwo. Jedyną poszlaką, że miała wcześniej problemy psychiczne, jest znalezienie w domu skierowanie do poradni psychiatrycznej.

– Musimy się przyzwyczaić, że często w ogóle nie dowiemy się, co kierowało osobą, która popełniła samobójstwo rozszerzone. Niekiedy nie mamy nawet pojęcia, co się faktycznie stało. Pamiętam przypadek, gdy znaleziono zwłoki kobiety i mężczyzny. Łączył ich romans, ale równocześnie mieli innych stałych partnerów. Czy kobieta też chciała umrzeć, czy stało się to wbrew jej woli – a więc czy było to samobójstwo wspólne, czy rozszerzone? A może jeszcze coś innego? – zastanawia się dr Joanna Stojer-Polańska.

BEZ POŻEGNANIA

Jedna rzecz łączy wszystkie osoby, które popełniają samobójstwo rozszerzone – z reguły nie zostawiają listów pożegnalnych.

Suicydolog Halszka Witkowska zgromadziła bardzo różne listy samobójców – długie, ciągnące się przez wiele stron i lakoniczne, które zamykają się w paru słowach. Pisane z wyraźnym pośpiechem, chaotyczne, a także te starannie przemyślane i zredagowane. Są listy

pełne emocji i są suche dyspozycje dotyczące pogrzebu i testamentu. Ale w tej bogatej kolekcji nie ma listów od samobójców, którzy zabili też swoich bliskich.

– Trudno sobie wyobrazić taki list. Mówiąc brutalnie, kto miałby być jego adresatem, skoro najbliższe osoby zostały zabite? W listach samobójców często pojawia się też słowo „przepraszam”, żal, że swoją śmiercią przysparzają bólu rodzinie. Jak można powiedzieć „przepraszam”, gdy planuje się zabójstwo bliskich? Pisanie listu związane jest z refleksją, a refleksja musiałaby prowadzić do wniosku, że chce się popełnić czyn niewybaczalny – mówi Halszka Witkowska.

Używany powszechnie termin „samobójstwo rozszerzone” w istocie bowiem przykrywa wyjątkowo odpychający rodzaj zabójstwa, które prokuratura traktuje często jako zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. – Nie powinno się w ogóle mówić „samobójstwo rozszerzone”. Co najwyżej „tak zwane samobójstwo rozszerzone” – twierdzi prof. Hołyst, prezes Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.

Przypomina to określenie „tak zwane Państwo Islamskie”, którego używają eksperci, kiedy chcą podkreślić, że ta terrorystyczna struktura nie ma nic wspólnego z normalnym państwem.

Między samobójstwem a tzw. samobójstwem rozszerzonym jest bowiem zasadnicza różnica – samobójca dochodzi do wniosku, że nie chce już dłużej żyć. Ten, kto popełnia tzw. samobójstwo rozszerzone, podejmuje taką decyzję za innych. Czasem uważa, że zabijając członków rodziny, zabiera ich ze świata, w którym i tak nie miałoby przyszłości, chroni przed cierpieniem. Pociąga ich za sobą w śmierć przekonany, że nie poradzą sobie bez niego.

Na swoich wykładach prof. Hołyst przywołuje często przykład kobiety, która samotnie wychowywała dwójkę dzieci. Kiedy straciła pracę, wróciła do domu, odkręciła gaz, a potem wyskoczyła z 12. piętra.

Ale zdarza się też, że motywacja sprawców samobójstw rozszerzonych nie ma nic wspólnego nawet z pozorami altruizmu. Szczególnie drastyczne są sytuacje, w których matka zabija dzieci,

chcąc w ten sposób przysporzyć cierpienia swemu partnerowi, wyrzucić na nim zemstę za zdradę lub przemoc domową.

Samobójstwo rozszerzone może być wręcz kamuflażem zwykłego zabójstwa – prawdziwa agresja sprawcy wymierzona jest właśnie przeciw członkom rodziny, a po dokonaniu zabójstwa może jedynie pozorować próbę samobójczą.

Zazwyczaj po każdym takim brutalnym zdarzeniu otoczenie zadaje sobie pytanie, czy można go było uniknąć. Istnieje cały katalog objawów, które wskazują, że ktoś przeżywa kryzys, który może się zakończyć tragedią – od nagłej abnegacji i zaniedbania po wpłytywanie w rozmowę uwag o śmierci, testamentie, mówienie przez kobietę do mężczyzny: „Lepiej ci by było beze mnie i dzieci”, czy też przez mężczyznę do kobiety: „Jeśli nie będziesz moja, nie będziesz niczyja inna”.

Ale specjaliści wiedzą doskonale, że zauważenie objawów poprzedzających samobójstwo – rozszerzone czy zwykłe – wcale nie jest łatwe ani oczywiste. – W szpitalu psychiatrycznym we Wrocławiu na haku powiesił się psychiatra. A przecież pracował wśród naprawdę świetnych psychiatrów – opowiada dr Jerzy Pobocho.

Jednak jest pewien element, który niesie nadzieję. Wbrew obiegu opinii odratowany samobójca często nie chce już powtarzać swego czynu. – Pielęgniarka podcięła sobie i nastoletniej córce nadgarstki. Córka zdążyła zadzwonić na telefon alarmowy, obie przeżyły. Matka przeszła terapię, wyleczyła się z depresji. Po latach z dystansem opisała tamte wydarzenia, jakby chodziło o zupełnie inną osobę – mówi dr Pobocho.

Każde samobójstwo rozszerzone jest przedmiotem analizy kryminologicznej, która ma ustalić nie tylko jego przebieg, lecz także ukryte często motywy. – Trzeba poprowadzić linię, która łączy różne wydarzenia i wydobyć to, o czym nie opowie już osoba, która nie żyje. W interesie społeczeństwa jest, by zrozumieć takie tragedie i móc im skutecznie zapobiegać – mówi psycholog śledczy dr Bogdan Lach.

Tel. dla osób w kryzysie emocjonalnym 800 70 2222, 116 123.



Wiele nas łączy

*Bożena Dykiel i Mieczysław Hryniewicz:
serialowe małżeństwo, poza kadrem para dobrych przyjaciół*

**Z Bożeną Dykiel i Mieczysławem Hryniewiczem,
aktorami serialu „Na Wspólnej”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Ponoć znają się państwo już pół wieku?

Mieczysław Hryniewicz: Niewiem, kto to powiedział...

Podobno pan.

Ale nigdy publicznie.

A znacie się tyle lat?

To są już plotki przesadzone, ale znamy się i lubimy [uśmiech].

Niejedno małżeństwo po 15 latach ma siebie serdecznie dosyć, a wy trwacie.

Mieliśmy wielki kryzys po 45 latach małżeństwa, to znaczy mieli nasi serialowi bohaterowie, Włodek i Maria. Sprawa była już w sądzie, ale wycofaliśmy się. Przypomnieliśmy sobie, ile tak naprawdę nas łączy. Jak to było pięknie. I dalej jest pięknie. I że samotność jest straszna.

Jak pan ocenia to swoje serialowe małżeństwo?

Mówią, że jako Włodek jestem trochę za bardzo pod pantoflem, ale ja tego nie czuję. Poza tym dobrze mieć obok siebie człowieka, który czasami za nas zadecyduje.

Jaki wpływ na państwa prywatne relacje ma ten długi, ekranowo-małżeński staż?

To fantastyczne koleżeństwo. Czasami spotykamy się we czwórkę – z naszymi prywatnymi małżonkami. Znam Ryszarda, męża Bożenki, dłużej niż ona.

Skoro tak wybornie państwo się znają, jakim prezentem najbardziej by pan uradował panią Bożenę?

Ja już jej taki prezent dałem. Od premiery, która odbyła się w 1974 r. w Teatrze Narodowym, ponad 400 razy graliśmy „Balladynę”. Jeździliśmy na motocyklach marki Honda [w spektaklu reżyserowanym przez Adama Hanuszkiewicza Bożena Dykiel jako Goplana nosiła kostium stylizowany na ubiór Jane Fondy z filmu „Barbarella”, Mieczysław Hryniewicz wcielił się w Skierkę – przyp. red.].

Przyniosłem więc zdjęcie, na którym jesteśmy we trójkę: Bożenka, Wiktor Zborowski i ja. Oprawione w ramkę, więc mam nadzieję, że go nie zgubi.

„Na Wspólnej” nie zawsze jest wspólnie, więc najpierw porozmawiałam z pani serialowym mężem, a teraz panią zapytam: czy to prawda, że znają się państwo pół wieku?

Bożena Dykiel: Rzeczywiście znamy się bardzo długo, ale nigdy nie liczyłam, ile lat. Mietek jest bardzo dobrym kolegą, można rzec: facetem o złotym sercu. Gdy się wściekam, umie mnie wyprowadzić – nie z równowagi, ale ze złości. Jak są jakieś nieporozumienia – ułagodzi. Ja jestem piekielnicą. Gdy coś mi się nie podoba, natychmiast reaguję.

Czyli sprawdza się jako mąż i nie-mąż?

Owszem. Od 15 lat spotykamy się na planie serialu „Na Wspólnej”, a dobrych parę lat wcześniej pracowaliśmy razem w Teatrze Narodowym. Już wtedy mieliśmy okazję się poznać i od strony sceny, i kulis. Niejedną godzinę spędziliśmy z kolegami w bufecie. Kiedyś Krzysz Kolberger organizował co roku sylwestra w teatrze, to żeśmy wszyscy „sylwestrowali”. Za dyrekcji Hanuszkiewicza Narodowy to był nasz teatr dom.

Pani serialowy mąż podkreśla jednocześnie, że choć na planie spędzają państwo z sobą dużo czasu i są tak zżyci, w realnym świecie mają obok siebie wspaniałym małżonków.

Lubimy się też rodzinnie, ja z Mietką żoną Ewą i Ewa z moim mężem, panem Rysiem. Tak jak w życiu. Jeżeli nie rozmawiamy na zadziorne tematy, wszystko jest bardzo dobrze.

To metoda na bycie wśród ludzi. A jaki jest sposób na dobre, szczęśliwe małżeństwo?

Dwoje ludzi musi się dopasować, ale najpierw odpowiednio dobrać. To nie jest tak, że każdy do każdego pasuje. Ja pana Rysia szukałam bardzo

długo, a gdy zapaliło mi się czerwone światelko: „O, z tym facetem mogłabym mieć dzieci”, to była decyzja na całe życie. Dziecko to decyzja na całe życie – na dobre i złe, ogromna odpowiedzialność obojga rodziców.

I wielkie zobowiązanie.

Delikatnie powiedziane. Patrzę teraz na Anię Guzik i czasem pytam ją: „Zmęczona jesteś?”, a ona odpowiada: „Nie, bo się wyspałam”. A ma trójkę malutkich dzieci. To jest harówka, ciągły brak snu, to są oczy z tyłu głowy, myślenie tu i teraz, ale też planowanie i organizowanie... Ogrom pracy. Ale jedno dziecko to „sierota”. Nie ma się z kim bawić, klócić, bić, więc ciągle siedzi na głowie rodziców. Tak, powinna być trójka – to jest to. Brakuje mi trzeciego dziecka.

W serialu macie więcej.

I chwała Bogu, dlatego że bez dzieci małżeństwa szybko się nudzą. A tak, jest tyle zajętości, że nie ma czasu na nudę.

A gdy dzieci wyfruną z gniazda?

Przychodzą wnuki. Na szczęście dzięki obydwu córkom jestem szczęśliwą babcią. Bardzo szczęśliwą, bo mam zdrowe i bardzo kochane wnuczeta – całą czwórkę: dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Zdrowe dzieci to szczęście od Boga. Rodzice też powinni dbać o swoje zdrowie, a w domu musi być spokój – jak jest, to wszystko się układa.

I tego spokoju przede wszystkim sobie życzymy.

Tego spokoju życzę wszystkim Polakom. Życzę łagodniejszego traktowania różnego rodzaju błędów ludzkich – jesteśmy tylko ludźmi, nie maszynami, więc popełniamy błędy.

Wierzy pani w ludzi?

Wierzę w nasz kraj. Jest naprawdę fajny. Od Bałtyku po Tatry. I jest pełen zdolnych ludzi. Na wszystkich poziomach życia. Zawsze powtarzam: „Zgoda buduje”. „Na Wspólnej” i w każdym innym miejscu postaramy się więc być razem. I mieć wspólne cele.

PIĄTEK 13 KWIETNIA | 18:45 | TORWAR | WARSZAWA

DUMNI Z WAMI

RAJEWSKI · CELIŃSKI · JENEL · BISZCZAK · KASPERSKI

MIĘDZYNARODOWY MECZ K1
POLSKA vs ROSJA

DSF KICKBOXING
CHALLENGE 14

BILETY NA WWW.DSF14.COM



RED IS BAD™

„Dziady” Dejmka: odkrywamy tajemnicę

Wszyscy solidaryzują się z tym przedstawieniem granym tylko 11 razy. Ale gdyby powstało teraz, rolę zaszczuwających go funkcjonariuszy partyjnych mogliby odegrać nowocześni krytycy i część środowiska teatralnego

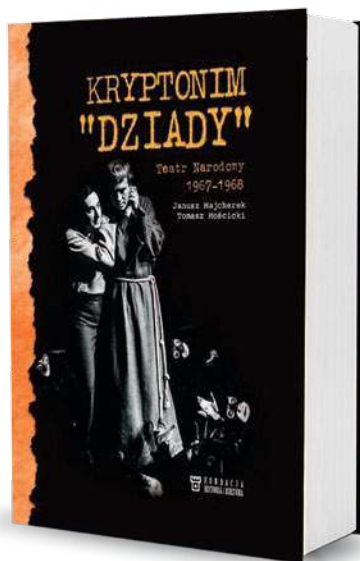


PIOTR ZAREMBA

Dla kogoś, kto pasjonuje się historią PRL i kocha teatr, ta książka to gratka. „Kryptonim »Dziady«” to bardzo sprawnie napisana opowieść o tym, co odegrało w Marcu '68 rolę zapalnika czy katalizatora – o „Dziadach” Adama Mickiewicza i Kazimierza Dejmka. Wreszcie napisana.

WYSTARCZYŁ GNIEW KLISZKI

Janusz Majcherek i Tomasz Mościcki to kompetentni teatrologowie i historycy teatru. Zgromadzili masę dokumentów produkowanych przez SB, przez PZPR i resort kultury, także przez sam świat teatru i ówczesne media. Spróbowali zrekonstruować przebieg przedstawienia, znanego z zapisu dźwiękowego, ale poza paroma scenkami nie z obrazu, więc odtwarzanego na podstawie opisów, fotografii, nawet recenzji. Nie tylko zacytowali sporo ówczesnych relacji i późniejszych wspomnień, lecz sami rozmawiali z ostatnimi aktorami ówczesnego Teatru Narodowego grającymi w przedstawieniu (Jan Kobuszewski, Józef Duriasz), a także z tymi, którzy potem robili wokół całej sprawy dym, również w świecie teatralnym (Andrzej



Seweryn, Ryszard Peryt i Małgorzata Dziewulska, studenci PWST manifestujący na ulicach).

Autorzy nie przynieśli nam przełomowej tezy politycznej. Sam Kazimierz Dejmek snuł w 1981 r., podczas sesji marcowej na UW, rozważania o możliwej prowokacji moczarowców, która miała pociągnąć lawinę dalszych zdarzeń. Ale nie była nią raczej sama decyzja o zdjęciu „Dziadów”. Z dokumentów wynika, że Zenona Kliszkę, człowieka numer dwa w Biurze Politycznym PZPR, przedstawienie zdenerwowało już na premierze 25 listopada 1967 r., a jeszcze bardziej zrobiło to towarzyszące mu entuzjastyczne, ale i antyrosyjskie reakcje publiczności. Swoje fobie podsunął nieufnemu wobec świata sztuki Władysławowi Gomułce, ten zaś,

nie oglądając przedstawienia, uznał, że wystawiono spektakl antyrosyjski (więc antyradziecki) i klerykalny. I to wystarczyło, aby go zdjąć.

Za plecami tych dogmatycznych komunistów nie było w momencie podejmowania tej zapalnej decyzji podejrzewanego o dążenie do władzy narodowego komunisty Mieczysława Moczara. Możliwe, że – na to kładł nacisk Dejmek w swoich wspominkach – podległa temu dygnitarzowi SB nasyłała na kolejne przedstawienia prowokatorów, ale większość okrzyków i braw pochodziła od szczerze przejętej młodej inteligencji. W tym sensie miał rację prof. Bogdan Korzeniowski przestrzegający Dejmka przed samym tekstem Mickiewicza, tak mocno kolidującym z logiką PRL. Skądinąd reżyser chciał nim uczcić... 50. rocznicę rewolucji październikowej. W pełnej początkowo zgodzie z peerelowskim włodarzem, dyrektorem z resortu kultury Stanisławem Witoldem Balińskim.

Jeśli tamto kierownictwo PZPR jakoś ewoluowało w kierunku bardziej narodowym, to stało się równocześnie na gruncie rozprawy ze sztandarowym wykwestem polskiego patriotyzmu. Z kolei studenci bronili tego patriotyzmu na ulicach, choć ich nieformalnymi przywódcami byli w Warszawie lewicowi, wywodzący się z rodzin komunistycznych i często żydowskich, komandosi. To jeden z największych paradoksów Marca. Sam Dejmek, co autorzy odnotowują, był podejrzewany – przesadnie, ale zgodnie z logiką – o sympatie moczarskie, bo chciał robić w PRL „naro-

dowy”, patriotyczny teatr. Oczywiście nie miało to wpływu na bieg zdarzeń. W następstwie wojny o „Dziady” został wyrzucony z PZPR w okresie największych triumfów „moczaryzmu”.

TEATR NARODOWY, CZYLI POLSKA

Ciekawsze od tropienia politycznych spisków jest prześledzenie mechanizmów rządzących ówczesną kulturą. Dejmek to przekonany komunista, zaledwie sześć lat wcześniej w tym samym Teatrze Narodowym wystawił „Słowo o Jakubie Szeli” Brunona Jasińskiego, w duchu antyszlacheckim i rewolucyjnym.

A zarazem ten sam Dejmek głęboko wierzył w powinność tworzenia „teatru narodowego”. Prowadził nad nim niekończące się debaty, cyzelował i pieścił jego wizję. W tym modelu sporą rolę odgrywała także religijność, którą był zafascynowany – będąc ateistą. Wiem coś o tym jako widz widowiska „Dialog de Passione” wystawionego przez niego już w latach 70. w Teatrze Nowym w Łodzi. W tym było coś więcej niż estetyczne zauroczenie.

Na dokładkę ten dyrektor miał kłopot z polskim romantyzmem. Przyznawał się, że woli inne epoki. Do swojego lewicowego radykalizmu dokładał czeski realizm. Niektórych scen z „Dziadów” nie lubił lub może go śmieszyły. A przecież wierność Mickiewiczowi uznał za swoją powinność. Ten tekst go jakby poniósł.

Wyrzucał poszczególne strofy isceny, a potem je przywracał. Sprzyjała tym rozterkom inteligencka atmosfera panująca w teatrze. Autorzy przypominają o jego niekończących się konwersacjach choćby z wielkim teatrologiem Zbigniewem Raszewskim. Albo o roli, jaką w Teatrze Narodowym odgrywała jego sekretarz literacka Halina Zakrzewska. Jej wstrząsające wspomnienia z mokotowskiego więzienia, gdzie siedziała w czasach stalinowskich jako żołnierz AK, to moja ważna lektura. Ta sama Zakrzewska uważała za swoją misję współtworzenie oficjalnej kultury. Aresztowano ją w roku 1948 jako kierownika literackiego Polskiego Radia.

Inteligentną świadomością obdarzeni byli także niektórzy aktorzy, na czele z Gustawem Holoubkiem grającym Gustawa-Konrada. Nie zmieni tego faktu to, że kilka lat później ci ludzie znajdują się w symbiozie z kolejną peerelowską ekipą Edwarda Gierka, a sam Dejmek radzić będzie w stanie wojennym ekipie Jaruzelskiego, jak obejść aktorski bojkot telewizji. Wtedy wzięli udział w czymś wielkim. Sami opowiadali, jak niosły ich tekst i reakcje widzów. Teatrolog Małgorzata Dziewulska mówi, że „Dziady” Dejmka nie były może dziełem wybitnym, ale były przedstawieniem „potężnym”. Wtedy tam, w Teatrze Narodowym, była Polska.

Była do końca. Jak pojąć sekwencję długich owacji po ostatnim przedstawieniu dla partyjnego aparatu, tego samego, który poparł decyzję o zdjęciu „Dziadów”? Albo scenę, kiedy na pokazie dla aktywu robotniczego ludzie, uważani przez Gomułkę za sól ziemi, płakali jak bobry, słuchając Mickiewiczkowskich strof?

Obserwujemy w książce szamotanie się Dejmka, próbującego kolejnych kompromisów, dobijającego się o spotkanie z Gomułką lub choćby z Kliszką, przymierzającego się do opublikowania częściowo samokrytycznego wywiadu. Ale przecież nie tylko tego wywiadu nie przyklepał, lecz nie poszedł na ustępstwa w tej jednej sprawie – „Dziadów”.

GDZIE TA POWAGA?

Dalsza opowieść pokazuje zresztą, że slalom między władzą a powinnościami artystycznymi miał wiele twarzy. Adam Hanuszkiewicz, następca Dejmka jako dyrektor Narodowego, był pieszczochem władzy. Majcherek i Mościcki krytykują jego model ułatwionego, popkulturowego prezentowania klasyki. Ale z biegiem lat było ono coraz mniej ułatwione, on także sięgnie po „Dziady”, a wreszcie w stanie wojennym usuną go jak kiedyś Dejmka.

Kolejne „Dziady” Konrada Swinarskiego, wystawione w roku 1973 w krakowskim Starym Teatrze, odbierano jako złamanie niepisanej zasady, że nie będzie się wystawiało tego jednego tytułu „zamiast Dejmka”. Co więcej, władze podobno traktowały je jako nowoczesne

„Dziady” przeciwstawiane „archaicznemu, religianckiemu” spektaklowi z Narodowego. Ale później te właśnie „Dziady” też stały się teatrem „narodowym”, przedmiotem pielgrzymek do Krakowa z całej Polski. Świat teatralny z donosów dla SB, cytowanych w książce, jest światem lekkim, podatnym na manipulacje, skłonny wierzyć w niemądre plotki. A przecież ten świat wypełnia swe podstawowe obowiązki wobec Polaków. To ważna wiedza o kulturze w PRL.

Ówczesna władza przekroczyła granice śmieszności, próbując występować w roli zbiorowego recenzenta zarzucającego Dejmкови, że jest niewierny Mickiewiczowi, bo w jego inscenizacji za mało jest Gustawa, a za dużo Konrada. Naginającego sumienia takich ludzi jak Witold Filler, aktor przedzierzgnięty w krytyka, który wziął udział w telewizyjnej nagonce. Korzystającego z usług paru drugorzędnych aktorów Narodowego imitujących gniew ludu przeciw niewygodnemu dyrektorowi.

Ale z tamtego zdarzenia wynika szersza nauka. Samo pieczołowicie zrekonstruowane przedstawienie jawi się jako kwintesencja tradycyjnej polskości zaprezentowanej przez kogoś, kto był w znacznej mierze jej zaprzeczeniem. Jak wytłumaczyć ten fenomen? I pojawia się inne pytanie: czy dziś ten typ powagi, narodowej i religijnej, byłby w cenie? Dziś, kiedy nie ma PRL, a jest wolna Polska?

Wszyscy solidaryzują się z tym przedstawieniem granym w latach 1967–1968 tylko 11 razy. Poświęcono mu akademię w obecnym Teatrze Narodowym. Wspólnie wysłuchaliśmy „Wielkiej Improwizacji” w wykonaniu Holoubka. A przecież na podstawie tego, co o spektaklu wiemy, możemy przewidzieć, że gdyby powstał teraz, rolę niezadowolonych z „nacjonalizmu” i „klerykalizmu” funkcjonariuszy partyjnych mogliby odegrać funkcjonariusze myśli: krytycy i część środowiska teatralnego.

To temat na inną rozmowę, ale powinniśmy ją odbyć. Co takiego się dzieje, że wielu nawet wybitnych twórców teatralnych, kiedy staje w obliczu słowa „Polska” albo słowa „Bóg”, tak często popada w trywialność, a czasem dostaje małego rozumu?

Zimerman w brawurowym bluesie

Elektryzującym wydarzeniem Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena był występ Krystiana Zimermana. Atrakcyjny program i obsadę miały też inne wiosenne festiwale: krakowskie Misteria Paschalia i gdański Actus Humanus Resurrectio

Wielkość propozycji muzycznych w kraju mogła przyprawić melomanów o zawrót głowy, bo wydarzenia toczyły się jednocześnie. Mimo nietanich biletów sale i kościoły, gdzie rozbrzmiewała muzyka, wszędzie były pełne. Organizatorzy największego przedsięwzięcia – 22. festiwalu beethovenowskiego – obliczyli, że na 18 koncertach w Warszawie oraz 12 w Katowicach, Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie, Radomiu, Lubinie i Zabrzu zebrało się ok. 100 tys. słuchaczy.

Motywelem głównym warszawskiego festiwalu były wielkie rocznice, ze stuleciem odzyskania przez Polskę niepodległości na czele. Z tej okazji zabrzmiały m.in. kantata „Widma” Stanisława Moniuszki, utwory fortepianowe Fryderyka Chopina, „Fantazja polska” Ignacego Jana Paderewskiego, II Symfonia „Kopernikowska” Henryka Mikołaja Góreckiego oraz „Polskie Requiem” Krzysztofa Pendereckiego pod batutą kompozytora. Dwa ostatnie z wymienionych dzieł umieszczono w programie tego samego wieczoru, co przypominało, że w tym roku mija 85. rocznica urodzin Krzysztofa Pendereckiego i Henryka Mikołaja Góreckiego (zmarł w 2010 r.).

Słuchaliśmy renomowanych orkiestr krajowych i zagranicznych, prowadzonych przez takich mistrzów batuty jak m.in. Christopher Eschenbach, Leonard Slatkin, Lawrence Foster. Z plejady znanych solistów wystarczy wymienić choćby skrzypaczkę Anne-Sophie Mutter czy zjawiskowego wiolonczelistę Stevena Isserlisa. Wszakże nie ulega wątpliwości, że najbardziej wyczekiwanym artystą był Krystian Zimerman.



ADAM CIESIELSKI

Zwycięzca Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w 1975 r. niemal od początku kariery cieszy się opinią jednego z najoryginalniejszych pianistów naszej epoki. Nagrał dziesiątki znakomitych płyt, najnowsza z nich to wydany w 2017 r. przez Deutsche Grammophon album „Franz Schubert, Piano sonatas D 959 & D 960”. Cały świat zaprasza go na koncerty, on jednak daje ledwie kilka

występów rocznie. Omija Rosję i USA. Wybiera wyłącznie sale o najlepszych parametrach akustycznych, w trosce o jakość brzmienia wozi z sobą własną klawiaturę. Wyczulony na sprawy piractwa potrafi przerwać koncert i szukać na widowni osób dokonujących nielegalnych nagrań. Najwyższe wymagania stawia nie tylko sobie, lecz i organizatorom występów. Właśnie pretensje do organizatorów były nieraz przyczyną odrzucania polskich ofert koncertowych.

Obecny przyjazd na aż dwa występy na festiwalu beethovenowskim był więc ewenementem. Co prawda na próbie artysta oplakatował swój fortepian żądaniem ostatecznego rozliczenia tournée po Polsce w 2009 r., ale na koncertach demony przeszłości szczęściem już nie wróciły. Zimerman skupił się wyłącznie na muzyce. Zwłaszcza że chodziło o uhonorowanie stulecia urodzin Leonarda Bernsteina, mistrza i przyjaciela, pod którego batutą całe lata występował i nagrywał. Inspirowana poematem Wystana H. Audena jego II Symfonia „The Age of Anxiety” („Wiek niepokoju”) to dzieło łączące stylistykę neoklasyczną z awangardową i tak lubianym przez kompozytora jazzem. Powstało w 1949 r., ale do dziś zachowało wiele uroku. Przynajmniej w ujęciu Zimermana, wspomaganego przez filharmoników warszawskich pod batutą Jacka Kasprzyka. Solista niby czarnoksiężnik wyczarowywał z klawiatury coraz to nowe zderzenia motywów i klimatów – odpowiadające huśtawce zwątpień i nadziei współczesnego człowieka. W tym barwnym kalejdoskopie wrażeń znalazła się prawdziwa rewelacja: brawurowe ujęcie bluesowego songu. Takiego Zimermana nie znaliśmy!



Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena
Warszawa, 13–30 marca 2018

Gej, morderca gejów

Ktoś, kto uważa, że serial najciekawiej opowiada dziś o świecie, nie może nie spotkać duetu Ryan Murphy i Brad Falchuk. Pisałem o ich zjawiskowych, kolejnych „American Horror Story”. Potem o ich pierwszej części cyklu „Crime Story”, czyli „Procesie O.J. Simpsona”, który był dramatem sądowym. Korzystając z formułki „oparte na prawdziwych faktach”, zawierał tyle obserwacji i tak wiele z klimatu epoki, że można go opisać jako film historyczny.

Teraz wzięli na warsztat kolejną głośną historię: „Zabójstwo Versace” – pokazał go kanał Fox. Sławny projektant mody Gianni Versace został zastrzelony w 1997 r. przy bramie swojego domu w Miami przez młodego człowieka, który pracował jako męska prostytutka. Tematem dziewięciu odcinków jest tym razem sama zbrodnia, a raczej zbrodnie.

Głównym bohaterem stał się nie projektant, jego historia to niemal ozdóbka, choć siostrę Versacego gra Penélope Cruz. Dominuje morderca Andrew Cunanan. Spotkanie przy bramie w Miami to tylko finał jego krwawego szlaku. Wcześniej zabił czterech mężczyzn. Zrazem serial to panorama społeczeństwa lat 90., równie efektowna jak w „Procesie O.J. Simpsona”, ale malowana pod szczególnie kątem. Poza jedną przypadkową ofiarą wszyscy zabici byli gejami, także Versace. Gejem był też zabójca.

Rzadko można spotkać w popkulturze taką karykaturę geja. Cunanan, grany świetnie przez przystojnego, a jednak odpychającego Darrena Crissa, jest narcyzem, mitomanem, socjopatą. Serial stawia hipotezę: jedną z przyczyn tej socjopatii jest poczucie alienacji. Ale równie ważne wydaje się przekonanie o własnej wyjątkowości zaszczipione Andrew przez ojca, Filipińczyka szukającego spełnienia amerykańskiego snu w synu.

Tego dowiemy się w ósmym odcinku. Serial ma szczególną konstrukcję – po zabójstwie nieustannie się cofamy, odkrywając kolejne war-

stwy przyczyn. I oglądając już martwych jako jeszcze żywych. Jeszcze nie widziałem tego prostego pomysłu dramaturgicznego poprowadzonego tak konsekwentnie. Cunanan, nawet jeśli czuje się wyalienowany, mści się nie na społeczeństwie, ale na innych gejach. Znęca się, szukając poczucia dominacji. Albo odpowiada odwetem za odrzucenie miłosnych awansów. Sprzyja temu klimat tej społeczności. Ich związki są nie-trwałe, pozbawione społecznego sensu budowania rodziny.

Można chwilami wyczuć pretensje autorów serialu do heteroseksualnej większości. Bo nawet w dość liberalnym amerykańskim klimacie nadal wyklucza. Bo geje wstydzą się tak dalece, że skrzywdzeni nie bardzo chcą się zwracać do policji. Jest to sugestywne, mnie samemu udzielił się ten ton – przy moich tradycyjnych poglądach na prawne postulaty LGBT. Przejmująca jest zwłaszcza opowieść o oficerze marynarki Jeffie Trailu, pierwszej ofierze Cunanana, świetnie granym przez Finna Wittrocka, znanego z „American Horror Story”. Zostaje wypchnięty z wojska, choć we wszystkim poza seksem jest konserwatywnym amerykańskim patriotą.



Tylko że film niesie więcej komplikacji. Z opowieści wynika, że idealne rozwiązanie nie istnieje. Versace ma warunki, aby stworzyć wzorowe gejowskie stadło, a jednak zmusza życiowego partnera do przyprowadzania sobie innych mężczyzn. Ofiary Cunanana szukają różnych form przystosowania. On ich za to nienawidzi, a sam zmierza ku samozagładzie.

Wszystkich ich prześladuje poczucie niespełnienia. Jest w tym tajemnica natury. Nie na wszystkie pytania mamy odpowiedzi.

Piotr Zaremba

Zwierzoczęłkomalarz

Wojciech Stanisławski

Rzadko kiedy cud rodzenia się nowego bytu z kreski, kleksa, piénka, sęków widać tak wyraźnie jak w dziełach Józefa Wilkonía

Opowieść o życiu artysty, jaką spisała, suflując pytania, Agata Napiórska, jest spokojna, ostentacyjnie prywatna i low-profile: przeplatają się w niej smaki, anegdoty, zwroty wydarzeń, rodzinne wzruszenia i obrazki z podróży. Paradoksalnie wielkiej historii najwięcej jest w pierwszych, traktujących o okupacyjnym dzieciństwie rozdziałach: ojciec malarza był głęboko umocowany w strukturach Delegatury Rządu na Kraj, starszy brat wyżywał się w przygodach na pograniczu kawalerki i partyzantki; matka ukrywała na strychu rodziny żydowskie i małemu Józkowi też należały się gałązka, listek bodaj z drzew sadzonych Sprawiedliwym.

Pojawi się jeszcze echo wielkich spraw, zbiorowych emocji na archiwalnym zdjęciu z obozu harcerskiego w 1946 r.: druh Józek zdaje raport, mundurki, rogatywki i pepegi na gołe nogi; te osobliwe dwa-trzy lata dane Polsce na przypomnienie sobie międzywojnia przed ostatecznym zapadnięciem nocy stalinowskiej. Nie sposób było nie spytać o studia na krakowskiej ASP, na której w apogeum tej nocy na czas wizytacji wystawiano na sztalugach lipne płótna, a wśród wykładowców największym mirem cieszyli się Zbigniew Prońszko i Hanna Rudzka-Cybisowa. Im dalej jednak w peerełowski las, tym bardziej osobne są ścieżki twórcy, nie pojawiają się ani obowiązkowe, wydawałoby się, dla każdej biografii z tamtych

lat „polskie miesiące”, ani kłopoty z cenzurą. Nawet z bareizmów w pamięć zapada bodaj jeden: okazuje się, że cudowną, brązowo-pergaminową fakturę, którą pamiętają wszyscy czytelnicy ilustrowanego przez Józefa Wilkonía „Beowulfa” (1961), zawdzięczamy wielkim papierowym workom, w które pakowano wówczas odważany na kilogramy cukier. „Przez długi czas sprzedawczy nie odkładały mi te worki. Dziś nie ma śladu takiego papieru: beżowy, gruzłowaty, bardzo mocny” – rozmarza się malarz.

Nie wiem, czy rozmówczyni Józefa Wilkonía nie chciała zadawać zbyt drapieżnych pytań,

czy taką konwencję rozmowy uzgodniono już na wstępie, ale te pogwarki o wernisażach, szczęśliwych zbiegach okoliczności, blaszanych „trąbonosach”, wyklepanych dla muzyka Joszki Brody, zacne przecie i barwne, mające w sobie ciepło podwieczorka u dziadków i rozmowy w telewizji śniadaniowej zarażem, niekoniecznie może stanowiłyby usprawiedliwienie dla powstania 300-stronicowego tomu, gdyby nie to, jak splecione zostały z ilustracjami i opowieściami o nich.

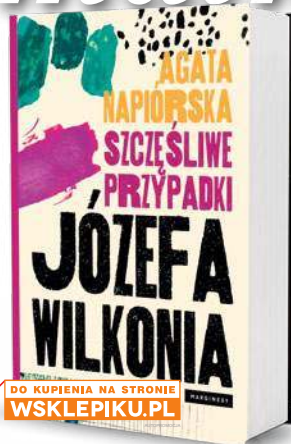
Podróż po Stanach, no tak, wynajęty pontiac, Wielki Kanion, sekwoje – po czym otwieramy kolejną rozkładówkę i staje się Wilkoń, jeśli tak można powiedzieć, oranż i karmin wybuchające na całą szerokość płaszczyzny, między czar-



ort ekstremalny

nymi chmurami, nad szarą szosą. A takich malowanych z pamięci autowidoków, jak mówi, ma całe teczki, choć w książce znalazło się ich – jaka szkoda! – tylko kilka, w tym zakręt drogi w niebieskiej poświacie, który jest jak ilustracja do wiersza innego Polaka podróżującego trochę po Stanach, tego o „każdym drzewie osobnym na swoim klęczniku pod księżycem”.

I kiedy zaczyna się rozmowa o kolorze i kresce – kończy się poczciwość. Przestają nas dziwić sprzeczności (plamy, z których rosną korony drzew, obłoki i wielkie nieba w cyklu ilustracji do „Pana Tadeusza”, ale i kreski jak cięcia samurajską kataną), kiedy czytamy: „Zwróciłem uwagę na biegłość mistrzów japońskich, którzy duży pędzel



Agata Napiórska, „Szcześliwe przypadki Józefa Wilkonía”, wydawnictwo Marginesy, Warszawa, 2018

maczany w wodzie zamieniali w precyzyjne narzędzie. Szpicem mógł ciągnąć cienkie linie, a nieściągnięty w formie luźnej miotły malował szeroką plamą”. To ważne objaśnienia, choć nadal pozostaje wrażenie, że malarz nie powiedział najważniejszego – o „wspólnym śnie ludzi, w którym mieszkają włochate zwierzęta”, i po przekartkowaniu książki raz, drugi, dziesiąty, nadal pozostajemy ze zdumieniem: jak to możliwe, że

te akwarele i rtęciowa biel akrylu w „Don Kichocie”, konie groteskowe i piękne, mamuty jak rysowane jednym pociągnięciem węgla, rozpustna kotka w rozchylonym futrze, tury ciosane z jednej kłody i gęsi skrobane z jednej gałęzi – że to wszystko jest ten sam Wilkoń?

Smuga ochry

Na dnie pionowego szybu skalnego, zwanego dziś Sima de los Huesos, czyli Studnią Kości, złożono w sumie 28 ciał – od niemowląt po dorosłych. Znalazło tam się również zagadkowe narzędzie – pięściak wykonany z niezwyklej starannością z różowego kwarcytu, lecz nigdy nieużyty.

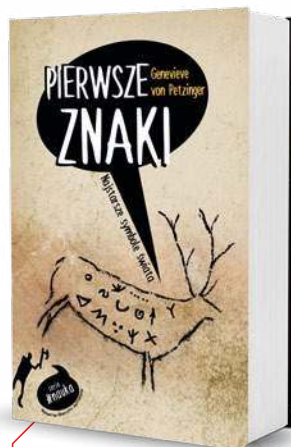
Nie, to na szczęście nie zapowiedź kolejnego kryminału traktującego o tajemniczym seryjnym mordercy i zdolnej profilerce z niepokładanym życiem osobistym: zmarli spoczęli na dnie studni blisko pół miliona lat temu, z zachowanych szczątków można wnosić, że odeszli z tego świata w większości z przyczyn naturalnych. Los 28 członków wspólnoty mieszkającej u wejścia do hiszpańskiej jaskini to tylko jeden z setek przypadków opisanych przez amerykańską badaczkę w książce stanowiącej świetny wstęp do paleoantropologii. Nie traci jednak przez to na ostrości kwestia postawiona przez Genevieve von Petzinger: skąd na dnie studni piękny, również według dzisiejszych kryteriów, otoczek?

Pokryte wapiennym całunem znalezisko oznacza, że kilkaset tysięcy lat temu nasi przodkowie chowali już swoich zmarłych z zamysłem. Więcej: umieszczenie w tej samej jamie ozdobnego, cennego narzędzia oznacza funkcjonowanie już wtedy wyobrażenia, że jakieś przedmioty „należą” do konkretnych osób (co oznacza świadomość odrębnych tożsamości członków племенia), więcej – że ta więź trwa również po śmierci: to z kolei wymaga co najmniej zdolności do wyobrażenia sobie czasu poza chwilą obecną. A jeśli dodać do tego, że pięściak był „narzędziem symbolicznym”,

stworzonym z niepraktycznego surowca, może specjalnie z myślą o złożeniu go w darze zmarłym?

Powyższa próbka rozumowania stanowi dobry przykład tego, jakimi drogami wędruje myśl współczesnych paleoantropologów: z materiału dowodowego bardziej wątpliwej niż ten, jaki gromadzą śledczy – z rozsypanych drobin ochry, wiórów skalnych, serii zdjęć – rekonstruuja nie tylko kulturę materialną, lecz także – posiłkując się kompetencjami anatomów, semiologów i etnografów – wyobrażenia i sposób myślenia naszych najodleglejszych przodków. Znamienne zresztą (to myśl w sam raz na oktavę Wielkanocy), że najdobitniej o skali i śmiałości tych wyobrażeń sprzed wieków, czy będzie to otoczek ciśnięty do studni w Hiszpanii, czy sznury paciorków z kości mamuta, jakimi okryto ciała chłopca i dziewczynki pochowanych w jaskiniach Sungiru w Rosji, jest niemożność pogodzenia się ze śmiercią, pragnienie, by wyrwać jej ości.

Genevieve von Petzinger, kreowana przez wydawców niemal na nowego Indianę Jonesa, nie napisała o tym akademickiego podręcznika ani eseju; zwawość, z jaką mnoży wątki, znużyć może zwolenników systematycznego wykładu, szczebiot, z jakim pisze o urodzie gór („barwne plamy w krajobrazie, które tworzą czerwone dachy, kamienne ściany wiejskich gospodarstw i białe kropki pasących się owiec”) zaskakuje, dopóki nie zrozumiemy, że taki jest los współczesnych popularyzatorów nauki: ma być wesoło, z akcentami osobistymi i do opowiedzenia przed kamerą w TED Talks. Dyscyplina i rozmach, z jakim wyodrębniła 32 znaki powtarzające się w malarstwie paleolitycznym całej Europy, są jednak godne wielkiego uznania. Patrząc na kratki, gwiazdki i trójkąty ryte kamieniem, namazane ochrą, żłobione w glinie, odciski drobnych stóp, nie odkryjemy pewnie „prajęzyka”, doświadczymy za to nieoczekiwanej bliskości.



Genevieve von Petzinger, „Pierwsze znaki. Najstarsze symbole świata”, tłum. Agnieszka Szurek, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 2018



Telewizja/VOD



Mafia bez makijażu



Najbardziej dosłowny, realistyczny i przerażający obraz włoskiej mafii wrócił w trzecim sezonie. Nikt wcześniej tak nie pokazał neapolitańskiej kamory jak twórcy serialu zainspirowanego książką ukrywającego się wciąż dziennikarza Roberta Saviano. Nikt wcześniej też nie pochłastał tak mitologii włoskiej mafii jak twórcy tego przenikliwego serialu. „Gomorra” to wiwisekcja organizacji, której macki obejmują cały świat. Obraz mafii jest pozbawiony lukru. Przyjaciele mordują się bez mrugnięcia okiem, eliminują też swoje kochanki, żony i dzieci. Nie na pięknych plażach Neapolu ani spalonej od słońca włoskiej ziemi rodem z „Ojca chrzestnego” – ten serial rozgrywa się w ciemnych, utopionych w śmieciach, cuchnących, odrapanych neapolitańskich blokowiskach Scampia. To tam rządzi 'O Sistema – układ obejmujący każdy aspekt życia mieszkańców. Mafia stworzyła tam mikrokosmos, betonową dżunglę, z której wyciąga swoje macki na cały świat.

Przywódcą klanu Savastano zostaje Genny (Salvatore Esposito). Doprowadził do zamordowania swojego ojca, legendarnego władcy Scampii. Sprzymierzył się ze śmiertelnym rywalem Ciro (Marco D'Amore), który za śmierć własnego dziecka odkupuje winy w Bulgarii, gdzie angażuje się w przemyt imigrantów i handel ludźmi. Oto życie podziwanego w popkulturze mafiosa. Zdrada, ból, upodlenie. Ciągła ucieczka. Największym walorem włoskiej produkcji jest bezkompromisowy realizm pokazanego świata. Skapanego w kiczowatym zlocie domów gangsterów i karoc z ich trumnami, wszechobecnym bezguściu, pozbawionym moralności świecie. Nie ma tu Corleone, Soprano ani chłopców z ferajny Scorsese. „Gomorra” to relacja z wojny, która nie ma końca. W Neapolu granica między światem mafii, życiem obywateli a niemrawymi działaniami władz dawno się zatarła i złała w jedną krwawą maź. Czyż właśnie nie taka kraina zasługuje na los biblijnej Gomory?

„GOMORRA. SEZON 3” DOSTĘPNY NA HBO GO I HBO

VOD

Kim pan jest, panie Trump?

Obawiałem się, że „Trump. Amerykański sen” to kolejna historyczna, lewicowa agitka przeciwko największemu dziś postrachowi lewicowej międzynarodówki. Choć twórcy cztero-odcinkowego dokumentu mają negatywny stosunek do obecnego prezydenta USA, to nakreślili rzetelny i obiektywny obraz wstępu i upadków najsłynniejszego miliardera Ameryki. Na podstawie licznych archiwalnych materiałów, wywiadów z otoczeniem rodziny Trumpów dostajemy całościowy obraz Donalda Trumpa, zanim został prezydentem USA. To obraz ambitnego, bezwzględnie i aroganckiego rekina, który przejmując prowincjonalny biznes

ojca z Queens, wdarł się szturmem na Manhattan. Kabotyń, chwalcący się na każdym kroku bogactwem właściciel (ostatecznie upadłych) kasyn, trzykrotnie żonaty libertyn i telewizyjny celebryta przez całe życie przygotowywał się do politycznej kariery. Czy cyniczny biznesmen, który przyjaźnił się z Clintonami i całą wierchuszką swoich dzisiejszych krytyków przez przypadek stał się najpotężniejszym człowiekiem świata? Cóż, zawsze przekonywał, że wystartuje w wyścigu o Białą Dom, tylko jak będzie miał pewność, że wygra. Intrygujący i wciągający dokument.

„TRUMP. AMERYKAŃSKI SEN” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE





Daleko do „Taksówkarza”



Film Lynne Ramsay został okrzyknięty kobiecą odpowiedzią na „Taksówkarza”. Bohater, tak jak Travis Bickle, odbija z rąk szajki pedofilów nieletnią dziewczynę i próbuje wyjść z kołowrotka autodestrukcji. Na tym podobieństwie z arcydziełem Martina Scorsese się kończą.

Autorka nieznośnego „Musimy porozmawiać o Kevinie” lubi szokować. Bierze gatunkowe schematy i lepi z nich autorską, bezkompromisową opowieść. Joe (Joaquin Phoenix) to totalnie zdeprawowany psychicznie weteran wojenny. Pracuje jako cyngiel, który systematycznie próbuje też skończyć z sobą. Ze strzępów wspomnień dowiadujemy się, że samobójcze myśli ma od dzieciństwa. Jednak nie może umrzeć, bo mieszka z dziwną mamusią (Judith Roberts), która potrzebuje ciągłej pomocy. Gdy Joe zostaje wpłątany w pedofilski spisek sięgający polityki, zostanie szansę odkupienia win.

Phoenix tworzy rolę wybitną. Porusza, gdy mamrocząc pod nosem, ze łzami w oczach ucisza demony w swojej głowie. Brutalnie rozłupując młotkiem głowy pedofilów – przeraża. Bawi, imitując Normana Batesa pod drzwiami łazienki z marudzącą matką w środku. Phoenix słusznie zgarnął za wspaniały popis nagrodę na festiwalu w Cannes. To rzeczywiście rola porównywalna



Kino

z De Niro w „Taksówkarzu”. Mam jednak problem z przesłaniem całego filmu Ramsey.

Film Scorsese to głębokie studium psychozy, ale też opowieść o religijnym wymiarze. Obrazowa przemoc służyła podkreśleniu piekła Sodomy i Gomory, na które spadła karząca ręka. W jednym ujęciu Joe patrzy symbolicznie w lustro, jak w wieloznacznym finale arcydzieła Scorsese Travis. „Nigdy cię tu

nie było” jest jednak wykastrowany z tej wieloznaczności. Brak mu szerokiego kontekstu duchowego i intelektualnego. Ramsey skupia się na dramacie w wymiarze jednostkowym. Indywidualnym. W takim kinie szukam większego uniwersalizmu i głębi, co pozwala zracjonalizować oglądany na ekranie horror. U Ramsey ich nie odnajduję. ➤

„NIGDY CIĘ TU NIE BYŁO”,

REŻ. LYNNE RAMSAY, DYSTR. GUTK FILM

Politpoprawna ewangelia



Kino

Joaquin Phoenix potrafi gładko przejść od roli zabijaki do postaci Jezusa Chrystusa. Niestety introwertyczna rola Phoenixa ma obniżoną wartość przez idiotyczną decyzję polskiego dystrybutora, by wprowadzić film wyłącznie w wersji zdubbingowanej. „Maria Magdalena” jest filmem kuriozalnym, choć reżyserem jest Garth Davies, autor wzruszającego „Lion. Droga do domu”. Wizja działalności i męki Jezusa okiem Marii Magdaleny (Rooney Mara) nie ma w sobie antychrześcijańskiego zacięcia, ale uderza w prawdę zawartą w ewangelii. Davies zrobił film rewizjonistyczny i feministyczny



o infantylnej wymowie „Kodu da Vinci” Browna. Maria to niezależna i mądra kobieta, która zostaje wyrugowana przez apostołów ze swojego grona, mimo że była ukochaną uczennicą Jezusa. Przez patriarchalną zazdrość zrobiono z niej kobietę upadłą. Dlaczego? Bo tylko ona rozumiała w pełni miłosierdzie Jezusa, czego nie dostrzegł nawet czarnoskóry (sic!) Piotr (Chiwetel Ejiofor). Politpoprawna wersja ewangelii? Dziękuję, ale zostanę przy Melu Gibsonie i obrazoburczym, ale duchowo inspirującym Martinie Scorsese. ➤

„MARIA MAGDALENA”,

REŻ. GARTH DAVIS, DYSTR. UIP

Spór o WRON

Tym razem Macierewicz ma rację: prezydenckie weto w obronie wojskowych honorów takich ludzi źle służy polskiej armii



JAN ROKITA

Nie jestem pewien, czy najlepszym sposobem rozrachunku z historią są degradacje martwych oficerów, którzy wydawali rozkazy strzelania do ludzi w Poznaniu i Gdyni albo w wojskowych sądach orzekali kary śmierci dla AK-owskich bohaterów. Niewykluczone, że nie są całkiem bez racji ci, którzy żądają, aby zmarłych nie ruszać, bo w przeciwnym razie grozi nam pokusa pisania historii na nowo. A pewnie jeszcze silniejsza jest racja innych, którzy podkreślają, że upłynęło już tak wiele lat od chwili odzyskania przez Polskę niepodległości, iż obecny czas jest spóźniony na takie rozrachunki. W politycznych realiach współczesnej Polski trudno jednak uniknąć wrażenia, że owe racje są w istocie czysto teoretyczne.

Gdyby bowiem w ciągu 30-lecia niepodległości włos z głowy spadł owym wojskowym, gdyby ponieśli oni jeszcze za życia jakąś ujmę na oficerskim hono-

rze, można by się zastanawiać nad wartością owej argumentacji. Rzecz jednak w tym, że o ile mniej lub bardziej napiętnowano w Polsce oficerów komunistycznej bezpieki, chociażby przeprowadzając upokarzającą dla nich, iście rewolucyjną w formie weryfikację, o tyle aż do objęcia MON przez Macierewicza w wojsku respektowano honory nawet tych oficerów, którzy dopuszczali się zbrodni przeciwko Polsce. Respektowano ich godności i ordery, rozliczne przywileje materialne oraz celebracje i uchwały tworzonych przez nich związków kombatanckich. I tylko co jakiś czas opinia publiczna była świadkiem zaambarasowania rządzących polityków, kiedy gorliwie praworządni MON-owscy biuraliści zabierali się do organizowania kolejnego uroczystego pochówku, ze sztandarami i z salwami, jakiegoś zbrodniczego prokuratora płk. Krzyżanowskiego albo gen. Pietrzaka ze stalinowskiej Informacji. Wtedy wybuchał skandal.

Dlatego tym razem Macierewicz ma rację: prezydenckie weto w obronie wojskowych honorów takich ludzi źle służy polskiej armii. Co prawda naturą Macierewicza jest permanentna egzaltacja i przesada, więc z ust byłego ministra padają dziś słowa o „dramacie”, „kolejnej Magdalence” i czekającej nas „długiej drodze do moralnej niepodleg-

łości”. Macierewicz ma, rzecz jasna, także inne, mniej pryncypialne powody do ostrych słów przeciw prezydentowi. Ustawa degradacyjna powstała w MON pod dyktando Macierewicza, choć to dopiero jego następca – minister Błaszczak – miał na tyle siły, aby w bardzo szybkim trybie przepchnąć ją przez rząd i uchwalić w Sejmie. A z kolei prezydent Duda, o czym powszechnie wiadomo, dołożył swój (co prawda mniejszy niż się powszechnie uważa) kamyczek do usunięcia Macierewicza z rządu. Wszystko to jednak nie zmienia w żaden sposób dwóch prostych prawd. Po pierwsze, że to Macierewicz, a nie Duda, mówi dziś o całej sprawie językiem zrozumiałym dla typowego wyborcy PiS. A także, co pewnie ważniejsze, że wbrew temu, co można przeczytać w dziesiątkach publicystycznych tekstów pochwalnych pod adresem Dudy, oficjalne motywy weta przedstawione przez Pałac Prezydencki wyglądają na słabe.

Aż dwa z nich dotyczą Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która w 1981 r. zaprowadziła w Polsce stan wojenny. Najpierw krytykuje się wprowadzenie przez rząd i Sejm „zasady odpowiedzialności zbiorowej”, która ma polegać na tym, że wszyscy członkowie WRON z mocy prawa tracą stopnie oficerskie, a następnie zarzuca się tekstowi



Fot. Wojtek Lasik/Enast News

ustawy brak procedur, które pozwoliłyby owym wojskowym na obronę, składanie wyjaśnień etc., co miałyby skutkować „nierównością wobec prawa”. Niestety prawnik musi przyznać bez wahania, że motyw pierwszy jest niedorzeczny i wskazuje (znów niestety) na niezbyt wysoki prawniczy poziom prezydenckiej kancelarii. Wystarczy sięgnąć bowiem do jakiegoś podręcznika prawa karnego, by się dowiedzieć, że tzw. odpowiedzialność zbiorowa polega na „przeniesieniu odpowiedzialności na osobę inną aniżeli sprawca czynu”. Nowożytnie prawo karne przeciwstawia temu ideę „indywidualizacji odpowiedzialności”, głoszącą, że człowiek może ponosić konsekwencje wyłącznie własnych, a nie cudzych czynów. Każdy z członków junty wojskowej z 1981 r. należał do niej osobiście i osobiście ponosi za to konsekwencje. Zbiorowa odpowiedzialność zachodziłaby dopiero wtedy, gdyby za ich udział we WRON skutki miały ponieść jakieś inne osoby. Tymczasem prawnicy prezydenccy posługują się wylansowanym niegdyś przez SLD fałszywym rozumieniem „odpowiedzialności zbiorowej”, z której chciano zrobić broń przeciw jakiegokolwiek formie karania za przynależność do policji politycznej, władz partii komunistycznej albo wojskowej junty. Takie rozumienie przyjęło się co prawda

w mediach występujących w obronie funkcjonariuszy ancien régime'u, ale ma niewiele wspólnego z realnymi zarzutami prawnymi.

Pozornie poważniej może wyglądać drugi zarzut o braku prawa do obrony, jednak logicznie i on jest chybiony. Skoro Sejm uznał, że sam fakt członkostwa w juncie jest na tyle naganny, iż zasługuje na degradację, to jakie „postępowanie” miałyby tu być toczone i jakie „wyjaśnienia” miałyby być składane? Mogłyby przecież dotyczyć tylko tego, czy ktoś należał do WRON, czy też nie, ale ten fakt jest akurat historycznie bezsporny. Sama logika prawa wymaga bowiem tego, aby wtedy, gdy skutek następuje „z mocy prawa”, nie tworzyć żadnych „procedur” ani „wyjaśnień”. Z trzech prezydenckich argumentów jako tako może się bronić tylko jeden, dotyczący braku rzecznika, który w postępowaniu (dotyczącym osób innych niż członkowie WRON) broniłby tych spośród zmarłych, których nie chce bronić ani rodzina, ani żadna organizacja społeczna, ani kombatancka. Choć i ten zarzut łagodzi nałożony na IPN obowiązek wszechstronnego naświetlenia życiorysu każdego degradowanego oficera oraz prawo prokuratora do interwencji albo nawet sprzeciwu wobec ostatecznej decyzji szefa MON.

Skoro racje prawne są tak kiepskie, to jest jasne, że weto musi mieć silne motywy jakiejś innej natury. Trudno na serio traktować podnoszony przez niektórych publicystów (np. w „Polityce”) argument, że tym wetem Duda próbuje się wkuścić w łaski wojska, które niebawem stanie się narzędziem rozgrywki o wpływy pomiędzy PiS a prezydentem. To oczywisty nonsens, jeśli wziąć pod uwagę, że degradacje miały dotyczyć oficerów służących w armii najpóźniej 30 lat temu, więc w żaden sposób nie dotyczą one czynnych wojskowych. W sferze political fiction krążą spekulacje innych (np. w „Rzeczpospolitej”), że wetując ustawę, Duda miałby wykonywać jakąś tajną instrukcję prezesa PiS, upatrującego w degradacjach niebezpieczeństwa politycznej ekshumacji postkomunistycznej lewicy. Wszystkie te spekulacje biorą się zapewne z tego, że tak naprawdę niełatwo wyjaśnić, do czego prezydentowi potrzebne było to

weto. Dla polityka Andrzeja Dudy na razie widać tylko złe jego skutki. Niechęć w partii rządzącej, wrogość i szyderstwa w ideowych kręgach antykomunistów (np. rodzina Anny Walentynowicz), ostra krytyka ze strony szefa gabinetu premiera. A w konsekwencji sztucznie wywołany medialny rozgwar wokół tego, czy PiS aby już nie poszukuje na przyszłość innego kandydata na szefa państwa niżli Andrzej Duda. Po co to wszystko prezydentowi? Tym bardziej że nie chodzi przecież o prawo, które naprawdę miałyby powodować jakieś istotne przesunięcia czy reformy w państwie, ale o akt z dziedziny polityki symbolicznej, wytyczający ostre i trudne potem do przełamania podziały w narodowym imaginarium. W jakim więc celu Duda chce się w nim wpisać w szeregi obrońców WRON?

Wybory podejmowane w polityce symbolicznej informują nas często o tym, jaka jest prawdziwa diagnoza społeczna ich autorów. Pozwalają więc jak w soczewce zobaczyć, jak politycy rozumieją mentalność oraz emocje współczesnych Polaków. Pod tym względem charakterystyczne są dwie ostatnie decyzje Andrzeja Dudy, podjęte na gruncie walki o symboliczny wymiar polskiej najnowszej historii. Pierwsza, ta o niezawetowaniu sławetnego art. 55a, antagonizującego Polaków z Żydami i Ameryką, wzięła się z obawy Dudy, że ewentualne weto uczyniłoby go obiektem antysemitkiej nagonki jako prezydenta, który „ubrał jarmułkę i nie chce podpisać ustawy”. Z kolei obecne weto do ustawy degradacyjnej unaocznia, że Duda dostrzega rozległe społeczne pokłady sentymentu do PRL, a nawet do symbolizującego jej najgorszą stronę stanu wojennego. Próbując budować, jak każdy demokratyczny polityk, swoje zaplecze, prezydent pokazuje, że obawia się skłonności antysemitkich Polaków, których mógłby paść ofiarą, ale zarazem chce jakoś oswoić na swoje potrzeby trwający tu i ówdzie sentyment za PRL. Widać wyraźnie, że w Pałacu Prezydenckim oba te afekty współczesnych Polaków uważa się za mocne. W każdym razie na tyle mocne, że głowa państwa powinna czasem dać im jakąś satysfakcję. W przeciwnym razie nigdy nie założono by obecnego weta. /



Kościół, pamięć i Holocaust

Na naszych oczach toczy się wściekła i bezwzględna walka o pamięć, którą przegrywamy. Dlaczego? Bo nie rozumiemy, jak zmienił się świat wokół nas w ciągu ostatnich 70 lat

I maja 2001 r. byłem w Auschwitz. Odwiedziłem wówczas ten niemiecki obóz zagłady wraz z grupą prawie stu studentów filozofii i teologii Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku. W latach 1999–2004 pełniłem w tej uczelni funkcję prorektora ds. wychowawczych. Dlatego w ramach moich obowiązków służbowych zorganizowałem m.in. wyjazd kleryków na spotkanie z symbolem diabolicznego zła XX w. Pielgrzymka miała formę podróży studyjnej. Przez cały dzień zwiedzaliśmy Auschwitz i Auschwitz-Birkenau. Wśród szczególnych miejsc zadumy nie zabrakło Ściany Straceń i celi śmierci Maksymiliana Marii Kolbego. Pierwszy dzień maja 2001 r. był piękny i prawdziwie wiosenny. Gdy wielkie, pełne czerwieni słońce chyliło się ku zachodowi, staliśmy wszyscy przy gruzach ogromnego krematorium, w którym w sierpniu 1942 r. hitlerowscy zbrodniarze spalili ciało



KS. ANDRZEJ KOBYLŃSKI

wielkiej myślicielki Edyty Stein, zabitej cyklonem B w komorze gazowej.

Po wysłuchaniu fragmentu przemówienia Jana Pawła II z Auschwitz-Birkenau z 7 czerwca 1979 r. zaczęliśmy wspólny śpiew nabożeństwa majowego, czyli Litanii Loretańskiej do Najświętszej Maryi Panny. Oto setka silnych, męskich głosów, śpiewająca nabożeństwo majowe na cześć Córkę narodu wybranego i Matki Syna Bożego, w miejscu kaźni ponad 1,3 mln niewinnych ofiar, z których 90 proc. stanowili Żydzi. Jedną z nich była Edyta Stein, która w 1922 r. przeszła z judaizmu na katolicyzm. Zachodziło ogromne, czerwone słońce. Rozległe pola obozu zagłady Auschwitz-Birkenau były całkowicie puste. Inni turyści przebywali już poza bramą obozową. Byliśmy zupełnie sami. Tylko echo niesło nasz wspólny śpiew: Wieżo Dawidowa, Arko przymierza, Królowo patriarchów... Miałem łzy w oczach.

JUDAIZM I CHRZEŚCJAŃSTWO

Czy można potraktować tę podróż studyjną plockiego seminarium jako wzruszającą metaforę, która wyraża głęboką więź między judaizmem a chrześcijaństwem? Może warto w taki właśnie sposób, ze łzami w oczach i bez nienawiści, opowiadać i przeżywać wspólne dzieje Żydów i Polaków, katolików i wyznawców judaizmu? Czy dyskusje historyczne i polityczne dotyczące Holokaustu, zbrodni narodowego socjalizmu i komunizmu nie powinny dotyczyć także fundamentalnych kwestii filozoficznych i teologicznych? Jak Żydzi i Polacy powinni opowiadać światu historię swojego cierpienia.

Na początku tego stulecia telewizja CNN reklamowała swoją stację spotem zawierającym maksymę „You are, what you know” – jesteś tym, co wiesz. Przed rozpoczęciem podróży studyjnej do Auschwitz-Birkenau 25 kwietnia 2001 r. wygłosiłem referat dla wszystkich studentów WSD w Plocku, który stanowił jeden z etapów intelektualnego przygotowania do tego wyjazdu. Dla potrzeb tego wystąpienia zmieniłem spot reklamy CNN na wyrażenie „You are, what you remember” – jesteś tym, co pamiętasz.

W moim referacie ukazałem studentom najważniejsze wątki współczesnej walki o pamięć historyczną w Polsce i na świecie. Nie zabrakło także analizy stosunków polsko-żydowskich, teologicznego rozumienia eksterminacji Żydów europejskich, historii gulagów i obozów koncentracyjnych, obowiązku pamięci o ofiarach wojen i reżimów totalitarnych. Przed wyjazdem studenci byli zobowiązani do lektury kilku artykułów oraz obejrzenia czterech filmów dotyczących obozu Auschwitz-Birkenau, Maksymiliana Marii Kolbego, Edyty Stein i papieża Piusa XII.

ZWYCIĘSTWO HITLERA

Dlaczego wspominam tę podróż studyjną sprzed 17 lat? Jeśli chcemy dzisiaj przezwyciężyć głęboki kryzys w relacjach polsko-żydowskich, koniecznie trzeba szukać różnych skutecznych rozwiązań, które pomogą nam polepszyć wzajemne stosunki w najbliższych dziesięcioleciach.

Obecny konflikt ma oczywiście wiele przyczyn. Niestety, kłóć się między sobą ofiary Adolfa Hitlera: Żydzi i Polacy. To absurdalna i skandaliczna sytuacja. Trzeba ją jak najszybciej przerwać. Ofiary wódza Trzeciej Rzeszy oskarżają siebie nawzajem. W konsekwencji media na całym świecie nie pytają o faktycznych sprawców zbrodni, czyli Niemców. Rozlicza się natomiast polskie i żydowskie ofiary z tego, czy w obliczu śmierci byli bohaterami. Czy wszyscy bez wyjątku zachowali się w sposób heroiczny? To absurd i zwycięstwo zza grobu ideologii nazistowskiej, której celem była eksterminacja Żydów, Polaków i wielu innych narodów.

W ostatnim czasie pojawiają się w naszym kraju wypowiedzi niektórych naukowców, polityków, dziennikarzy, którzy twierdzą, że nie wiedzieli o istnieniu negatywnego obrazu Polski na świecie. Jak to możliwe? Dlaczego nie wiedzieli? Przeraża to, że duża część naszego społeczeństwa żyła w ostatnich dziesięcioleciach jakby we śnie. Dobrze, że w końcu wielu ludzi budzi się z formy zbiorowej hipnozy. Rzeczywi-

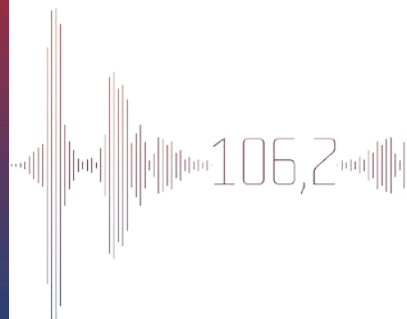
ście, miliony mieszkańców naszego kraju nie zdawały sobie sprawy z tego, że od kilkudziesięciu lat większość światowej opinii publicznej oskarża nasz kraj m.in. o antysemityzm i udział w Holokauście. Może nasze narodowe przebudzenie historyczne jest jedynym pozytywnym elementem obecnego zamieszania i konfliktu na arenie międzynarodowej?

PARYŻ 1991

W 1991 r. byłem po raz pierwszy w Paryżu. Spotkałem wówczas młodego historyka z Uniwersytetu Harvarda w Bostonie w stanie Massachusetts. Dwie długie dyskusje były dla mnie wielkim wstrząsem. Dlaczego? Z przerażeniem odkryłem, że w wielu środowiskach amerykańskich Polska jest uznawana za jednego ze sprawców zbrodni II wojny światowej, że w zagranicznej domenie publicznej nie ma miejsca dla 3 mln ofiar narodowości polskiej. Mój amerykański rozmówca przekonywał mnie, dlaczego wiele kręgów w Stanach Zjednoczonych uważa mieszkańców naszego kraju za antysemitów, współodpowiedzialnych za eksterminację 6 mln Żydów europejskich, z których połowa była obywatelami II Rzeczypospolitej.

Gdy w latach 1992–1998 studiowałem na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, zacząłem stopniowo badać problem fałszywego obrazu Polski w świecie. Analizowałem niektóre podręczniki do historii wykorzystywane w szkołach Wielkiej Brytanii czy USA, badałem treści

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

55/0318/F

programowe wykładów prowadzonych na uniwersytetach we Włoszech czy w Niemczech, w księgarniach Monachium czy Londynu przeglądałem książki dotyczące historii XX stulecia, prowadziłem setki rozmów na tematy historyczne z przedstawicielami bardzo wielu krajów.

Po kilku latach badań i analiz było dla mnie jasne, że światowa opinia publiczna ma niezwykle ograniczoną wiedzę na temat rzeczywistego udziału Polski w II wojnie światowej. Już w latach 90. ubiegłego wieku nie było miejsca dla polskich ofiar niemieckiego nazizmu czy rosyjskiego komunizmu. Gdy po powrocie do kraju rozpocząłem pracę dydaktyczną i wychowawczą w plockim seminarium, w przygotowaniu kandydatów do kapłaństwa położyłem szczególny nacisk na kwestie światopoglądowe, pamięć historyczną i racjonalne podejście do współczesnych problemów religijnych.

SPECYFIKA HOLOKAUSTU

Jedną z ważnych kwestii w naszym kraju jest ocena tzw. religii Holocaustu. W 2016 r. ukazała się książka Pawła Lisickiego „Krew na naszych rękach”. Autor tego bardzo obszernego opracowania twierdzi, że ta nowa religia opiera się na czterech dogmatach. Po pierwsze, Holocaust był zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w historii ludzkości, zbrodnią najbardziej okrutną i najbardziej straszną. Po drugie, uczestniczyła w tej zbrodni cała ludzkość: jeśli nawet bezpośrednimi sprawcami mordów byli Niemcy, to realizowali oni ukryte pragnienia milionów zwykłych ludzi w wielu krajach, aby pozbyć się ludności narodowości żydowskiej. Po trzecie, głównym źródłem tego krwiożerczego pragnienia było chrześcijaństwo, które od swych narodzin cechowało się wrogością wobec wyznawców judaizmu. Po czwarte, wszyscy ludzie, również ci, którzy żyli w krajach okupowanych przez Niemców, także Polacy, mają krew na rękach. Ci są podwójnie napiętnowani: raz jako katolicy, dwa – bo na ich ziemi doszło do mordu. W pewnym stopniu religia Holocaustu wyklucza pamięć o polskich ofiarach II wojny światowej.

Lisicki ukazuje na kartach swojej książki rzeczywisty kształt relacji chrześcijańsko-żydowskich na przestrzeni wieków oraz neguje rozpowszechnioną dzisiaj tezę, że nazistowski antysemityzm oraz zbrodnia Holocaustu mają swoje najgłębsze korzenie w poglądach pierwszych chrześcijan. Hitler nie był ani ukoronowaniem dziejów Zachodu, ani koniecznym owocem kultury chrześcijańskiej. Nazizm był paroksyzmem, skrajną reakcją na chorobę komunizmu i na zwycięski pochód bolszewizmu, który rozpoczął się wraz ze zwycięstwem Włodzimierza Lenina w 1917 r. w Rosji. Zdaniem Lisickiego przypisywanie Kościołowi katolickiemu udziału w Zagładzie jest wywracaniem wszystkiego do góry nogami.

Jak katolicy w naszym kraju oceniają religię Holocaustu? Co sądzą na ten temat nasi teolodzy? Czego uczą się klerycy w seminariach diecezjalnych i zakonnych? Czy tę problematykę uwzględniają podręczniki do nauki religii? Jak ocalić pamięć o polskich ofiarach w kontekście religii Holocaustu? W obliczu tych ważnych pytań trudno racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego ważna i inspirująca książka „Krew na naszych rękach” została prawie całkowicie zignorowana przez duchownych katolickich i ludzi świeckich.

KSIĘŻA W DACHAU

Potwierdzeniem niewiedzy światowej opinii publicznej na temat polskich ofiar niemieckiego nazizmu jest obóz koncentracyjny w Dachau k. Monachium. Byłem tam dwukrotnie. Dachau pełnił funkcję głównego obozu dla duchownych z Kościołów chrześcijańskich. To miejsce kaźni bardzo wielu księży katolickich z Polski. Niestety, prawie nikt z mieszkańców Monachium o tym nie wie. W 2015 r. kanclerz Angela Merkel w przemówieniu z okazji 70. rocznicy wyzwolenia tego obozu nie powiedziała ani jednego słowa na temat więźniów z Polski.

W 2008 r. we włoskim dzienniku katolickim „Avvenire” ukazał się artykuł na temat tego obozu. Niestety, autor opracowania mówiąc o ofiarach, nie wyjaśnił, jakiej narodowości byli księża zamordowani w Dachau. Przy czytaniu artykułu odnosiło się wrażenie, że chodzi o duchownych niemieckich. Dotknięty do żywego tym tekstem napisałem w języku włoskim polemikę, która została opublikowana na łamach tej gazety. W mojej wypowiedzi zawarłem m.in. następujące słowa: „Obowiązek jasności i prawdy historycznej nakazuje mi stwierdzić, że znakomita większość księży pochodzących z Polski. Spośród 2730 duchownych więzionych w tym obozie, ok. 2000 to byli Polacy. W obozie koncentracyjnym w Dachau Niemcy zamordowali 868 księży pochodzących z mojego kraju. Kilkudziesięciu duchownych, którzy zginęli w tym obozie, było narodowości niemieckiej. Tylko jeden pochodził z Włoch”.

KOŚCIÓŁ WEDŁUG SIENKIEWICZA

9 stycznia 1904 r. Henryk Sienkiewicz napisał w księdze pamiątkowej Muzeum Diecezjalnego w Płocku następujące słowa: „Kościół jest stróżem przeszłości, piastunem teraźniejszości i siewcą przyszłości”. Niestety, skandaliczna nieznajomość komunizmu czy nazizmu wśród księży katolickich, sióstr zakonnych czy kleryków z Europy, Azji czy Afryki może przyprawić o głęboki zawrót głowy. Czy taki Kościół może być stróżem przeszłości? Latem 1998 r. uczestniczyłem w szkoleniu zorganizowanym przez Stolicę Apostolską dla pracowników seminariów duchownych. W trakcie spotkania z prefektem Kongregacji Wychowania Katolickiego zgłosiłem postulat, aby przygotować watykański podręcznik historii Kościoła katolickiego w XX stuleciu dla seminariów duchownych i zakonnych domów formacyjnych dla całego świata. Niestety, do dzisiaj nie powstało takie opracowanie.

Na naszych oczach toczy się wściekła i bezwzględna walka o pamięć, którą przegrywamy. Dlaczego? Bo nie rozumiemy, jak zmienił się świat wokół nas w ciągu ostatnich 70 lat. Niestety, większość naszego społeczeństwa ciągle naiwnie myśli, że światowa opinia publiczna pamięta o krwi milionów niewinnych ofiar naszego narodu. W tej wielkiej wojnie o pamięć ogromną rolę do odegrania ma także Kościół katolicki. Dlaczego jednak tak rzadko słyszymy o polskich ofiarach nazizmu i komunizmu w trakcie głoszonych kazań? Czy ocalimy pamięć o ofiarach naszego narodu? Jak wygrać tę wojnę? Przed nami długa droga.

Ukraińska wojna Jaruzelskiego

We wspomnieniach generał Jaruzelski nieraz przywoływał swoją walkę z ukraińskim podziemiem w powiecie hrubieszowskim w latach 1945–1946. Okazuje się jednak, że jego jednostka zajmowała się głównie wyrzucaniem z Polski ukraińskiej ludności cywilnej: starców, kobiet i dzieci



PIOTR GONTARCZYK

Cały szlak bojowy w czasie wojny Wojciech Jaruzelski odbył jako oficer 5. pułku piechoty. Z tą jednostką późną jesienią 1945 r. trafił na Lubelszczyznę, na teren powiatu hrubieszowskiego, zamieszkanego w znacznej mierze przez ludność ukraińską. Tu żołnierze Jaruzelskiego mieli strzec granicy polsko-sowieckiej, a także zwalczać Ukraińską Powstańczą Armię.

W początkach 1946 r. zapadły decyzje polityczne, a potem rozkazy wojskowe nakazujące uruchomienie kolejnej fali wysiedlania ludności ukraińskiej z południowo-wschodniej Polski. Podstawą tych działań był podpisany 9 września 1944 r. „Układ pomiędzy Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a Rządem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad dotyczący ewakuacji obywateli polskich z terytorium U.S.R.R. i ludności

ukraińskiej z terytorium Polski”, na mocy którego miała nastąpić wymiana ludności na zasadzie dobrowolności. Ale operacja z wiosny 1946 r. nic wspólnego z dobrowolnością nie miała. Ukraińców „zachęcano” do wyjazdu poprzez likwidację szkolnictwa i organizacji społecznych, represje wobec Cerkwi grekokatolickiej i Prawosławnego Kościoła Autokefalicznego oraz inne represje. Kiedy przedstawiciele społeczności ukraińskiej protestowali przeciwko ograniczaniu ich praw obywatelskich, zostali poinformowani, że władze uwzględnią ich postulaty po zakończeniu wysiedlenia.

Najczęściej w literaturze podaje się, iż w akcji z wiosny 1946 r. uczestniczyły oddziały 3., 8. i 9. dywizji piechoty. Pomija się tu 5. pułk piechoty 2. dywizji z Hrubieszowa, w którym aktywnie działał oficer wywiadu porucznik Jaruzelski. Zbierał on informacje o nastrojach miejscowej ludności i o ukraińskim podziemiu, ściśle współpracując z NKWD, milicją oraz bezpieczeństwem. Interesował się też nastrojami podległych mu żołnierzy i martwił się tym, iż część z nich przebywa w garnizonach w ukraińskich wsiach wzdłuż granicy, co może się przyczynić do wywołania



„niepożądanych nastrojów”, czyli zapewne do powstawania przypadków zażyłości, które mogą zachwiać morale wojska, zwłaszcza w przededniu deportacji.

Meldunki Jaruzelskiego odnoszą się z pełną aprobatą do planowanej operacji, która zakładała wyrzucenie z domów tysięcy ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. W sprawozdaniu dla wydziału zwiadowczego VII Okręgu za luty 1946 r. pisał: „Jak można wnioskować, po całkowitym wysiedleniu ludności ukraińskiej z terenu powiatu, działalność band, które wówczas zostaną pozbawione wsparcia materialnego i moralnego, zmniejszy się, a nawet [...] zupełnie zniknie”.

OPERACJA

Początkowo jednostki 5. pułku prowadziły ochronę akcji agitacyjnej prowadzonej przez komisarzy przesiedleńczych przyjeżdżających ze Związku Sowieckiego. Potem jednak przystąpiły do wysiedlania. Schemat był zawsze podobny: dzień przed „ewakuacją” wieś otaczano gęstym kordonem i pilnowano, żeby nikt nie uciekł. Na drugi dzień rano mieszkańców ładowano na furmanki ściągnięte z okolicy i wywożono na stacje kolejowe w Zabuzu i Werbkowicach. Stamtąd w wagonach Ukraińcy byli transportowani do ZSRS. Czasami jednak furmanki dojeżdżały bezpośrednio do sowieckiej granicy na Bugu, gdzie przekazywano deportowanych wprost w ręce władz sowieckich.

Notorycznym problemem, z którym borykał się 5. pułk, był brak furmanek, na wieś bowiem o obecności wojska pustoszały sąsiednie wsie ukraińskie, których mieszkańcy uciekali w obawie przed „ewakuacją”. Także Polacy, mimo istnienia różnych konfliktów i wiedzy o rzezi na Wołyniu, nie mieli ochoty na udział w operacji. Z powodu trudności z transportem wojsko niejednokrotnie musiało odstąpić na jakiś czas od wywożenia mieszkańców poszczególnych miejscowości.

Pierwszą wsią, którą otoczyli podwładni por. Jaruzelskiego, był Kosmów, wysiedlany w ostatniej dekadzie marca 1946 r. W kronice bohaterskich czy-

nów bojowych 5. pułku piechoty można przeczytać: „Na dzień dzisiejszy zostały załadowane i odprawione dwa transporty w ilości 63 wagony – 104 rodziny, co wynosi 270 osób”. Już w Kosmowie zdarzyły się incydenty, o których potem nie zawsze wspomniano ani w cytowanej księdze, ani w innych dokumentach: „Zaobserwowana została uciekająca dziewczyna ze wsi. Wartownik po użyciu wszystkich środków zapobiegawczych na dalszą ucieczkę wyżej wymienionej oddał strzał, ciężko raniąc dziewczynę, po czym ta ostatnia zmarła”.

Ewakuowana ludność była okradana przez funkcjonariuszy MO i UB, dochodziło też do przypadków pobicia. Wojsko zachowywało się nieco lepiej, a wśród okolicznych Polaków nie bra-

Udział w deportacjach Ukraińców wiosną 1946 r. to kolejna niechlubna karta w biografii Wojciecha Jaruzelskiego

kowało gestów solidarności i pomocy. Dowództwo 5. pułku skarżyło się na przykład, że katolicy księża z parafii w Zabuzu i Warężu wystawiają Ukraińcom fałszywe zaświadczenia, iż są oni katolikami i Polakami.

OPÓR

Wywózka zaktywizowała działalność ukraińskiego podziemia. Do żołnierzy próbowano docierać za pomocą odezw i ulotek: „Żołnierze polscy! Nie słuchajcie rozkazów stalinowskich slugusów, którzy rozkazują wam terroryzować i wypędzać ludność ukraińską, którzy chcą wykopać waszymi rękami jeszcze głębszą przepaść. Postępujcie tylko tak, jak rozkazuje wam wasze ludzkie sumienie i patriotyzm narodu, który wymaga nie walki bratobójczej, ale wspólnych wysiłków dla wspólnych wielkich celów wolności”.

Wywożona ludność stosowała różne formy biernego oporu. W kwietniu 1946 r. pełniący obowiązki dowódcy pułku mjr Aleksander Fomin pisał: „Przy załadowywaniu pierwszego transportu napotkano na bierny opór ludności ukraińskiej [...] nie zauważono młodzieży obojczych płci, świadczy to o tym, że prawie cała młodzież ze wsi uciekla, z czego znaczna część zwłaszcza młodzieży męskiej bez wątpienia poszła do band”. W następnych wsiach było podobnie. Potem w czasie transportu kolejni (pieszo lub też furmankami) próbowali uciekać z rozciągniętych kolumn transportowych. Do uciekających strzelano. Pościgiem za uciekinierami zajmował się pluton konnych zwiadowców, oczko w głowie por. Jaruzelskiego.

Wyznaczone do wysiedlenia wsie nie zawsze udało się zaskoczyć, toteż ich mieszkańcy masowo usiekali do okolicznych lasów i wracali do rodzinnych domów dopiero po wyjeździe wojska. Te same wsie były nachodzone kilkakrotnie, by wywieźć z nich kolejne grupy mieszkańców. Kronika 5. pułku informuje: „W dniu wczorajszym w czasie kontroli miejscowości Łubów znaleziono 10 rodzin ukraińskich uchylających się od przesiedlenia, które przetransportowano do stacji kolejowej w m. Zabuzie. [...] w dniu dzisiejszym skontrolowano Pawłowice i Mianowice przeprowadzając jednocześnie przesiedlenie pozostałych tam jeszcze rodzin. [...] W dniu dzisiejszym pododdziały I batalionu przeprowadzały kontrolę powtórna przesiedlonej wsi Honiatyń, gdzie znaleziono 10 rodzin ukraińskich uchylających się od przesiedlenia, które przetransportowano do stacji Zabuzie”. W lasach i opuszczonych wsiach odbywały się oblawy na uciekinierów. Największa z nich wydarzyła się 10 czerwca 1946 r. Łącznie wojsko otoczyło i przeszukało wówczas 23 wysiedlone wcześniej wsie, w których znaleziono, a następnie wywieziono do ZSRS ponad 500 ukraińskich rodzin.

WOJNA

Zdesperowani Ukraińcy podejmowali walkę. Z wielu względów (dyspropor-

cja sił, względy propagandowe, obawa odwetu) unikano zabijania żołnierzy, skupiając się na dywersji. Ostrzeliwano patrole wojskowe, próbując je zmusić do wycofania, podkładano miny, niszczone mosty na szlakach, którymi odbywała się deportacja.

W nocy z 4 na 5 kwietnia 1946 r. oddział UPA przebrany w polskie mundury zaskoczył i rozbił kompanię 5. pułku ochraniającą stację kolejową w Werbkowicach, z której pociągami wywożono Ukraińców do ZSRS. Ukraińcy zdobyli dużo broni i zapowiedzieli puszczonej wolno żołnierzom, że jeżeli nie zaprzestaną deportacji, spotka ich śmierć. Warto wspomnieć, że sukces UPA był możliwy dzięki znajomości hasel używanych przez wojsko, które dostarczyła Ukraińcom miejscowa siatka wywiadowcza polskiej konspiracji z WiN. Obie organizacje współpracowały od pewnego czasu w walce ze wspólnym, komunistycznym wrogiem.

Najtragiczniejsze skutki miał atak UPA na kolumnę samochodową 5. pułku 25 kwietnia 1946 r. w miejscowości Wereszyn. Kilkanaście amerykańskich samochodów Studebaker było wykorzystywanych do zwożenia zboża z magazynów na terenach „oczyszczanych przez wojsko” i kolumnę tę skojarzono z akcją przeciw miejscowej ludności. Wziętych do niewoli młodych chłopców z poboru potraktowano okrutnie: ciała 22 z nich znaleziono obok spalonych samochodów. Zostali zabici strzałami w głowę.

Największą akcją antykomunistycznego podziemia, jaką przeprowadzono na tym terenie, był wspólny atak oddziałów UPA i WiN na Hrubieszów przeprowadzony w nocy z 27 na 28 maja 1946 r. Ukraińcy zajęli się rozbięciem komisji przesiedleńczej i zablokowaniem garnizonu NKWD, a Polacy uderzenie skierowali na siedziby MO i UB. Łącznie w akcji na Hrubieszów wzięło udział ok. 450 partyzantów. Ukraińcy nie odnieśli większych sukcesów ze względu na siłę przeciwnika, ale Polakom udało się rozbić areszt UB i zlikwidować kilku zniechęconych funkcjonariuszy. Rozbili też siedzibę PPR. Jaruzelski meldował: „Banda

była w mundurach polskich, częściowo cywilnych z napisem WP na opaskach biało-czerwonych. Rozmawiali między sobą po polsku. Były też z nimi kobiety sanitariuszki”.

Ale takie akcje nie mogły powstrzymać trwającej deportacji. Opisując jej efekty, por. Jaruzelski podawał „pozytywne” skutki deportacji: zdesperowani i zrozpaczeni członkowie UPA nie wiedzieli, co robić, i skłonni byli porzucić szeregi organizacji i dołączyć do swoich rodzin. W jednym z ostatnich raportów napisał: „Można powiedzieć, że obecnie dzięki prawie zakończonemu przesiedleniu działalność band UPA będzie stopniowo zmniejszać się nie mając punktu oparcia i dotychczasowych baz zaopatrzenia, jakimi były dotąd ukra-

„Zaobserwowana została uciekająca dziewczyna. Wartownik po użyciu wszystkich środków zapobiegawczych oddał strzał, ciężko raniąc dziewczynę, po czym ta ostatnia zmarła”

ińskie wsie”. Istotnie, na terenach działalności 5. pułku uspokoiło się. Okolica zrobiła się wymarła.

RACHUNKI

W sumie w ciągu trzymiesięcznej akcji z wiosny 1946 r. 5. pułk piechoty wysiedlił wsie: Dłużniów, Cichobórz, Ślipcze, Czerniczyn, Hołub, Sawczyn, Cieląż, Chorobród, Dubów, Horodyszczce, Horoszczyce Liwce, Korków, Wojsławice, Polanka, Waręż, Pieczygóry, Tordukowice, Nusmice, Dolhobyczów, Honiatyń Pawłowice, Sulimów, Mianowice, Piaseczno, Łubów, Szychowice, Uchrynów, Bojanice, Szmitków, Moszków, Hatowice, Szychowie, Starogród, Kryłów, Kościaszyn, Zabuże, Nusmice i Opulsko. Nie jest to kompletna lista,

część bowiem meldunków o postępach deportacji zawiera zbiorcze dane liczbowe bez wymieniania nazwy miejscowości. Łącznie deportowano prawdopodobnie ponad 10 tys. osób.

Po wojnie gen. Jaruzelski wspominał czasem o walkach z UPA, ale na ogół milczał w sprawie wywożenia z Polski ukraińskich cywilów. Kiedyś jednak wspominał: „Ludność ukraińska brała udział w walkach – jeśli nie bezpośrednio, to w formie poparcia. Udzielali ludziom z UPA kryjówek, żywili ich itp. Jeśli teraz patrzę na to z dystansu i z większą wiedzą, to jest dla mnie jasne, że wysiedlenie było nieuniknione. Każde inne rozwiązanie prowadziłoby do niekończących się walk i coraz większych ofiar”. Tylko że jednak ludność cywilna nie brała udziału w walkach, a ograniczona aktywność Ukraińskiej Powstańczej Armii na tym terenie rzadko wychodziła poza ramy samoobrony przed ekscesami zdemoralizowanych funkcjonariuszy MO i UB, z którymi zresztą analogiczne kłopoty mieli polscy mieszkańcy. Działalność UPA w żadnym mierze nie usprawiedliwiała zastosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej wobec tysięcy kobiet, starców i dzieci. W najmniejszym stopniu nie usprawiedliwiała jej ani narosłe konflikty polsko-ukraińskie, ani jakiegokolwiek polskie interesy narodowe i państwowe. Działania 5. pułku piechoty wiosną 1946 r. były komunistycznym bezprawiem wobec polskich współobywateli.

Ale historia deportacji ludności ukraińskiej z powiatu hrubieszowskiego ma jeszcze jeden element, który rzuca ciekawe światło na zasadność przeprowadzenia tej operacji. W 1951 r. na mocy porozumienia polsko-sowieckiego na tym terenie przesunięto granicę z linii Bugu, przenosząc ją w głąb polskiego terytorium o kilkanaście do dwudziestu kilometrów. Po tej korekcie większość wsi z pasa „oczyszczanego” z Ukraińców przez jednostkę Jaruzelskiego znalazła się w granicach Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Nie było więc żadnego sensu, żeby kilka lat wcześniej wyrzucać stamtąd Ukraińców.



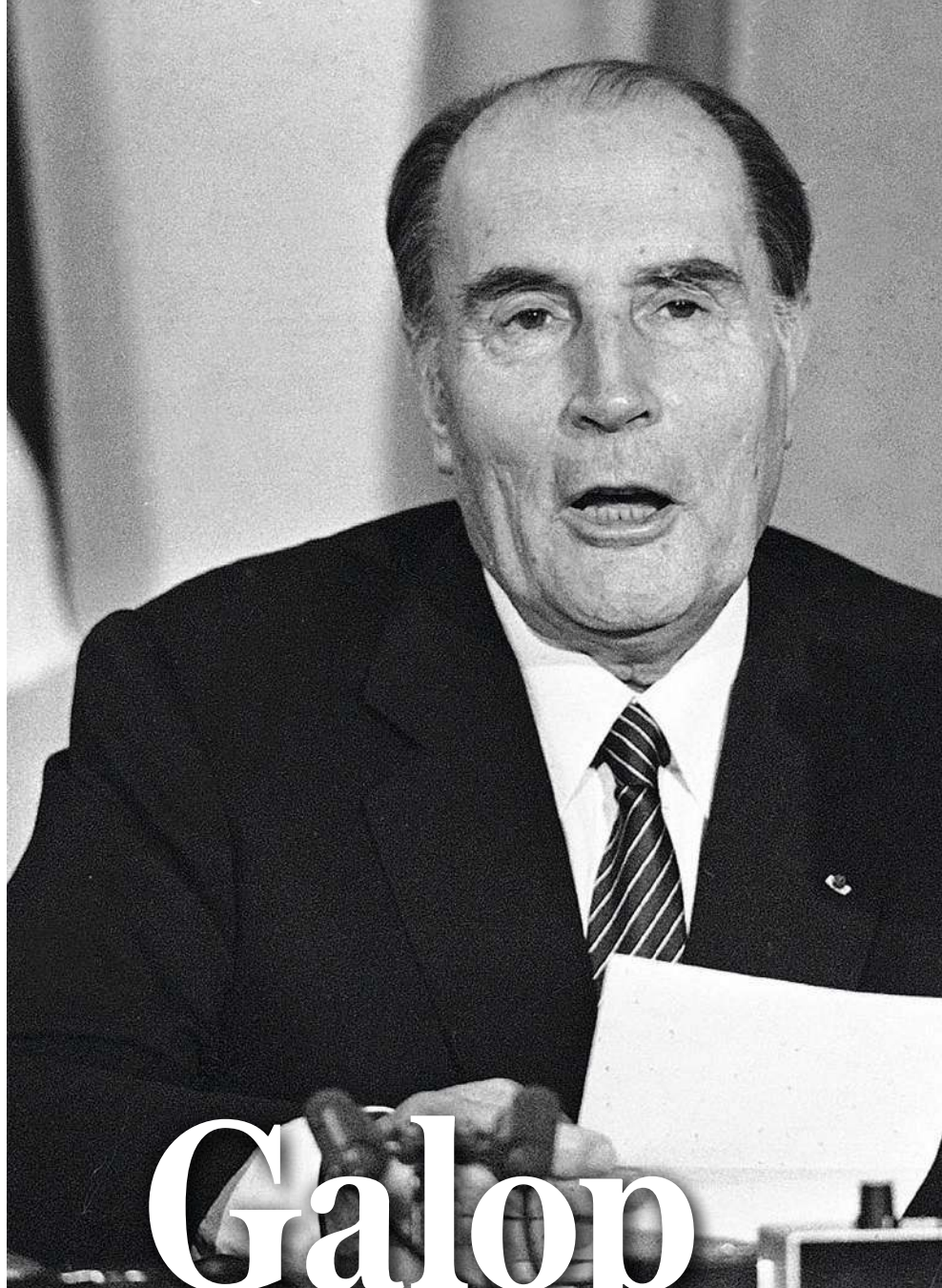
**KRZYSZTOF
TYSZKA-DROZDOWSKI**

Kiedyś lewica, nawet ta skrajna, ze szpicy postępu, była patriotyczna, aborcję uważała za nie-szczęście, imigrację za zagrożenie, a do Europy odczuwała daleko posuniętą nieufność. Thierry Bouclier w znakomitej książce „La République amnésique” zbiera przykłady, że polityczna poprawność przeszła jak burza i w krótkim czasie głęboko przeobraziła francuski pejzaż polityczny. Poglądy, które przed wojną, ale nawet później, choćby 40 lat temu, uważano za zdroworozsądkowe – dziś stanowią podstawę do oskarżenia przed trybunałem politycznej poprawności. Prawica struchlała, zastraszona obawia się, że dostanie metkę „zacofanej”, dlatego idzie rytmem, jaki narzuca jej lewica. Intelktualny terror spustoszył francuskie umysły. Zakneblował usta tym, którzy chcą mówić językiem, jakim posługiwano się jeszcze niedawno.

* * *

Dzisiaj każdy chętnie odwołuje się do gen. de Gaulle’a. François Hollande mówił niedługo przed końcem kadencji, że wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, są gaullistami. Emmanuel Macron cytował go zawzięcie, a liberalne media wprost nazywały młodego prezydenta nowym wcieleniem twórcy V Republiki. Prócz tego szacunku do generała francuska klasa polityczna ma jeszcze jeden wspólny mianownik. Wszyscy są zdania, że nie ma alternatywy dla Brukseli.

Nie zawsze tak było. Gdy Komisja Europejska chciała wprowadzić zasadę, że decyzje podejmuje się większością głosów, a nie jak wcześniej jednomyślnie, de Gaulle stawiał jej opór z całych sił. Wiedział, że zgoda na taką zmianę oznacza ubezwłasnowolnienie. Zastosował politykę „pustego krzesła”. Francja przestała brać udział w obradach i wstrzymała wpłaty do wspólnego budżetu. Europa



Galop politycznej poprawności

*Wystarczyły dwie dekady, aby klimat opinii we Francji
zmienił się nie do poznania*



François Mitterrand, przywódca socjalistów, przez lata był wrogi projektowi europejskiemu

Fot. AP Photo/Duclos

ustąpiła, z powrotem ustanowiono regułę jednomyślności. Ta zasada została jednak zniesiona przez traktat z Maastricht i całkowicie pogrzebana traktatem lizbońskim, pod którym podpisał się Nicolas Sarkozy, polityk z ugrupowania, które na każdym kroku powołuje się na spuściznę generała.

De Gaulle miał cięty język. Powiedział kiedyś, że Europy nie da się zrobić tak jak purée z kasztanów. Nie udało się zmielić narodów na sieczkę, bo każdy posiada własną historię, swoich bohaterów, swój język i swoje wierzenia. Można nauczyć je współpracy, nie można jednak wymusić na nich jed-

ności. Miał mówić: „Nie ma niczego ponad narodami, chyba że to, co wspólnie postanowią państwa. Pretensje komisarzy europejskich do narzucania swoich decyzji narodom są śmieszne!”.

Jacques Chirac zasłużyłby kiedyś na przydomek eurosceptyka. W 1976 r. powołał do życia partię Rassemblement pour la République, ugrupowanie zrzeszające gaullistów różnych odcieni. Ostrzegając, że choć należy budować silną Europę, nie można do tego dążyć kosztem Francji. „Zbudujemy Europę bez demontowania Francji” – głosił. Dwa lata później, w przeddzień pierwszych wyborów do Parlamentu Europejskiego, podjął jeszcze mocniejszy ton. Brukselscy technokraci zmierzają do odebrania Francji pozycji, jaką wypracowywała sobie przez wieki. „Jak zawsze wtedy, gdy chodzi o poniżenie Francji, partia zagranicy pracuje, mówiąc swoim łagodnym i uspokajającym głosem”. Jeszcze w 1990 r. otwarcie, już jako prezydent, skrytykował pomysł wprowadzenia wspólnej waluty. Dwa lata później znajdzie się w obozie federalistów i poprze traktat z Maastricht.

Tak pobiła prawica. François Mitterrand, przywódca socjalistów, przez lata był wrogi projektowi europejskiemu. W latach 50. przekonywał, że wspólnota nie stanowi jedynej drogi dla Francji, bo ta posiada jeszcze kolonie i tam może znaleźć oparcie. Przypominał, że nie trzeba dobrowolnie zawęzić sobie pola manewru – suwerenność to podstawa, bez której polityka staje się fikcją. W programie Partii Socjalistycznej z lat 70. czarno na białym wykladał rację stanu: nie można ustąpić Europie nic z suwerenności. Gdy w 1981 r. wygrał wyścig o fotel prezydencki, głównym zadaniem, jakie wyznaczał wspólnocie, była obrona narodowych gospodarek przed USA i Japonią.

* * *

Francuska lewica nieustannie walczy, że Francja to „kraj imigracji”, a przyjmowanie przybyszów to „republikańska tradycja”. Próbuje tworzyć mit, łatwo złapać ją tu za rękę, bo po prostu jest daleka od prawdy. Każda wątpliwość wobec tak śmiałych sformułowań po czytaniu jest jednak za rasizm.

Przed II wojną światową nikt nie miał wątpliwości, ani na lewicy, ani na pra-

wicy, że imigracja wpływa ujemnie na społeczeństwo. W 1918 r. rząd zakazał przyjmowania cudzoziemców do pracy, jeżeli nie brakuje rodzimych pracowników. Oczywiście było, że tylko w sytuacji niedoboru należy takie ubytki łączyć obcokrajowcami, ale i to z największą ostrożnością. W 1932 r. socjaliści wprowadzają ustawę, która ma na celu ograniczenie udziału imigrantów we francuskim rynku pracy. Należy zahamować napływ cudzoziemców – to zdanie podziela całe spektrum polityczne – bo stanowi on główną przyczynę bezrobocia. Socjaliści domagają się, aby zapanowała zasada preferencji narodowej, tj. pierwszeństwa francuskich robotników przed wszystkimi innymi. Narzucają kwoty różnym gałęziom przemysłu i w różnych branżach, określając procentowy udział cudzoziemców w zakładach pracy. Na dodatek przedwojenne francuskie prawo jasno mówiło, że i ci, którzy przebywają na terytorium państwa nielegalnie, i ci, którzy im pomagają, powinni trafić do więzienia. Tym umiarkowanym lewicowcom dostałoby się dzisiaj od „faszystów”.

Na Zachodzie panuje wiara – co nią w końcu zachwieje? – że muzułmanie świetnie wtapiają się w społeczeństwa, które ich przyjmują. A jeśli występują jakieś trudności, to wynikają ze złej woli i rasistowskich złogów Europejczyków, których należy poddać reedukacji. De Gaulle byłby w dzisiejszej Francji notorycznie karany za swoje wypowiedzi. Mówił np., że należy zagrozić dostęp imigrantom do wolnych zawodów, ponieważ to one stanowią o sile asymilacyjnej narodu: „O ile obcy wytworzą we Francji swoje kadry intelektualne i gospodarcze – nawet znaturalizowane – o tyle będą podtrzymywać swój partykularyzm”. I dalej w tym tonie: „Ci, którzy zalecają integrację, mają mózdzek kolibra, nawet jeśli są bardzo uczeni. Proszę spróbować zmieszać olej i ocet, potrząsnąć butelką. Po chwili oddzieli się znowu. Arabowie to Arabowie, Francuzi to Francuzi”. Asymilować można jednostki – dodawał mądry generał – nie całe populacje.

W 2016 r. Manuel Valls, wtedy premier rządu Hollande’a, powiedział: islam to część naszej kultury. Nie zawsze jednak był to refren lewicy. Przykład pierwszy z brzegu to komunistyczny mer Ivry

Georges Maranne, ostrzegający w 1947 r., że położenie miasta pogarsza się z dnia na dzień wraz z rosnącą liczbą arabskich przybyszów, gnieźdzących się w norach i wypełniających policyjne statystyki przestępczości „Trzeba znaleźć sposób, aby zapobiec ich dalszej imigracji do Francji, jeżeli nie ma tu dla nich warunków do normalnego życia. Młot równych praw prowadzi do sytuacji bez wyjścia”.

Valéry Giscard d'Estaing był czystej wody liberałem. Zalegalizował aborcję, obniżył prawny wiek dorosłości do 18. roku życia, wierzył w utopię europejską. Nie przeszkodziło mu to w napisaniu w 1990 r. artykułu „Imigracja czy inwazja?”. Pisał w nim bez wykrętów, z których liberałowie są znani, że Francja stawia dziś czoło inwazji. Państwo nie ma już sił, aby przyjąć więcej przybyszów, dotarło do granic swoich możliwości. Dlatego były prezydent wysuwa propozycję – nie przyjmować nikogo więcej. Biorąc pod uwagę łatwość, z jaką w dzisiejszym świecie można zmieniać miejsce zamieszkania, namawia również do zniesienia procedury nadawania obywatelstwa tak, aby ci, którzy urodzili się na francuskim terytorium, nie dostawali go automatycznie. Francuzem, jego zdaniem, jest ten, kogo matka i ojciec są Francuzami. Widać jasno, że nie ma żadnego związku między skrajną prawicą a postawą antyimigracyjną. To zbitka propagowana przez ideologów multikulturalizmu.

* * *

Były czasy, gdy lewica była patriotyczna. Trudno to sobie wyobrazić, ale rzeczywiście tak było. Historyk Jean de la Viguerie stwierdza w swojej książce o dziejach patriotyzmu we Francji, że wszyscy, bez względu na barwy polityczne, jednocyli się w kulcie ojczyzny. Na początku lat 30. lewicowy prezydent Paul Doumer mógł powiedzieć, nie ryzykując ostrzału dziennikarzy, że „ojczyzna to najdroższe i największe słowo, jakie możemy usłyszeć. Słuchać w nim pieśń miłości, oddania, ofiary i chwały”.

Jean Jaurès to jedna z ikon Republiki. Był to socjalista, który tłumaczył swoje przywiązanie do socjalizmu tym, że ma on wzmocnić ojczyznę. Pokój w Euro-

pie, tak myślał, nie nastąpi przez wymazanie narodów, lecz „poprzez ich uszlachetnienie”, przez wzajemną przyjaźń. Patriotyzm lewicy łączył się z pochwałą misji cywilizacyjnej Francji i jej dziełem kolonizatorskim. Ten sam Jaurès mógł powiedzieć, że „tam, gdzie Francja się ustaliła, tam się ją kocha, a tam, gdzie tylko przeszła, odczuwa się za nią żal; wszędzie, gdzie promieniuje swoim światłem, jest dobroczynna”. Macron w czasie kampanii prezydenckiej – przy-

De Gaulle byłby dziś nad Sekwaną notorycznie karany za swoje wypowiedzi. Mówił np., że należy zagrozić dostęp imigrantom do wolnych zawodów, ponieważ to one stanowią o sile asymilacyjnej narodu

pomnijmy to dla porządku – nazwał kolonizację „zbrodnią przeciw ludzkości”.

Po wojnie niewiele się zmieniło. Na czele socjalistów stanął Mitterrand, który w 1965 r., w pierwszych bezpośrednich wyborach prezydenckich, nie musiał się krygować i bić w pierś za to, że jest Francuzem. Mówił o przywiązaniu „do ziemi, która nie kłamie”, o swojej rodzinnej miejscowości, o ojcu, który wpoił mu patriotyzm. Po latach pisał, że nie musi się wysilać, aby pojąć, czym jest Francja, bo ma ją we krwi, bo Francja mieszka w jego duszy. Gdy pod jego egidą tworzono program Partii Socjalistycznej – było to na początku lat 80. – państwo narodowe uznano tam za nieprzekraczalny kształt polityczny. Nikt poważny nie mógł wtedy twierdzić, że należy wyrzucić je na śmietnik historii.

Te czasy odeszły w niepamięć. Gdy w 2007 r. Ségolène Royal, socjalistyczna kandydatka na prezydenta, osmieszyła się wyrazić zdanie, że każdy Francuz powinien mieć w domu flagę i że trzeba ożywić we Francuzach „patriotyzm serca”,

runęła na nią burza krytyki. Postradała zmysły – mówiła lewica – a politycy centrum ostrzegali, by nie wskrzeszać „szkodliwej tożsamości”.

* * *

Sprawa zmieniła się równie nagle, jeśli chodzi o aborcję. W 1920 r. wprowadzono ustawę, która zakazywała propagowania usuwania ciąży – Francja była okaleczona przez wielką wojnę, upływ krwi należało zatamować. Skrajna lewica, dzisiaj w awangardzie walki o rozluźnienie obyczajów, nawoływała wtedy do obrony rodziny.

Maurice Thorez, szef Francuskiej Partii Komunistycznej, powiedział w latach 50., że walka o wyzwolenie kobiet nie wiedzie przez aborcję, lecz przez reformy społeczne. Gaulliści mówili językiem, którego boi się dziś prawica: „Aborcja to klęska, trauma, zło”. Jacques Chirac sprzeciwiał się w tamtej epoce legalizacji aborcji, podkreślając, że nadszarpnie to i tak słabnący potencjał demograficzny.

Było, minęło. Gdy François Fillon w trakcie prawyborów na prawicy stwierdził, że nie może się zgodzić moralnie na aborcję, musiał natychmiast złożyć samokrytykę. Kilka lat wcześniej Nicolas Sarkozy w jednym z przemówień przyznał, że usuwanie ciąży stanowi „francuską wartość”. Lewica, oczywiście, zawsze przelicytowuje swoich przeciwników. W 2016 r. zniesiono zasadę, że kobiecie pozostawia się tydzień namysłu, teraz może się pozbyć dziecka od ręki. Zakazano też prób odwodzenia od takiej decyzji, nawet w postaci stron internetowych, które oferują pomoc.

* * *

Potrzeba naprawdę niewiele czasu, aby zrobić elitom wodę z mózgu. Odpowiedni nacisk przesuwca cały układ politycznego odniesienia na lewo. Musimy czuć, aby nie ocknąć się w świecie, w którym wszystko stoi na głowie, w świecie, którym brzydziliby się nasi przodkowie, bo polityczna poprawność pędzi galopem. Dewastuje umysły i państwa i przychodzi jej to łatwo. Trudno, i brak na razie przykładów, na skuteczne podniesienie się z tej choroby.

Oszustwa podatkowe są jak wirus

Z prof. **Teresą Czerwińską**,
minister finansów, o podatkach,
emeryturach i długoterminowych
inwestycjach, rozmawiają
Michał Karnowski i Maciej Wośko



Fot. Andrzej Wiktoria

Mamy dobre wieści – agencja ratingowa Moody's pozytywnie wypowiedziała się o sytuacji gospodarczej Polski. Podwyższyła szacunek PKB Polski na ten rok do 4,3 proc. z 3,5 proc.

Teresa Czerwińska: I do 4,2 proc. w 2019 r. To wyższy wynik od zakładanego w ustawie budżetowej. I wyższy od założeń wieloletnich planów finansowych. Widać, że sami oceniamy siebie ostrożnie, a agencje ratingowe wystawiają nam wyższe oceny.

Tak było z projektem budżetu... Komentatorzy oceniali, że budżet jest przygotowany bardzo ostrożnie. Chodzi o to, by świętować lepsze wyniki?

Proszę zwrócić uwagę, że po stronie wydatków zakładamy maksymalne poziomy, a po stronie przychodowej – minimalne. Szacowanie przychodów to prognoza minimalna, która po prostu musi być realistyczna. Staramy się podchodzić do szacunków realnie.

Minęło 100 dni rządu utworzonego przez premiera Mateusza Morawieckiego. Przejęła pani profesorskie ministerstwo w niezwykle istotnym dla finansów momencie – to wprowadzenie nowych narzędzi uszczelniania systemu podatkowego, choćby JPK dla mikro- i małych przedsiębiorstw, za chwilę split payment, który stopniowo będzie zastępował odwrócony VAT. Prosimy na początek o ocenę tych stu dni z punktu widzenia ministra finansów...

Po pierwsze, kontynuujemy politykę uszczelniania. Sfinalizowaliśmy projekt jednolitego pliku kontrolnego. Otrzymaliśmy pierwsze zeznania JPK za styczeń – i tu mamy dobre dane, bo 94,5 proc. firm złożyło raporty. Proszę pamiętać, że to obowiązek dotyczący także mikroprzedsiębiorców, dla wielu było to spore wyzwanie. Uznaję to zatem za sukces.

85 tys. podejrzanych faktur zgłasza fiskus w zebranych deklaracjach...

To są faktury, w których urzędnicy wyłapali nieścisłości. Mogą być to błędy, pomyłki – ale też np. puste faktury świadczące o próbie oszustwa. I mogę powiedzieć, że tam, gdzie potwierdzimy wyłudzenia, będziemy nieprzejednani. Ale tam, gdzie pojawiły się pomyłki, błędy rachunkowe – co się przecież zdarza – będziemy wyjaśniać, zapraszać przedsiębiorców do rozmowy. Karanie podatnika to ostateczność.

A jak ocenia pani kondycję Krajowej Administracji Skarbowej? Niektórzy mówią – moloch, inni – że to wreszcie skuteczne narzędzie re-sortu finansów.

Na pewno moloch, jeśli chodzi o wielkość. To po prostu ogromny organ administracji, który po roku, po pierwszych podsumowaniach pochwalić się może wielką skutecznością. Legislacja potrzebuje skutecznego wykonawcy, a ta skuteczność wynika m.in. z tego, że nie działamy na ślepo. Stawiamy

na analitykę – zbieramy dane, które jesteśmy w stanie przeanalizować w efektywny sposób. Nie chcemy zamęczać podatnika kontrolami, bo kontrole KAS mają być rzadsze, ale za to skuteczne.

...czyli na podstawie analizy danych i algorytmu są państwo w stanie przewidzieć, kto oszukuje? Te dane na temat podatników są już w administracji skarbowej.

Jestem tym zainteresowana zarówno jako minister finansów, jak i jako analityk. Dane zbierane przez fiskusa muszą być analizowane. Myślę np. o wykorzystaniu tzw. sieci neuronowych, szybko uczących się, identyfikujących schematy podatkowe, pokazujących i weryfikujących pewne niepokojące zachowania podatnika. Do tego typu analiz potrzebujemy pełnych, kompletnych danych. Teraz je zbieramy.

Technologia Big Data wkroczyła do administracji skarbowej.

Tak. Wzmacniamy departament analityczny. Chciałabym, żeby to był XXI w., żebyśmy wykorzystywali potencjał posiadanych danych. Możemy dzięki temu ocenić skalę ryzyka, zidentyfikować zachowania, które mogą świadczyć o nadużyciach – z takich narzędzi korzystają już firmy ubezpieczeniowe, bankowość... Dlatego nie administracja skarbową.

Wracając do stu dni rządu...

Kontynuujemy realizację zadań postawionych przez premiera Morawieckiego. Podjęliśmy też kilka inicjatyw zmierzających do przyspieszenia prac nad nową ordynacją podatkową i wdrożenia filozofii prostego, przyjaznego i przejrzystego (3xP) systemu podatkowego. Cały czas „doszczelniamy” też system paliwowy. Wkrótce sfinalizujemy projekt dotyczący czujników pomiarowych na stacjach paliw. Jako że objęliśmy monitoringiem wszystkie wjeżdżające do kraju cysterny i wiemy, ile paliwa trafia do Polski, chcemy teraz uszczelnić system dystrybucji i sprzedaży detalicznej.

To pewien symbol tej zmiany. Jeszcze niedawno tysiące tirów z paliwem

wjeżdżały do Polski poza kontrolą, co umożliwiała oszustwa i prowadziło do potężnych strat dla budżetu. Dziś handel paliwami jest szczelny?

Dzięki systemowi monitoringu każda cysterna jest liczona, wiemy, ile wiezie paliwa i dokąd zmierza. Chcielibyśmy, żeby ta kontrola była pełna, stąd system kontroli sprzedaży na stacjach.

Żeby już nie było tak, że PKB rośnie, a sprzedaż paliwa spada...

Mieliśmy też inne paradoksy ekonomiczne. Rosło PKB, a podatki nie spływały. Firmy się rozwijały, mieliśmy wzrost gospodarczy, a wpływ podatkowy malał albo się nie zmieniały... Skala nieprawidłowości, z którymi mieliśmy wcześniej do czynienia, może być ogromna. Uszczelniamy system podatkowy i widzimy dziś, ile pieniędzy traciliśmy. Oczywiście, że na początku procesu uszczelniania przyrosty dochodów podatkowych są najwyższe, a potem maleją, tak więc nie spodziewamy się podobnej dynamiki w kolejnych latach. Możemy być jednak pewni, że odnotowując wzrost PKB, wzrost gospodarczy, zaobserwujemy też wyższe wpływy z podatków.

Czy jednak te wyniki są trwałe?

Po lutym 2018 r. wykonanie w VAT jest wyższe niż rok temu, a odnosimy się do wysokiej już bazy. Muszę jednak zastrzec, że jeśli ktoś ogłosi, że zakończył uszczelnianie systemu podatkowego, to zrobi pierwszy krok do jego rozszczelnienia. To jak z wirusami w programach komputerowych – czyścimy, czyścimy, a potem aktualizujemy program antywirusowy i znów czyścimy. Musimy uporządkować system – składa się na to uszczelnienie i transparentność przepisów, które muszą być precyzyjne i zrozumiałe.

Nie możemy zrozumieć, jak to możliwe, że tak długo pewne patologie występowały na skalę przemysłową. Karuzele VAT-owskie, wspomniane paliwa, wyłudzenia i omijanie podatków...

Nie chcę wskazywać w sposób jednoznaczny. Prawdopodobnie mieliśmy do czynienia z przyzwoleniem na nieszczelność. Karuzele VAT-owskie

w sprzęcie elektrotechnicznym czy oszustwa związane z paliwami były tajemnicą poliszynela. Najszerze wrota pozamykaliśmy, dziś uszczelniamy furtki. Choć wciąż pojawiają się nowe pomysły oszustów – ogłoszenia „sprzedam koszty”, choćby mikroprzesyłki sprzętu elektronicznego, transakcje bez VAT czy skup paragonów...

Ale to nie tylko problem Polski... Wymieniamy się doświadczeniami z innymi krajami? Słyszemy od premiera Morawieckiego, że świat słucha, gdy mówimy, jak Polska poradziła sobie z VAT.

Mówimy i słuchamy. Choćby o systemie elektronicznych kas fiskalnych on-line na Węgrzech. My pokazujemy na forum ECOFIN i OECD, że można szybko i skutecznie uszczelnić wiele elementów systemu. Nie waham się tak o tym mówić, bo to jest pochwała dla wszystkich moich pracowników – resortu i administracji skarbowej.

A obniżenie podatków? Z pani wypowiedzi wynika, że to jeszcze nie jest dobry moment. Choć temat niższych obciążeń pobrzmiewa w wypowiedziach polityków.

Cóż, w niewielkim stopniu jestem politykiem. Do końca roku stawki VAT założone w ustawie budżetowej są obowiązujące. Gdy patrzę na obciążenia fiskalne w skali makro w Europie, to nie jesteśmy liderem. Jesteśmy średniakiem. Mamy pewne sukcesy w uszczelnianiu podatków, ale proszę pamiętać, że na dobre zaczęliśmy ten proces nieco ponad rok temu. Żaden ekonomista nie będzie podejmował wiążących decyzji na podstawie wyników jednego roku. Pamiętajmy też, że wciąż mamy deficyt budżetowy. Z sukcesem obniżamy go, ale jesteśmy dopiero w trakcie tego procesu. Przyglądamy się matrycy stawek podatku VAT – opodatkowaniu poszczególnych artykułów, by znieść pewne absurd. Mamy paradoksalne sytuacje związane z opisywanymi przez media stawkami – od musztardy i sosu musztardowego czy gotowych dań po usługi gastronomiczne. Ten system musi być transparentny, by podatnik nie miał wątpliwości, gdzie co zakwalifikować.

Pytam też, czy jesteśmy pewni, że ceny zmienia się, jeśli VAT obniżymy o 1 proc.? Nie wiem, czy odczulilibyśmy to w naszych portfelach – a w budżecie państwa na pewno. Musimy więc bardzo odpowiedzialnie podchodzić zarówno do dochodów podatkowych, jak i do wydatków.

Polityka społeczna też waży na tym wyniku.

Podjęliśmy długoterminowe zobowiązania wobec Polaków – 24,5 mld zł to tylko program 500+, do tego leki dla seniora 75+, program wsparcia maluchów w żłobkach – ponad 450 mln zł. Jeśli chcemy być odpowiedzialni, to decyzja dotycząca obniżenia podatków musi być poprzedzona dłuższym horyzontem czasowym. Nie pamiętam rządu, który podjąłby tak szeroką politykę prorodziną i społeczną.

Skoro mowa o długoterminowych zobowiązaniach – czas zapytać o długoterminowe oszczędzanie i inwestowanie Polaków, czyli projekt wprowadzenia Pracowniczych Planów Kapitałowych. Kilka instytucji zaopiniowało projekty dość krytycznie. Jakie modyfikacje są możliwe w tym projekcie?

Chciałabym najpierw podkreślić rangę tego przedsięwzięcia, bo to wspólna inicjatywa ministra finansów i ministra rodziny, pracy i polityki społecznej, zapowiadana przecież osobiście przez premiera Morawieckiego. Jeszcze raz odwołam się do skali makro. Przeglądając oszczędności emerytalne w różnych krajach, zwłaszcza filar prywatny – to jesteśmy w ogonie. Choć było już wiele koncepcji – IKE, IKZE, PPE, nie mówiąc o OFE – to w Polsce odłożyliśmy na emeryturę tylko ok. 0,1 proc. PKB. Przy średniej unijnej blisko 25 proc. PKB poszczególnych krajów członkowskich. Musimy dać Polakom narzędzia! To, co przygotowaliśmy, to propozycja właśnie takiego narzędzia. Wszystkie uwagi, które spłynęły, przetwarzamy i analizujemy. Wiele kwestii już wyjaśniliśmy i doprecyzowaliśmy. Jeśli uwagi są merytoryczne i poprawiają projekt – daję zielone światło, ale zależy mi na tym, żeby projekt pilnie



Fot. Andrzej Wilk

trafił do parlamentu. Jako kraj aspirujący do zapewnienia bezpieczeństwa socjalnego – musimy zaproponować obywatelom odpowiednie narzędzie.

Czy jednak wyciągnięto wnioski z nieudanych projektów, choćby z OFE?

Tym razem proponujemy program w pełni prywatny. W OFE należności miały charakter publicznoprawnny. Z PPK w każdym momencie będzie można wycofać środki i zdecydować, czy chcemy w taki sposób oszczędzać, czy też nie. To będą pieniądze obywateli, którzy indywidualnie podejmą decyzję o udziale w programie. Błąd, który popełniony został przy OFE, to bardzo wysokie opłaty akwizycyjne, za zarządzanie portfelem. Tym razem opłaty chcemy ograniczyć wprost w ustawie. Zarządzający muszą mieć świadomość, że za samo pasywne zarządzanie portfelem nie osiągną wielkich korzyści. Można też wybrać politykę inwestycyjną, czego zabrakło w OFE. Tym razem będzie kilka typów portfeli dostosowanych do cyklu życia inwestora, choć – wobec zastrzeżeń do projektu – może trzeba to jeszcze doprecyzować. Ale pytanie na dziś brzmi nie czy, ale jak wprowadzimy ten program.

W innym przypadku pozostanie ZUS, który jest taką czarną chmurą nad każdym rządem w Polsce.

Demografia jest nieubłagana. Stosunek osób pracujących do emerytów jest i będzie niekorzystny.

Do tego część osób pracujących pozostawała poza systemem.

Wydaje się, że uprządkowanie systemu, zmiany w Kodeksie pracy są niezbędne. Różnorodność wariantów i wiele wyjątków, brak transparentności może prowadzić do skłonności omijania przepisów. Czekamy na projekt Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – wtedy odniesiemy się do niego i przedstawimy nasze ewentualne propozycje.

Gdy spojrzymy na mapę danych gospodarczych w Europie, można by powiedzieć – złote czasy. Jak długo to potrwa zdaniem pani profesor? Minister finansów musi być optymistą?

Przy konstruowaniu budżetu raczej pesymistą. Ale tak, jesteśmy w szczycie gospodarczym. Choć zamiast zastanawiać się, jak długo to potrwa, zapytałabym – jak zabezpieczamy się na czasy, gdy koniunktura będzie gorsza, bo przecież poruszamy się w pewnych cyklach. Zatem patrząc przezornie – redukujemy deficyt i równoważymy finanse. I warto zauważyć, że mimo wydatków społecznych, o których mówiliśmy, deficyt się kurczy. Zahamowaliśmy też wzrost długu publicznego – nominalnie i wobec PKB. Budujemy więc pewien bufor bezpieczeństwa na gorsze czasy. To wymaga od nas dużej determinacji i bardzo rozsądnego wydatkowania. Wtedy działania rządu – uszczelnianie systemu podatkowego i wspieranie inwestycji – dadzą efekty.

Sieci handlowe i restauracyjne masowo rezygnują z kupowania jaj od producentów, którzy hodują kury nioski w klatkach. Wybierają te ściółkowe (z numerem 2 na skorupce), z wolnego wybiegu (nr 1) albo ekologiczne (nr 0). Pierwszy w ub.r. zrobił to Aldi, potem na podobny krok zdecydowały się m.in. Tesco, Kaufland, Netto, Biedronka, Lidl, Piotr i Paweł. Ostatnio do grona tzw. sieci eko dołączyły Żabka i Freshmarket. Tłumaczy to oczekiwaniami konsumentów, którzy podobno nie chcą kupować jaj z chowu klatkowego, bo wolą te od „szczęśliwych kur”. Sęk w tym, że nie do końca jest to prawda. Handlowcom po prostu bardziej opłaca się sprzedaż jaj droższych, bo więcej wówczas zarabiają na marżach. Jaja z wolnego wybiegu czy ściółkowego są czasem nawet dwa razy droższe niż te z klatki: pierwsze kosztują 8–13 zł, drugie 4–7 zł za 10 sztuk.

MODA I BIZNES

Duży udział w decyzjach sieci ma też zataczająca coraz szersze kręgi moda na ekologiczny tryb życia. Oczywiście zdrowie ma ogromne znaczenie, ale warto wiedzieć, że nie zawsze to, co producenci czy handlowcy oferują jako superzdrowe, faktycznie takie jest. Mówiąc wprost: marketingowcy bardzo często sięgają po różnego rodzaju narzędzia manipulacji, aby zwiększyć sprzedaż i zyski. Grają na emocjach, snobizmach, sugerują, że coś jest bardziej etyczne, lepsze niż produkt konkurencji. Czasami uciekają się do szantażu: jedna z organizacji ekologicznych tworzy „czarne listy” handlowców i punktów gastronomicznych, które nie chcą zrezygnować z tańszych jaj.

Warto też wiedzieć, że organizacje forsujące trendy, które mają nakręcać biznes, często podpierają się raportami czy badaniami naukowców. Słono za to płacić. Tak było np. z margaryną, która przez lata uchodziła za produkt znacznie zdrowszy niż masło. Miliony ludzi na całym świecie uwierzyły w to, bo naukowcy z prestiżowych ośrodków naukowych dowodzili, że masło to bomba cholesterolowa zatykająca tętnice, po-



Fot. Shutterstock

Ekologia kontra rynek

Jeżeli sieci handlowe i restauracje całkowicie wycofają ze swojej oferty jaja klatkowe, czeka nas nawet kilkudziesięcioprocentowa podwyżka cen i znaczący spadek produkcji. Ucierpią na tym duzi producenci drobiu, a polska z liczącego się eksportera stanie się importerem tanich jaj ze Wschodu

wodująca zawały serca. Dopiero kilka lat temu kłamstwo wyszło na jaw. Okazało się, że margaryna zawiera tłuszcze trans, które są rakotwórcze.

Historia z jajami w pewnym sensie przypomina tę z margaryną. Przez ostatnie lata różnego rodzaju organizacje, instytucje, autorytety przekonywały i przekonują, że żywność z małych gospodarstw czy przetwórci jest znacznie zdrowsza oraz bezpieczniejsza niż ta produkowana metodami przemysłowymi. Nie zawsze jest to prawda, bo wielu rolników tylko udaje, że są ekologiczni. Świadczą o tym np. wyniki kontroli przeprowadzonej półtora roku temu na zlecenie Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Okazało się, że w warzywach, owocach, serach czy wędlinach oferowanych jako ekologiczne znaleziono związki wskazujące na to, iż do ich produkcji użyto środków ochrony roślin czy nawozów sztucznych. Nie są więc wcale zdrowsze od tych produkowanych na większych farmach, natomiast kosztują czasem 100 proc. więcej.

RÓWNOŚĆ JAJ

Ale wróćmy do jaj. Nie ma bowiem żadnego dowodu na to, że te od kur z klatek są gorsze od tych biegających po podwórzu czy rezydujących na ściółce. Wszystkie mają taki sam skład chemiczny i takie same właściwości odżywcze. Testy smaku też nie dowiodły, że jaja od „szczęśliwych kur” smakują inaczej. Co więcej, są naukowcy, którzy uważają, że jaja z klatek są bezpieczniejsze pod względem zdrowotnym, bo nie zawierają np. dioksyn, które kury mogą wydziobać, chodząc po wybiegu. Tak m.in. twierdzi prof. Jan Niemiec ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jaja klatkowe zawsze też wybiera w sklepie prof. Stanisław Wężyk, specjalista od jaj i hodowli drobiu. Twierdzi, iż wtedy ma gwarancję, że kury jadły wysokiej jakości paszę, że są szczepione oraz nie mają kontaktu z dzikimi ptakami mogącymi roznosić choroby. Jego zdaniem mniej bezpieczny jest chów ściółkowy, gdzie karma miesza się z odchodami. Z ko-

lei kury wolnowybiegowe czy z chowu ekologicznego narażone są na kontakt m.in. z dioksynami lub środkami ochrony roślin, które wiatr może przynieść z okolicznych pól.

W ostatnich latach coraz większą uwagę konsumenci zwracają też na tzw. dobrostan zwierząt. Rośnie liczba

W Polsce prawie 88 proc. jaj produkowanych jest w systemie klatkowym

tych, którzy domagają się np. poprawy warunków transportu czy hodowli. To niewątpliwie słuszny trend, ale warto też zwrócić uwagę na to, że wiele jest przypadków niepotrzebnego epatowania cierpieniem zwierząt hodowlanych. – W telewizji i w internecie mnóstwo jest filmów ukazujących np. kury z poobcinanymi dziobami, stłoczone w klatkach tak, że nie mogą się ruszyć. To manipulacja, bo dziś chów klatkowy wygląda inaczej – mówi Mariusz Szymyślik, dyrektor Krajowej Izby Producentów Drobiu i Pasz.

SZCZĘŚCIE KURY

Jeszcze kilka lat temu fermy drobiu faktycznie przypominały fabryki. Jednak w 2012 r. weszły w życie przepisy unijne, które wymusiły na producentach zmianę klatek na większe i poprawę warunków hodowli. Obecnie na jednego ptaka musi przypadać minimum 750 cm², a klatka musi być wyposażona w grzędę, poidło i drapaki. Ptaki mogą więc grzebać w ściółce, ostrzyć pazury, przeżyć skrzydła itp. Nie ma też dowodu na to, że klatka unieszczęśliwia ptaki. Czy kury cierpią, nie widząc całe życie światła dziennego?

Większość naukowców uważa, że współczesne nioski są efektem wielopokoleniowych krzyżowań międzyrasowych i przez co najmniej kilkadziesiąt ostatnich kurzych pokoleń przystosowały się do takich warunków. Nawet gdy

mogą, nie chcą z kurników uciekać na wybieg. – Żeby zmusić je do wyjścia, hodowcy zakręcają wodę w kurniku, a odkręcają w poidle przy ogrodzeniu – mówi Szymyślik.

W Polsce prawie 88 proc. jaj produkowanych jest w systemie klatkowym. Jeżeli więc sieci handlowe i restauracje w ogóle przestaną kupować jajka z chowu klatkowego, to większość producentów albo upadnie, albo będzie musiała się przestawić na ściółkę lub wolny wybieg. Obydwa te rozwiązania oznaczają ogromne wydatki. Z wyliczeń KIPDiP wynika, że minimalny koszt tej zmiany wynosi 1,2 mld zł (dotyczy to tylko ferm, w których jest powyżej 350 ptaków).

BĘDZIE DROŻEJ

Co to oznacza dla klientów? – Niestety podwyżki – twierdzi Szymyślik. – Fermy będą musiały zaciągnąć kredyt, które będą spłacać przez lata. Wzrost cen jaj będzie związany nie tylko z większą kosztownością alternatywnych metod produkcji jaj, lecz także z inwestycjami, które będą musieli poczynić producenci. Cen jaj nie będzie w stanie zbić nawet najbardziej agresywnie negocjująca sieć handlowa. W związku z tym Krajowa Izba Producentów Drobiu i Pasz sądzi, że nie jest pewne, czy ci, którzy ogłaszają rezygnację z jaj klatkowych, dotrzymają swoich postanowień, gdyż wykluczenie tego typu jaj z wielkopowierzchniowej sprzedaży może skutkować odpływem części konsumentów do handlu małoformatowego.

Decyzje sieci handlowych, hotelowych i restauracyjnych o wycofaniu jaj klatkowych mogą doprowadzić do tego, że Polska z dużego europejskiego eksportera jaj stanie się importerem. Krajowa Izba obawia się, że kiedy polscy hodowcy dostosują się do nowych wymogów handlu i gastronomii, konsumenci mogą dalej poszukiwać najtańszych jaj, co spowoduje, iż w Polsce pojawi się duży import jaj klatkowych, np. z Ukrainy.

I kto najbardziej skorzysta na kurzym szczęściu?

Jadwiga Marcińska

PGNiG oferuje nawet do 3 tys. zł dopłaty na wymianę ogrzewania na gazowe

*PGNiG rusza
z programem dopłat
do wymiany starych
pieców na paliwa stałe
na rzecz ekologicznych
kotłów gazowych.
Zachętą do wyboru
ogrzewania gazowego
ma być dopłata
do nowego pieca
gazowego, a także
– o czym wspominają
przedstawiciele rządu
– powolny spadek cen
gazu*



Fot. PGNiG 1/0418/F

Program PGNiG pod nazwą „Dofinansowanie nawet do 3000 zł” wpisuje się w rządowe działania antysmogowe i prorodzinne, dlatego w konferencji inauguracyjnej, która odbyła się w ubiegły czwartek w Warszawie, wzięli udział minister energii Krzysztof Tchórzewski, minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska oraz pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw programu „Czyste powietrze” Piotr Woźny.

PGNiG od dawna już namawia do wymiany starych pieców na paliwa stałe, będących w polskich warunkach jednym z głównym źródeł smogu, na nowe kotły gazowe. Różne programy trwają już od 2016 r.

– Jeszcze w 2016 r. zaczęliśmy od programu „Czyste źródło korzyści” adresowanego do mieszkańców Krakowa, z którego skorzystało 3 tys. osób – powiedział Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny. – W 2017 r. ruszył program „Przełącz się na gaz”, w ramach którego

współpracujemy z samorządami. Ten program trwa, do końca bieżącego roku chcemy mieć umowy z 60 samorządami, na podstawie których będziemy wspierać wymianę tzw. kopciuchów na piece gazowe – dodał.

Teraz PGNiG rozpoczyna program, który jest wyjątkowy. Spółka zamierza poprzez bezpośrednie dopłaty zachęcać do wymiany kopciuchów na ekologiczne kotły gazowe.

– Dofinansowanie może wynieść nawet 3 tys. zł w przypadku dużych rodzin

oraz 1 tys. zł w przypadku innych klientów – wyjaśnił Henryk Mucha. – Aby uzyskać takie dofinansowanie, należy się przede wszystkim pozbyć starego źródła ciepła, a następnie zakupić piec gazowy – dodał.

PGNiG podkreśla, że program ma charakter pilotażowy i jego kształt w przyszłości może ulec zmianie. Został jednak przygotowany na podstawie badań i – jak przekonują przedstawiciele firmy – kwoty dofinansowania mogą się okazać atrakcyjne dla odbiorców.

– Jako spółka działamy w oparciu o rachunek ekonomiczny i z tego rachunku wynika, że 1 tys. zł to spora kwota wsparcia – powiedział Piotr Woźniak, prezes PGNiG. – Wiemy, że na rynku są programy, w ramach których dopłaca się do rat kapitałowych przy kredycie na zakup pieca gazowego. To są podobne kwoty jak w przypadku naszego programu, ale my dofinansowanie wypłacimy bezpośrednio na konto odbiorcy po pozytywnej weryfikacji wniosku – dodał.

Są także inne korzyści. Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo uruchamiając program wsparcia wymiany pieców węglowych na kotły gazowe, wpisuje się w rządowe działania antysmogowe. Przede wszystkim celem programu jest zmniejszenie smogu generowanego przez indywidualne kotły, których konstrukcja jest już przestarzała, a na domiar złego spala się w nich paliwo złej jakości.

– 22 lutego Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej stwierdził, że Polska nie ustanowiła skutecznego systemu ochrony obywateli przed złym powietrzem – powiedział Piotr Woźny, odpowiedzialny w rządzie za walkę ze smogiem. – To orzeczenie stanowi ostatni dzwonek, musimy poprawić jakość powietrza w Polsce. Przypominam, że na słynnej liście WHO, na której umieszczono 50 miast europejskich o najgorszym powietrzu, znalazły się aż 33 miasta polskie – dodał.

– Mamy prawie 3 mln domów ze starymi kotłami, w których spala się paliwo niskiej jakości, co jest główną przyczyną smogu zimowego – powiedział Krzysztof Tchórzewski, minister energii. – W walce ze smogiem możemy wyko-

rzystać gaz ziemny, który jest paliwem niskoemisyjnym. Prowadzimy działania, aby upowszechnić wykorzystanie gazu w gospodarstwach domowych.

Aby zwiększyć dostępność gazu, konieczne są nakłady na rozbudowę sieci gazowniczej. Jest jeszcze jeden ważny czynnik, czyli cena tego paliwa. Jednym z powodów, dla którego wielu Polaków pali w piecach paliwem złej jakości, jest niski koszt jego zakupu. Gaz zaś jest często droższy. To się jednak ma zmienić.

– Od 2015 r. ceny gazu ziemnego spadły o 11 proc. To są skutki naszych działań. Mało tego, od 1 kwietnia została obniżona cena gazu dla większych odbiorców komunalnych. Te wszystkie kroki oraz działania związane z poprawą jakości węgla sprzedawanego w Polsce

PGNiG, uruchamiając program wsparcia wymiany pieców węglowych na kotły gazowe, wpisuje się w rządowe działania antysmogowe

sprawiają, że jesteśmy coraz bliżej sytuacji, w której ceny gazu oraz paliwa stałego zostaną zrównane – powiedział Tchórzewski.

Akcja PGNiG wpisuje się także rządową politykę wsparcia dla rodzin wielodzietnych. Firma podpisała specjalne porozumienie z Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, dzięki któremu większą kwotę dopłaty do wymiany pieca, czyli owe 3 tys. zł, mogą otrzymać tylko te rodziny, które uzyskały Kartę dużej rodziny.

– Zniżki dla posiadaczy Karty dużej rodziny oferuje już 3,8 tys. firm w ponad 16 tys. lokalizacji. Widać, że polityka wspierania rodziny nie byłaby możliwa bez współpracy z firmami. Dlatego cieszyć się bardzo, że wśród partnerów wspierających duże rodziny pojawił się tak ważny podmiot jak PGNiG – powiedziała Elżbieta Rafalska, minister rodziny, pracy i polityki społecznej.

Program „Dofinansowanie nawet do 3000 zł” wspiera także cele kampanii edukacyjnej pod nazwą „Rodzice i dzieci. Powietrze bez śmieci” prowadzonej przez Fundację PGNiG od listopada ubiegłego roku, adresowanej przede wszystkim do uczniów szkół podstawowych i ich rodziców. Do akcji edukacyjnej przystąpiło blisko 1 tys. szkół i prawie 170 gmin z całej Polski. Najwięcej uczestników zgłosiło się do programu na Śląsku, w Małopolsce i na Mazowszu – czyli z regionów, gdzie problem z jakością powietrza jest największy.

Wszystkie szkoły, które zgłosiły się do programu, otrzymały specjalne zestawy edukacyjne ze scenariuszami lekcji oraz pomysłami na doświadczenia i eksperymenty naukowe dla klas I–III. Trzy placówki, które wykorzystują je w najbardziej kreatywny sposób, otrzymają nowoczesne wyposażenie sal przyrodniczych o wartości 30 tys. zł. Z kolei spośród zgłoszonych gmin Polacy w internetowym głosowaniu wybrali pięć lokalizacji, w których powstaną Naukowe Stacje Zabaw PGNiG, czyli nowoczesne edukacyjne place zabaw o łącznej wartości ponad 500 tys. zł.

– Zaczęliśmy od działań edukacyjnych, ponieważ jesteśmy przekonani, że konsekwentna budowa świadomości ekologicznej jest kluczowa dla oczyszczenia polskiego powietrza. Teraz wykonujemy kolejny krok i oferujemy konkretne wsparcie dla osób zainteresowanych ekologicznym ogrzewaniem gazowym. Jesteśmy przekonani, że jego popularyzacja pozwoli nam wszystkim oddychać czystym powietrzem w przyszłości – powiedział Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny.

Zgodnie z planem obecnie PGNiG rozpoczęło akcję informacyjną, od 2 maja zaś rozpocznie zbieranie wniosków o dofinansowanie. O tym, kto uzyska wsparcie w kwocie 1 tys. lub 3 tys. zł, zdecyduje kolejność zgłoszeń. W przypadku posiadaczy Karty dużej rodziny konieczna będzie także rejestracja. Cały program – o ile nie zostaną wcześniej wyczerpane środki – zakończy się 31 grudnia tego roku.

Marek Siudaj



Fot. NBP

Denar Princes Polonie z czasów Bolesława Chrobrego
– najstarsza zachowana moneta z nazwą Polski

Cenne monety

Monety mają wartość nie tylko nominalną. Wiele z nich to dzieła sztuki o wybitnych walorach artystycznych, historycznych, kolekcjonerskich czy inwestycyjnych.

Ceny najrzadszych sięgają nawet milionów dolarów

Wysoką wartość osiągnęła złota studukatówka Zygmunta III Wazy wybita w 1621 r. w Bydgoszczy. Waży 349,49 grama, ma 7 cm średnicy. W 2008 r., gdy na aukcji Stack's sprzedano ją za 1,38 mln dol., trafiła do kolekcjonera z Niemiec. W styczniu br., podczas Międzynarodowej Konwencji Numizmatycznej w Nowym Jorku, dom aukcyjny Classical Numismatic Group, Inc. sprzedał ją za 2,16 mln dol. Studukatówka Zygmunta III Wazy to najdroższa polska moneta. Autorem stempli był znakomity medalier gdański Samuel Ammon, pochodzący z Szafluzy (niem. Schaffhausen) w Szwajcarii. Do dziś zachowało się tylko kilka oryginalnych egzemplarzy tej monety.

FLORENY I DENARY

Prawdziwych unikatów na rynku jest niewiele. Jednym z nich jest floren Władysława Łokietka. Jego emisja miała miejsce najpewniej w 1330 r., a moneta posłużyła królowi do finansowania wojny z Krzyżakami. Wielkość produkcji szacuje się na parę tysięcy sztuk, z których do dziś zachowała się tylko jedna, pierwotnie wchodząca w skład kolekcji Emeryka Hutten-Czapskiego, przechowywanej obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie. To pierwsza polska złota moneta. Badacze dotarli do informacji o trzech innych okazach, przy czym jeden z nich uważany jest za falsyfikat.

W zaledwie jednym egzemplarzu znany jest srebrny denar Bolesława Chrobrego GNIEZDVN CIVITAS. Całkiem możliwe, że monety takie wybito w 1000 r. z okazji zjazdu gnieźnieńskiego i wraz z innymi darami mógł je otrzymać cesarz Otton III.

Pierwsze miejsce w galerii polskich numizmatycznych sław należy do denara z inskrypcją PRINCES POLONIE (można go oglądać w Centrum Pieniądza NBP), na którym po raz pierwszy pojawił się zapis nazwy naszego kraju. Od czasu do czasu, gdy któryś z egzemplarzy tej monety pojawia się na aukcjach, kosztuje od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Cena zależy przede wszystkim od stanu jej zachowania, tj. stopnia czytelności napisów i wyobrażeń.

Pojawienie się polskich unikatów zawsze wywołuje poruszenie na rynku. Ich ceny są wysokie, a walka o wystawione do sprzedaży monety bywa zażarta. Tak było w 2012 r., gdy pojawił się jedyny istniejący dukat koronny Stefana Batorego z 1586 r., którego cena wywoławcza wynosiła 500 tys. zł, a egzemplarz sprzedano za 816,5 tys. zł. Półportugał (5 dukatów) koronny Zygmunta III Wazy z 1621 r. kupiono za 897 tys. zł.

Wiele cennych i unikalnych numizmatycznych dzieł ma na swoim koncie powojenna Polska, takich jak złota moneta o nominale 200 zł upamiętniająca XIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Wyemitowana w 1995 r. w nakładzie 500 sztuk była sprzedawana po 780 zł, a dziś trzeba za nią zapłacić ponad 20 tys. zł. Moneta o nominale 200 zł wyemitowana na 20-lecie Solidarności w 2000 r. kosztuje dzisiaj ponad 5 tys. zł. Popularny Szlak bursztynowy o nominale 20 zł z oksydowanego srebra z osadzonym dużym bursztynem (wyemitowany w nakładzie 30 tys. egzemplarzy), wprowadzony do obiegu w 2001 r., wyceniany jest dzisiaj nawet na ponad 1 tys. zł. Srebrną monetę z Zygmuntem II Augustem (półpostać) o nominale 10 zł z 1996 r. można było kupić w dniu emisji za 38 zł, natomiast dziś jest warta prawie 2 tys. zł. W podobnej cenie sprzedawana jest ta przedstawiająca Stefana Batorego (półpostać) o nominale 10 zł, z 1997 r.

DLA KOLEKCJONERÓW

Ocenie monet decydują przede wszystkim: rodzaj stopu, próba i nakład, wiek oraz liczba zachowanych egzemplarzy i ich stan. Próba, czyli zawartość metalu szlachetnego w składzie monety, istotna jest w przypadku monet kruszcowych. Próba 999 oznacza, że moneta zawiera 99,9 proc. czystego kruszcu, a próba 999,9 (odpowiadająca 24-karatowemu, czyli najczystszeemu złotu) zawiera 99,99 proc. złota i tylko 0,01 proc. domieszek (to najwyższy stopień czystości kruszcu).

Ocenę jakości monet nazywa się gradingiem. Ocenia się zarówno monety współczesne, jak i historyczne, odnotowując uszkodzenia mechaniczne, stan polysku, uszkodzenia podczas czyszczenia (mycie monet pogarsza ich stan, tak samo jak czyszczenie chemiczne). Grading kończy się wydaniem certyfikatu jakości.

Stan zachowania monet podaje się według precyzyjnej skali. Wyróżnia się w niej – według informacji zamieszczonej na stronie NBP (http://www.nbp.pl/home.aspx?f=/banknoty_i_monety/abc_kolekcjonera/na_poczatek.html) – siedem stanów zachowania monet:

I – stan menniczy (SM) – dotyczy monet, które nigdy nie były używane jako środek płatniczy, nie są naznaczone żadnymi uszkodzeniami. Dla monet lustrzanych (charakteryzujących się silnie błyszczącym tłem i matowym rysunkiem) w stanie I istnieje analogiczny stopień – Stan lustrzany (L).

II – stan znakomity (ZN) – to monety z nieznacznymi uszkodzeniami powstałymi w mennicy w trakcie produkcji lub w czasie transportu, nie powinny nosić znamion użytkowania; nie były przeznaczone do obiegu lub zostały z niego wycofane przed trafieniem na rynek.

III – stan bardzo piękny (BP) – dopuszczalne nieznaczne uszkodzenia wynikające z zużycia w obiegu: drobne rysy, nieznaczne starcie wyższych partii rysunku, małe uszkodzenia brzegów.

IV – stan piękny (P) – dotyczy monet z dość znacznymi śladami zużycia, które nie mają jednak wpływu na czytelność konturów rysunku.

V – stan bardzo dobry (BD) – to monety o znacznym zużyciu; pojedyncze litery legendy i niektóre detale rysunku są nieczytelne; nadal daje się określić monetę, jednak niektórych danych nie można już odczytać. Data lub jej część może już nie być czytelna, podobnie znak mennicy może nie być rozpoznawalny.

VI – stan dobry (DB) – znaczna część rysunku i legendy jest nieczytelna; można określić monetę na podstawie doświadczenia i porównywania z literaturą przedmiotu, także wagi, średnicy, metalu oraz kontekstu znaleziska (w przypadku znalezisk archeologicznych).

VII – stan zły (Z) – dotyczy monet, których stan uniemożliwia ich jednoznaczną identyfikację.

Dodatkowym kryterium jest jakość wybicia monety – istotna przede wszystkim dla monet zabytkowych, wykonanych przy użyciu ręcznych stempli lub prymitywnych maszyn menniczych.

MONETY JAK LOKATA

Na rynku numizmatycznym funkcjonują również monety bulionowe (uncjowe), które należy odróżnić od kolekcjonerskich. Są to monety lokacyjne, bite w celach inwestycyjnych – złote, srebrne lub platynowe.

Najbardziej znane monety lokacyjne (bulionowe) to południowoafrykański Krugerrand, Wiedeńscy Filharmonicy, Liście Klonowe z Kanady, Australijskie Kangury czy Koala, Amerykańskie Orły (wszystkie można oglądać w Centrum Pieniądza NBP).

Krugerrand emitowany jest od 3 lipca 1967 r. Przez 13 lat był bito jako moneta jednouncjowa, w kolejnych latach wprowadzono jej frakcje o masie 1/2, 1/4 i 1/10 uncji. Jego nazwa nawiązuje do postaci Paula Krugera, prezydenta Republiki Południowoafrykańskiej pod koniec XIX w. oraz aktualnej waluty Republiki Południowej Afryki o nazwie rand. W Krugerrandzie do uncji złota dodawane są 3 gramy miedzi, dzięki czemu moneta jest bardziej odporna na uszkodzenia, a także ma czerwony odcień.

Wiedeńscy Filharmonicy to z kolei dobrze rozpoznawalna moneta lokacyjna pochodząca z Europy. Bita przez Münze

Österreich od 1989 r. w szylingach, w 2002 r. stała się pierwszą monetą bulionową wyemitowaną w euro.

Amerykański Orzeł (American Eagle) bity jest od 1986 r., na jego wagę składa się uncja czystego złota (lub jej frakcja) i domieszka srebra oraz miedzi. Stany Zjednoczone rozpoczęły bicie Amerykańskiego Orła, by przeciwstawić się konkurencji monet bulionowych z innych krajów, przede wszystkim kanadyjskiego Liścia Klonu i południowoafrykańskiego Krugerranda.

Królewska Mennica Kanady wprowadziła Kanadyjski Liść Klonowy w 1979 r. W okresie polityki apartheidu w Afryce stał się on alternatywą dla Krugerranda. W 2014 r. moneta została dodatkowo zabezpieczona przed próbami podrobienia jej poprzez dodanie laserowo wygrawerowanej miniatury liścia. Liść Klonowy uchodzi obecnie za najlepiej zabezpieczoną monetę na świecie.

Jednouncjowe monety bulionowe – Krugerranda, Wiedeńskich Filharmoników, Amerykańskiego Orła czy Kanadyjskiego Liścia Klonowego – można dziś kupić w granicach

4,6–4,8 tys. zł (według danych z połowy marca br.). W podobnych cenach są inne monety bulionowe, np. złota moneta Britannia, bita przez Mennicę Królewską Wielkiej Brytanii, Chińska Panda, Amerykański Bizon czy Australijski Kangur (wszystkie można obejrzeć w Centrum Pieniądza NBP). Ich wartość zależy przede wszystkim od notowań złota.

W przypadku monet bulionowych ważna jest ich rozpoznawalność, a także renoma mennicy, w której są one bite. Te cechy decydują o tym, jak łatwo je sprzedać po odpowiedniej cenie, która stanowi także wypadkową masy i próby kruszcu oraz jego ceny i kursu dolara amerykańskiego. Monety bulionowe mają pewne właściwości monet kolekcjonerskich, są estetyczne, a ich wykonanie i koncepcja artystyczna upodabnia je do dzieł sztuki.

LUDZIE I WYDARZENIA NA MONETACH NBP

W Polsce można kupić zarówno monety kolekcjonerskie, jak i bulionowe (uncjowe). Są one dostępne w sklepach nu-



CENTRUM PIENIĄDZA NBP IM. SŁAWOMIRA S. SKRZYPKA W WARSZAWIE

Sala stylizowana na halę produkcyjną, w której można zobaczyć, jak powstaje pieniądz. Kameratele gabinet numizmatyczny z najcenniejszymi monetami. Warsztat pracy projektantów tworzących numizmatyczne arcydzieła. A także to, co wiąże się z pieniądzem i z jego historią: od antyku po średniowiecze i czasy współczesne.

Wszystko to można zobaczyć w Centrum Pieniądza NBP – placówce edukacyjno-wystawienniczej działającej od 2016 r. Centrum powstało z inicjatywy prezesa NBP – Sławomira S. Skrzypka, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Jest to nowoczesne, interaktywne miejsce spotkania z pieniądzem w każdej jego postaci – od najstarszych monet po bankowość internetową. W Centrum można zajrzeć do wnętrza bankomatu, dowiedzieć się, co to jest tymf, trojak i portugal, dotknąć sztabki złota, uderzyć w dzwon oznajmujący początek i koniec sesji giełdowej, sprawdzić autentyczność banknotów, obejrzeć filmy związane ze światem finansów, a także wziąć udział w strategicznych grach ekonomicznych.

Centrum Pieniądza NBP mieści się w siedzibie Narodowego Banku Polskiego w Warszawie, przy ul. Świętokrzyskiej 11/21. Placówka jest otwarta codziennie oprócz poniedziałków w godz. 10.00–18.00, w czwartki w godz. 10.00–20.00.

Wstęp jest bezpłatny.

Więcej informacji na www.cpnbp.pl.

mizmatycznych, a także na aukcjach. Nowe emisje najlepiej kupować bezpośrednio u emitenta, czyli w przypadku Polski w NBP.

Narodowy Bank Polski emituje dwa rodzaje monet: pierwsze, powszechnego obiegu, bite są w wysokich nakładach. Ich wartość określa nominal. Do tej grupy należą również obiegowe monety okolicznościowe – pięcio- i dwuzłotowe. Dwuzłotówki ze stopu Nordic Gold były emitowane do 2014 r. Druga grupa to monety kolekcjonerskie, o niskich nakładach, przeznaczone głównie dla krajowych i zagranicznych numizmatyków. Często emitowane są w seriach poświęconych ważnym wydarzeniom z polskiej historii, kultury i sportu. Na przykład w zeszłym roku w kwietniu srebrna moneta o nominale 10 zł rozpoczęła cykl „Wielcy polscy ekonomiści”. Pierwsza z tej serii moneta wyemitowana w nakładzie do 15 tys. sztuk została poświęcona Mikołajowi Kopernikowi, który był nie tylko wybitnym astronomem, lecz również współautorem udanej reformy monetarnej. Natomiast 24 kwietnia wejdzie do obiegu kolejna moneta z tej serii – Fryderyk Skarbek.

Serię „Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni” wprowadzono dla uczczenia bohaterskich czynów antykomunistycznego, niepodległościowego podziemia. Pierwsza z tej serii moneta ukazała się w lutym 2017 r. – Żołnierze Niezłomni, następnie upamiętniająca Danutę Siedzikówną ps. Inka, Witolda Pileckiego ps. Witold, Feliksa Selmanowicza ps. Zagończyk, Henryka Głapińskiego ps. Klinga oraz – w lutym 2018 r. – Augusta Emila Fieldorfa ps. Nil. 5 grudnia ma wejść do obiegu kolejna, poświęcona Hieronimowi Dekutowskiemu ps. Zapora.

Na ten rok, na 30 października, zaplanowano emisję monety z serii „Stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości”, poświęconą Ignacemu Janowi Paderewskiemu. Cykl ukazuje się od listopada 2015 r. Pierwsza moneta była



Monety z serii „Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni”



Moneta Mikołaj Kopernik z serii „Wielcy polscy ekonomiści”

poświęcona Józefowi Piłsudskiemu, następnie Józefowi Hallerowi i Romanowi Dmowskiemu. Monety wykonane są ze złota (o nominale 100 zł) i srebra (10 zł).

Pod tematem „100. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości” pojawi się 7 listopada 2018 r. złota moneta o nominale 1 zł (nakład 1 tys. sztuk), złota moneta o nominale 2018 zł (!) i nakładzie 100 sztuk, oraz srebrna stużłotówka o nakładzie 1 918 egzemplarzy (!). Dwie ostatnie będą miały kształt kuli.

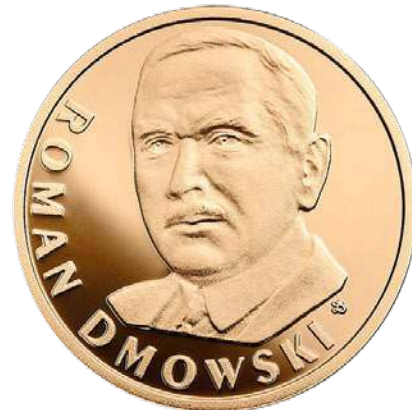
Wszystkie monety – zarówno kolekcjonerskie, jak i okolicznościowe – emitowane przez NBP są prawnym środkiem płatniczym w Polsce. Ich siłę nabywczą określa umieszczony na

nich nominal. Niezależnie od wysokości nominalu monety te mają wartość kolekcjonerską, którą określa wolny rynek numizmatyczny.

NBP emituje również monety bulionowe, np. Orzeł Bielik (można ją obejrzeć w Centrum Pieniądza NBP). Cena monety jednouncyjowej o nominale 500 zł waha się obecnie w granicach 5,1 tys. zł (dane z połowy marca 2018). W ub.r. NBP wyemitował w sumie 1,5 tys. sztuk Orła Bielika (od 1/10 do 1 uncji), a od początku serii, czyli w latach 1995–2017, 102,3 tys. sztuk.

Artur Kliski

Monety z serii „Stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości”



Gęsi gęgawy

100 tys. dzikich gęsi



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Bezkresne rozlewiska przykrywają przymarznąłą ziemię, zewsząd dobiega klangor żurawi i gęganie wszechobecnych dzikich gęsi. Zjawiskowo wyglądające czaple białe przechadzają się po płytkiej wodzie. Ponad nimi krążą potężne bieliki, czekając na okazję do polowania. To niezwykle sanktuarium przyrody znajduje się w Polsce

Jest lekki przymrozek. Na miejscu docieram przed świtem, żeby nie płoszyć ptaków. Tylko wataha dzików zrywa się przede mną i pędzi, rozchlapując wodę, w stronę niewidocznego o tak wczesnej porze lasu. Kiedy chwilę później przechodzę przez to miejsce, czuć jeszcze mocny dziczy zapach.

W tym zakątku Polski koncentracje ptaków każdego roku sięgają kilkuset tysięcy osobników. Widok jest absolutnie niewiarygodny. Szczególnie podczas przelotów i na zimowiskach. Gatunki bardzo rzadkie, gdzie indziej niespotykane, których widok wywołuje u ornitologa radość i drżenie, na tych rozlewiskach występują masowo. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, widać przelatujące, niekończące się klucze dzikich gęsi – specjalność tego miejsca.

To Park Narodowy „Ujście Warty”, niezwykle zakątek, w którym Warta i Postomia łączą się szeroko rozlewającymi się wodami z Odrą.

CZAT Z BIELIKIEM

Jest szósta. Czatuję już od ponad godziny. Z kim? To staromodne czatowa-

nie, więc raczej: na co. Po prostu siedzę w małej drewnianej czatowni na rozlewiskach i czekam.

Powoli robi się jasno. Niedaleko na bezlistnej o tej porze roku wierzbie siedzi bielik – drapieżnik o niemal dwupółmetrowej rozpiętości skrzydeł. Obserwuje okolice podobnie jak ja. Dorosłe ptaki ubarwione są ciemnobrązowo, z jaśniejszą głową, czysto białym ogonem i wielkim, żółtym, świecącym się z daleka dziobem. Ten to młody ptak, jest jeszcze bardziej brunatnoszary. Co roku przy ujściu Warty do Odry zimę spędza kilkadziesiąt olbrzymich bielików, korzystających z wielkiej ilości ptaków, na które polują.

Dookoła mnie rozlewiska i poranna mgiełka, w której majaczą ruiny zamku joannitów w Słońsku – ten widok nie zmienił się nic a nic od początków XV w., kiedy rycerze-zakonnicy przybyli w te strony.

Z HISPANII ZA KOŁO POLARNE

Gęsi większość życia spędzają w drodze. Gęgawy i gęsi zbożowe, które pasą się wokół mojej czatowni, jeszcze niedawno zimowały na ciepłych andaluzyj-

skich mokradłach El Rocío. Niedługo większość z nich polecą dalej na północ. Najwytrwalsze dotrą aż za koło podbiegunowe, by założyć tam gniazda. W Polsce na sezon lęgowy zostanie niewiele. Ale teraz wszystkie są tu, nad rzeką Wartą.

Kiedy słońce wstało już na dobre, wśród ptaków zaczyna się żywienie. Co chwilę przelatują klucze gęsi liczące po kilkaset ptaków każdy. Kiedy takie stado zrywa się do lotu, harmider, plusk i szum skrzydeł jest niewiarygodny – tym bardziej że tych stad nie sposób policzyć. Pośród gęsi dostrzegam też rzadkie gatunki kaczek: gągoły, ohary, bielaczki i kontrastowo białe labędzie.

W pewnym momencie bielik zrywa się z gałęzi. Leci nisko nad ziemnowodnym światem, a przerażone gęsi podrywają się w powietrze. Niedaleko przechodzi rudel saren. Ta obfitość zwierząt, mnogość, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni, sprawia, że czuję się, jakbym był na safari. Chyba tak wyglądał świat, zanim pojawił się na nim człowiek.

Kiedy poprzedniego dnia szedłem Betonką – starą drogą z płyt, prowadzącą w głąb rozlewisk, na drewnianej



Kąbedzie nieme



Balet żurawi

wiecie zobaczyłem znaki wielkiej wody. W czasie powodzi 1997 r. woda była jeszcze o dwa metry wyższa. Okolice musiała wyglądać jak małe śródlądowe morze.

MESSERSCHMITT I TEMPLARIUSZE

Korzystając z zamieszania, jakie wywołał bielik, schodzę z czatowni i wracam przez rozlewiska. Co chwilę przelatują mi nad głową gęsi, a spod lasu słyszę donośne, trąbiące „krurrr!” – to żurawie. Przyroda jest wszechobecna, nawet w centrum niedalekiego Słońska, kiedyś miasteczka, dziś wioski i stolicy tych rozlewisk, niewysoko nad zabudowaniami krążą dwie piękne kanie rude. Dzięki charakterystycznie wciętym ogonom wyglądają trochę jak jaskółki, ale o półtorametrowej rozpiętości skrzydeł. Jestem w przyrodniczym raju.

Pomimo lekkiego amoku, w jaki wpadłem, udaje mi się zwrócić uwagę, że poza przyrodą jest tu jeszcze coś frapującego. Na przykład: mała wieś Chwarszczany, kilkadziesiąt kilometrów od Słońska. Trochę domów, pola, lasy. A pośrodku co? W tej sielskiej większości stoi XIII-wieczny kościół templariuszy, z jedyne w swoim rodzaju malowidłami w stylu francuskim. W drodze powrotnej z Chwarszczan, przed Kostrzynem, zatrzymuję się przy leśnej drodze, idę kilkaset metrów

w głąb lasu i nagle napotykam fabrykę – według miejscowych pogłosek Messerschmitta. Cała wydrążona wewnątrz góra, zabudowana korytarzami w stylu neogotyckim i zamaskowana lasem. Podobno z fabryki dało się przedostać ciągnącymi się kilometrami podziemnymi korytarzami na drugą stronę Odry. W czasie walk z Armią Czerwoną

Ta obfitość zwierząt, mnogość, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni, sprawia, że czuję się, jakbym był na safari. Chyba tak wyglądał świat, zanim pojawił się na nim człowiek

przechodziły tamtędy oddziały niemieckie. Kiedy Rosjanie nie spodziewali się już ataku, nagle pojawiali się Niemcy. Mieli utrzymać teren i przeprawę przez Odrę za wszelką cenę. Dużo krwi zabarwiło rzekę.

Tajemnice podziemnej fabryki do dziś nie zostały wyjaśnione, a jeszcze wiele lat po wojnie ludzie ginęli tam w niewyjaśnionych okolicznościach. Miejscowy rolnik, u którego się zatrzymałem, opowiadał mi, że kiedy w latach

70. odbywał służbę wojskową, zdarzało mu się stać na warcie niedaleko fabryki. Kiedy nadchodziła północ, pomimo że nie był sam, a wszyscy żołnierze byli uzbrojeni, nikt z nich nie mógł opłonić narastającego irracjonalnego strachu.

I jeszcze położony tuż nad Odrą Kostrzyn. Był kolejno słowiański, niemiecki, szwedzki, francuski, rosyjski i polski. W czasie II wojny światowej zrównano go z ziemią. I tak już został. Nikt go nie odbudowywał. Równo wytłoczone ulice, z których zostało trochę bruku, pomiędzy kwartałami domów zburzonych do fundamentów – wygląda to tak, jakby miasto z trójwymiarowego stało się dwuwymiarowe. Stosy wielkich, ciężkich cegieł. Nowy Kostrzyn zbudowano obok.

Na dziś tyle zabytków, wracam do obserwowania gęsi, to dla nich przede wszystkim tu przyjechałem.

Aktualną liczebność gęsi i żurawi w Parku Narodowym „Ujście Warty”, które liczone są trzy razy na miesiąc, a także poziom wody na rozlewiskach można sprawdzić na stronach parku. Chociaż w tytule użyłem liczby 100 tys., jako okrągłej i dobrze brzmiącej, w szczycie sezonu w parku narodowym liczebność dzikich gęsi różnych gatunków, przede wszystkim gęsi zbożowej, gęgawy i białoczelnej, ale także gęsi krótkodziobej, malej i rozmaitych bernikli, dochodzi nawet do 200 tys.

Smaków mi nie brakuje



Przed wszystkim lubię różnorodność. I lubię próbować różnych rzeczy. Z tego powodu lubię podróżować, bo w nowych miejscach próbuję dań i produktów, których bym nie spróbowała tutaj, w Polsce. Lubię też czasami, niestety, zaryzykować. Nie zawsze się to sprawdza.

Na co dzień stosuję dietę eliminacyjną. Nie jem glutenu ani laktozy. Niektórym może się to wydawać zbyt restrykcyjne i mocno ograniczające przy tworzeniu menu, ale nauczyłam się już tak z tym żyć i tak operować innymi składnikami (bardzo lubię gotować), że naprawdę smaków mi nie brakuje.

Nie stosuję diety, żeby się odchudzić. Słucham organizmu i w zależności od tego, jak wygląda moje życie, daję mu to, czego potrzebuje. Jeżeli np. przygotowuję się do zawodów sportowych, jedzenie staje się bogatsze w węglowodany, białka itd. Ale byłam też w pewnym okresie weganą (i to bezglutenową), co odpowiadało mi pod wieloma względami, ale zrezygnowałam z powodów zdrowotnych. Ważne są dla mnie wyniki badań krwi. W zależności od tego, jak wyglądają, dostarczam organizmowi potrzebnych składników. Oczywiście w jedzeniu, żeby nie trzeba było brać leków.

Kiedy zdarza mi się – jak teraz – czas wielkiej zajętości, zabiegania; gdy nie mam możliwości, by sobie gotować (a bardzo dbam o to, by jeść systematycznie, bo nie cierpię być głodna – wtedy nie myślę, nie funkcjonuję, jak należy, po prostu się ze mną nie pogada), wspieram się cateringiem. Tylko w ciągu tygodnia, bo w weekendy zawsze gotuję sama. Robię dania, na które mam ochotę. Pizzę też (oczywiście bezglutenową). Mogą być również np. gołąbki.

Ze słodkości, jak zresztą i moja mama, najbardziej

lubię... śledzie. Nie potrzebuję słodczy, nie sięgam po nie, żeby sobie poprawić nastrój. Kiedy pojawia się stres, zamiast zająć go, wolę iść na trening. Świetnie rozładowuje napięcie i dodaje energii. A jeśli siedząc nad jakimś ważnym pismem poczuję potrzebę przegryzienia czegoś, wybieram orzechy. Najbardziej lubię nerkowce.

Mój pierwszy zapamiętany smak z dzieciństwa? Skojarzenie, które przychodzi natychmiast: chleb z masłem i cukrem. Wtedy tak się jadło. Pamiętam też zapach ciastowej „zebry” pieczonej w prodiżu.

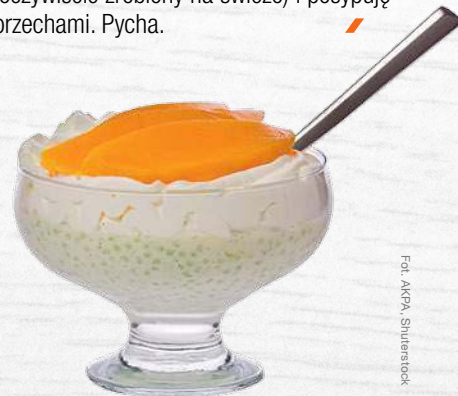
Od przyjaciół, którzy zapowiadają się z wizytą, dostaję często zamówienia na... sernik. I robię: glutenowy, laktozowy, pieruńsko tłusty i słodki. Podobno pyszny, ale ja go nie jem. Naprawdę mnie nie ciągnie. Jeśli mam ochotę na deser, sięgam po tapiokę i mleko kokosowe (podaję przepis). 

Notowała

Jolanta Gajda-Zadworna

Pudding z tapioki

Tapiokę [skrobia z bulwy manioku w formie małych, białych kulek – przyp. red.] zalewam mlekiem kokosowym. Wstawiam na całą noc do lodówki. Po wyciągnięciu dodaję np. mus z mango albo truskawek (oczywiście zrobiony na świeżo) i posypuję orzechami. Pycha. 



Fot. APFA, Shutterstock

SŁODKO-SŁONY

Szarlotka z kielbasy

Fot. Anna Monicka

ANNA MONICKA

Jak zjeść kielbasę, ale się nie przejeść? Zgodnie z dietą zwaną JP, czyli jedz połowę. Będzie nie mniej smacznie, porcja wcale nie mniejsza, tyle że mięso zastąpimy warzywami. Gotowi na eksperyment?

Białej kielbasy zostało pewnie w każdym domu pod dostatkiem. Jedni nagotowali na niej smak do żuru, inni po prostu odmówili współpracy przy stole, bo nie dali rady więcej zjeść i sam widok tłustego serdelka jest im niemiły. Mój patent sprawi, że znów zerkną na niego łakomym okiem.

Krok pierwszy – kielbaski kroimy wzdłuż na połówki i nacinamy na grzbiecie, a potem układamy z nich gwiazdę w formie do tarty nacięciami do góry. Na spód możemy położyć plastry surowej cebuli lub jabłek. Krok drugi – kroimy w piórka pięć niezbyt ostrych cebul i delikatnie podsmażamy, najpierw na suchej patelni, potem z odrobiną masła klarowanego. Dosypujemy garść majeranku i podduszamy wszystko pod przykryciem. Solimy i pieprzymy z wyczuciem, a gdy cebulka będzie miękka, ale nie przypieczona (to ważne, bo przypalona robi się gorzka i psuje smak dania), układamy ją na połówkach kielbasek.

Teraz czas na jabłka – to krok trzeci. Trudno o tej porze znaleźć kwaśne, ale warto poszperać na straganach. Mnie udało się upolować szare renety – kruche, lekko cierpkie i idealne do wszelkich mięsnych zapiekanek. Wycinamy z nich gniazdko nasienne i kroimy w cieniutkie plasterki razem z wonną skórą, a te potem na połówki. Potrzebujemy kilkudziesięciu takich półksiężyców. Trzeba je skropić oliwą, posypać solą i odrobiną cukru trzcinowego albo – jeszcze lepiej – połączyć sosem z miodu i jakiegoś pachnącego alkoholu, na przykład winiaku lub brandy, i wymieszać, żeby były nasmarowane dokładnie przyprawami. Inaczej w pieczeniu podeschną. Układamy z nich na cebulce taki wzorek, jaki zwykle robimy na jablecznikach, a więc dekoracyjnego ślimaka. Częstki powinny na siebie zachodzić. Pieczemy ok. godziny w 140 st. C, aż warzywa i kielbaski puszczą sok, a jabłka się ładnie zezłocą. Podajemy zaraz na stół. Zaręczam, że goście oszaleją ze szczęścia. U mnie taka potrawa zawsze robi furorę – na początku nikt nie wierzy, że pachnący jabłkami i winiakiem placek, pokryty ładnie skarmelizowanymi jabłkami, to patent na zwykłą kielbasę.



WINNICA MAZURKA

Fot. Shutterstock

Na pohybel młynom

ROBERT MAZUREK

Ztym licznikiem jest jak z narodzinami Jezusa. Niby wszyscy wiemy, że nie urodził się 25 grudnia 1 roku, ale tak się jakoś przyjęło. A mnie właśnie komputerowy licznik wybił 300 i też z tym polemizować nie będę. Skoro tak, to przyjmijmy, że to jubileuszowa, trzechsetna „Winnica Mazurka”. I od razu powiedzmy, że nie moja osoba wymyśliła tę absurdalną nazwę, ale tak jakoś w śp. „Uważam Rze” wyszło.

Zabrałem się do pisania o winie, bo lubię. To znaczy bardziej lubię wino, niż pisać, ale to detal. I zamysł był taki, żeby czytali to ludzie niekoniecznie pasjonujący się winem, raczej ci pijący je bez nabożnego doń stosunku. I na początek chyba się trochę napinałem, żeby pokazać, że nie kiej, że wiem, o czym piszę. Szybko zostało to ukarane najbardziej absurdalnym chochlikiem, który z Rodanu zrobił Ren. I choć geograficznie rzeki te dzieli raptem kilkaset kilometrów, to winiarsko są to antypody. I na nic me starania, wyszedłem na cymbała, i tak już zostało.

Pytany, dlaczego piszę o winie, chowam się za cytatami, za Belą Hamvasem mówiącym: „Ostatecznie pozostaną dwie istoty: Bóg i wino” czy moim znajomym, który, gdy oferowano mu w restauracji wodę, odrzekł: „Nie, dziękuję, już kiedyś próbowałem”, choć akurat moja osoba zwykle ucieka do „Colasa Breugnona” i nieśmiertelnego zdania, iż „Święty Marcin pije wino, wodę pozostawia młynom”. A przecież mnie w winie najbardziej interesują ci wszyscy święci mnisi, bez których współczesnego winiarstwa by nie było. I nie tylko jego.

Zapraszałem i zapraszam państwa nie do opijania się winem ponad miarę, ale do degustowania i cieszenia się nim. Nim i kompanią, bo to bardzo społeczny trunek. Sam dzięki niemu poznałem wielu wspaniałych ludzi, kilku cudownych winiarzy śmiem nazywać swoimi przyjaciółmi, a podróżowanie też jakoś łączy mnie się z winem.

Szanowni państwo, do zobaczenia gdzieś w uroczej knajpce, na zdrowie! I dziękuję, że chciało się wam mnie czytać.

robert.mazurek@hotmail.com, [@wina_Mazurka](#)

Po koniec tzw. pierwszego PiS, latem 2007 r., wykupiłem wczasowy w jednym z rządowych ośrodków. Był pięknie położony, ale czasy świetności miał za sobą. Żaden cud świata, choć i ładnie, i odludnie.

I towarzystwo ciekawe, wśród innych ówczesnych rządzących koledzy jeszcze z NZS albo z późniejszych moich publicznych zaangażowań. Akurat Samoobrona wypadła z rządu, premier Kaczyński w trybie nagłym obsadzał wakujące stanowiska i dwoje współwczasowiczów, wiceministrów, musiało skrócić pobyt, żeby zostać pełnymi ministrami. Jeden z nich, poległy potem w Smoleńsku Władek Stasiak, został wezwany tak alarmowo, że nie zdążył wrócić na plażę po rzeczy, które – wychodząc na obiad – zostawił w grajdole. A wśród tych rzeczy były ręczniki należące do ośrodka, więc publiczne, i fakt nieumyślnego może nie aż przywłaszczenia, ale jednak nierozliczenia się z tym publicznym dobrem zatrul ostatnie chwile pobytu w hotelu nowego ministra spraw wewnętrznych. „Oddajcie na recepcję moje ręczniki! Pamiętacie – oddajcie ręczniki!” – wołał jeszcze z uwożącego go samochodu do odprowadzających kolegów.

Chwilę wcześniej albo później porozmawiałem sobie z obsługą ośrodka. I dowiedziałem się, że dopiero za pisowskiej władzy po raz pierwszy zobaczyła ona polityków naprawdę rządzących, rangi wiceministrów, a nawet ministrów. Za poprzedników, jeśli ktoś z uprawnionych do znizonych rządowych stawek tam przyjeżdżał, to byli to urzędnicy znacznie niższego szczebla. „No jasne – składowała tę informację jeden z obecnych w ośrodku kolegów – wtedy członkowie ekip rządzących nie musieli się zniżać do rządowych ośrodków za przysługujące im niskie stawki. Oni przecież po prostu mieli pieniądze skądinąd, mogli sobie wyjeżdżać prywatnie, gdzie chcieli”.

Skąd ci SLD-owcy i liberalowie, też pracujący przecież od zawsze na państwowym (lub samorządowym) za formalnie te same wynagrodzenia, mieli pieniądze na bardziej luksusowe wakacje? Pewnie z powietrza.

A pisowscy ministrowie cieszyli się ze zniżek. I dbali o oddawanie ręczników...

Ta historia przypominała mi się, kiedy zaczęła się „afera” pt. „Skandaliczne” premie dla członków rządu. Postanowiłem opisać epizod sprzed dekady, bo przecież jest coś (co ja mówię: „coś”? Jest sporo) w popularnym w formacji IV RP przekonaniu, że poprzednicy nie przyznawali sobie premii

Ręczniki krzyżowców

PIOTR SKWIECIŃSKI



Robienie znaku firmowego z ascezy ma konsekwencje

bo po prostu nie były im tak bardzo potrzebne. Albo dlatego, że wprost kradli, albo dlatego, że piastowanie stanowisk było dla nich elementem popłatnej drogi życiowej, polegającej na symbiozie polityka czy urzędnika – będącego poprzez podejmowane przez siebie decyzje i zaniechania twórcą prawnego i praktycznego otoczenia dla wielkiego biznesu – z tymże biznesem, który po zakończeniu ka-

dencji potrafił docenić poczynione w jej trakcie starania.

W Polsce milcząco akceptowano (to zresztą tylko wyćinek zjawiska szerszego, nieformalnej umowy społecznej, w której myśl wszystko, co publiczne, miało być złe i redukowane na rzecz tego, co prywatne) takie standardy. A jednocześnie i media, i zdecydowana większość opinii reagowały histerią na wszelkie przymierzanie się do zwiększenia żalonych (patrząc z punktu widzenia ludzi wykształconych, na czymś się znających i żyjących w metropoli) stawek, którymi opłaca się rządzących. Co mógłbym uznać tylko za przejaw zdumiewającej głupoty lub hipokryzji, gdyby nie to, że wszystko, w tym głupota i hipokryzja, dawno przestało mnie zdumiewać.

Ale to tylko jedna strona medalu.

Bo jest i druga. A jest nią gorliwie w okresie pozostawania w opozycji uczestniczenie PiS w podtrzymywaniu opisanego w poprzednim akapicie klimatu. Jest robienie sobie znaku firmowego z własnej już nawet nie uczciwości, tylko jakiejś ascezy. Jeśli uczestniczyło się w kreowaniu atmosfery moralnej zgrozy wobec takiej np. wypowiedzi ówczesnej minister

Elżbiety Bieńkowskiej o tym, że „za sześć tysięcy pracuje tylko idiota albo złodziej” (Bieńkowskiej chodziło o pracę na stanowisku wiceministra; w rozmowie towarzyskiej wypowiedziała się zbyt uogólniająco; istnieje bowiem trochę ludzi uczciwych i inteligentnych, których przez pewien czas potrafi napędzać czyste poczucie misji, ale przecież zwróciła uwagę na realny problem), no to teraz płaci się za ukształtowane przez samego siebie oczekiwania elektoratu. A ponieważ znakiem firmowym PiS jest uczciwość, a standardy tej cnoty sama partia wywindowała na wyżyny, jak powiedziałem, już nie uczciwości polegającej na przyzwoitości, tylko zakonnej niemal ascezy, to gdy teraz – nie przekraczając granic uczciwości – porzuca się ascezę, to płaci się tym bardziej.

A już próba obrony przez atak, wykorzystania sytuacji do zaatakowania opozycji (której, gdy rządziła, uczciwość istotnie, łagodnie mówiąc, nie była mocną stroną, tylko co z tego?) świadczy o zupełnym niezrozumieniu sytuacji psychologicznej. Bo czegoś innego elektorat oczekuje od krzyżowca, a czegoś innego – od właściciela lupanaru.

Rosja filarem nie(porządku) w Europie

Nikt już nie wierzy w dobre zamiary Rosji, z wyjątkiem oczarowanych Marksem, Engelsem i Leninem intelektualnych elit Francji oraz jej pogubionych w odmętach globalizacji celebrytów, że wymienię wybitnego aktora Gérarda Depardieu, który porzucił swój kraj z miłości do Putina i jego wielkiej Rosji oraz przyjął jej obywatelstwo. Niezapomniany aktor z serii filmowej „Asterix i Obelix” tak naprawdę usiłował i usiłuje nadal ratować swoją pozycję celebryty, robiąc wiele hałasu wokół swojej osoby. I trudno się dziwić. Ma 65 lat i żadnej szansy na wielką rolę w kinematografii zarówno francuskiej, jak i światowej, więc czyni wszystko, aby utrwalić się przynajmniej medialnie. Ostatnio zauważył, że już mu w Rosji nie jest dobrze. Wcale się nie dziwię, jeśli zamieszka na Kubie. Ciężkie jest życie celebryty. Ci przedstawiciele „kultury” poszukują popularności, gdzie się da, także w polityce. Niezborne deklaracje i pokrzykiwanie „za, a nawet przeciw” ma wyrównać niedostatek talentu i inteligencji. Poza tym oni chętnie grają w filmach rosyjskich i na rosyjskich scenach, bo pecunia non olet, a w każdym razie nie zależy od poglądów, gdyż dolary nie mają żadnych poglądów.

No dobrze, świat artystyczny, zwłaszcza współczesny, jest w swej większości tandetny i nikt się po nim nie spodziewa rewelacji, chyba że kolejnego świństwa w stylu „Kłątwy” czy Pożaru w Burdelu. Niestety podobne klimaty panują w świecie polityki, zwłaszcza europejskiej. Ta polityka rozłazi się w szwach, godząc w podstawowe zasady bezpieczeństwa krajów i narodów, co grozi pożarem w europejskim burdelu. Nic dziwnego, że znalazły się w cybernetycznym uścisku rosyjskich hakerów i licznych szpiegów infiltrujących urzędy oraz instytucje państwowe, od najwyższych zaczynając. Mój ojciec, Kresowiak, który znał Rosję na wylot, tak scharakteryzował stosunek Rosjanina do wroga, czyli do przyjaciela. Otóż taki Wania przytula człowieka do piersi, a w tym czasie wraza mu nóż w plecy. W takim uścisku i z nożem w plecach znajduje się Europa Zachodnia, licząc naiwnie, że jeśli będzie się umizgiwać do Kremla, zmiekczy jego imperialne zapędy i nakłoni go do harmonijnej współpracy.

I częściowo jej się to udało, bo Rosja nie zamierza uderzyć na nasz kontynent zbrojnie. Zdaje sobie bowiem sprawę z siły przeciwnika, a użycie broni jądrowej byłoby równoznaczne z samobójstwem. Rosja prowadzi z nami wojnę hybrydową,



co oznacza destabilizację Zachodu za pomocą metod dywersyjno-terrorystycznych.

To specjalność jej tajnych służb, znana już w odległych czasach carskich, rozwinięta po rewolucji październikowej, a w czasach powojennych doprowadzona do perfekcji. I – co najważniejsze – Kremlowi nie zależy na poprawieniu wizerunku Rosji w oczach świata ani na nawiązywaniu przyjaźni z innymi narodami, bo przyjaźń oznacza słabość, a wrogość wzbudza szacunek, przynajmniej strach. Po ogłoszeniu przez kilkadziesiąt państw sankcji wobec Rosji w postaci wydalenia części jej dyplomatów Moskwa pokłada się ze śmiechu. No bo co więcej może zrobić Europa uzależniona od gazu i ropy Rosji? Była tak głupia, że nie pomyślała o dywersyfikacji dostaw surowców energetycznych, ufając w demokrację tego imperium, nazywając ustrój tam panujący „demokracją autorytarną”. Taką, z którą układa się nowy system demokratyczny, tzw. demokracja europejska czy – jeszcze lepiej – „demokracja liberalna”.

No i te Niemcy, główna przeszkoda w próbach dyscyplinowania Kremla. Dla nich zamach na byłego szpiega Siergieja Skripala i jego córkę za pomocą trucizny o infantylnej nazwie nowiczok to wypadek przy pracy rosyjskiego wywiadu i nie powinno się wyciągać z niego zbyt daleko idących wniosków. Nord Stream 2 jest ważniejszy od życia jakiegos szpiega. Wszak – jak oświadczył minister spraw zagranicznych RFN Heiko Maas: „Rosja jest filarem porządku światowego. Potrzebujemy Rosji jako partnera”. Wygląda na to, że na wzajemnym wydaleniu dyplomatów sprawa się zakończy. Otrucie Litwinienki i tajemnicza śmierć oligarchy Borysa Bieriezowskiego nie doprowadziły do żadnych poważniejszych turbulencji na linii Londyn–Moskwa. Przeciwnie, rosyjscy oligarchowie mają się w Wielkiej Brytanii dobrze, póki jeszcze żyją. Z woli Kremla, ma się rozumieć.

Śmiem ostrzec Heiko Maasa przed konsekwencjami partnerstwa z Rosją. Destabilizacja Unii Europejskiej dotknie bowiem także wschodniego sąsiada Polski, którą ominie za pomocą owej rury gazowej, będącej również drogą uzyskiwania informacji oraz infiltracji struktur państwowych RFN i tak już narażonych na rozchwywanie najazdem muzułmanów. Znosi się na kolosalny nieporządek za Odrą, a partnerstwo z Rosją będzie jego filarem.

Schröder, Merkel, kontynuacja



Wspólna reakcja krajów UE na zamach na Siergieja Skripala wydać się mogła mocnym dowodem żywotności wspólnoty, która okazuje się zdolna do wzniesienia się ponad partykularne interesy swoich członków. Niestety iluzja europejskiej jedności nie trwała długo. Jak na ironię już nazajutrz po wspólnej akcji wydalenia rosyjskich dyplomatów z 16 krajów UE Federalny Urząd Żeglugi i Hydrografii wydał zgodę na budowę gazociągu Nord Stream 2 w niemieckiej strefie ekonomicznej na Bałtyku. Tym samym inwestycja będąca najbardziej bodaj spektakularnym przykładem kremłowskiej polityki uzależniania Europy od dostaw rosyjskiego gazu pokonała jedną z ostatnich barier prawnych. Interes niemieckich firm okazał się ważniejszy od kwestii bezpieczeństwa energetycznego i europejskiej solidarności.

Przy tej okazji warto przypomnieć medialną burzę wokół Gerharda Schrödera wywołaną niedawno przez artykuł w „Wall Street Journal”, która świetnie ilustruje osobliwości niemieckiej polityki wobec Rosji. Jak wiadomo, Schröder to duży kłopot. Gdyby był tylko komiczną postacią w rodzaju Depardieu, jakimś dobrze opłacanym celebrytą z dworu Putina, to i tak byłby dużym problemem wizerunkowym Berlina. Niestety Schröder to również jawny i bardzo aktywny lobbysta Kremla, członek rady nadzorczej Nord Stream i Nord Stream 2, a od niedawna również szef rady dyrektorów petrochemicznego giganta Rosneft. Nic dziwnego, że artykuł, w którym byłego kanclerza nazwano najważniejszym dziś oligarchą Putina i jego koniem trojańskim w UE, musiał boleć. Zwłaszcza że szło nie tylko o epitety, lecz o pytanie, dlaczego skierowane przeciw kremłowskiemu oligarchom sankcje wprowadzone przez Obamę, a podtrzymane

przez Trumpa akurat Schrödera nie obejmują.

Problem postawiony przez „WSJ” musiał być bardzo bolesny, skoro na warsztat wzięła go niemiecka prasa zawsze przecież bardzo ostrożna wobec tematów stawiających Niemcy w złym świetle. Niedługo po wspomnianym tekście sprawę sankcji dla Schrödera podjął bulwarowy „Bild”, który – trzeba to uczciwie powiedzieć – nie zostawił na byłym kanclerzu suchej nitki. Głosu udzielono poważnym autorytetom. Czytelnicy artykułu mogli się na przykład dowiedzieć, że Elmar Brok, ekspert CDU od spraw międzynarodowych, odgrywaną przez Schrödera rolę reprezentanta interesów Putina uważa za skandaliczną i dziwi się, że temat ten dotąd nie pojawił się w debacie publicznej. Okazało się, że Schröder jako propagandysta Putina nie podoba się nawet szefowi Partii Zielonych, a więc dawnemu koalicjantowi rządu dzisiejszego lobbysty. Z kolei z tezą, że Schröder powinien figurować na liście zagrożonych sankcjami oligarchów, zgodził się ekspert Chatham House Ilia Zasławski, który nie zawahał się zresztą nazwać go *horribile dictu*, „agentem Kremla”.

Oczywiście zupełnie innego zdania jest rząd kanclerz Merkel, który bardzo stanowczo neguje celowość rozważania podobnych zagadnień. Czy można się dziwić? Schröder nie jest tylko kompromitującym wspomnieniem. Owszem kanclerz, który niedługo po podjęciu decyzji w sprawie budowy gazociągu zostaje członkiem rady nadzorczej Nord Stream, to straszna kompromitacja, ale to przecież nie wszystko. Schröder jest tak wielkim problemem nie ze względu na to, kim był, zanim został kremłowskim oligarchą, ale dlatego, że wymierzone w niego ataki bezpośrednio uderzają w obecną politykę Niemiec. Objęcie go sankcjami zmusiłoby do postawienia wysoce niezręcznego py-

tania o linię obecnego rządu. Pytania niezręcznego podwójnie – bo Schröder był chociaż spójny.

To, że europejską solidarność rozbija kraj będący niekwestionowanym liderem Unii, jest paradoksem co najmniej tak spektakularnym jak to, że gazową politykę Kremla wspiera rząd pryncypialnie broniący utrzymania sankcji za aneksję Krymu. Powiedziałem „paradoksem”, a powinienem raczej powiedzieć „paranoją”. Dawną wiarę, że pieniądze z gazu pozwolą Putinowi rozwijać kraj, a nie armię, trudno byłoby dziś usprawiedliwić nawet sławną niemiecką podatnością na rosyjską hipnozę. To, że zamiast planowanej pacyfikacji dobrobytem mamy rosnącą agresję finansowaną przez Zachód militarnej potęgi, widzą dziś nawet najmniej rozgarnięci obserwatorzy polityki wschodniej.

Potępienie Schrödera przeniosłoby kwestię Nord Stream 2 w obszar polityki, a tego Niemcy nie chcą za żadne skarby. Dobrze widać to było podczas niedawnej wizyty nowego ministra spraw zagranicznych Heiko Maasa, który wyjaśnił nam, że związek między sprawą Skripala a nowym gazociągiem nie zachodzi. Okazało się, że polityka i biznes nijak się z sobą nie łączą. Putin jest zły, więc walczymy z nim sankcjami, Nord Stream 2 zaś jest dobry, bo to najczystsza gospodarka. Czy podobna uwierzyć, że mamy do czynienia z naiwnością? Przez szacunek dla inteligencji naszych sąsiadów łatwiej przyjdzie się zgodzić na inne określenia: partykularyzm, nielojalność, chciwość, krótkowzroczność, lekkomyślność, rusofilia, nie zapominając o tym, co w Warszawie nazywamy „rżnięciem głupa”.

Dariusz Karłowicz

Prąd + TRZY ubezpieczenia...



i śpisz spokojnie!

WYBIERAJĄC PAKIET MULTIOCHRONA, WRAZ Z PRĄDEM ZYSKUJESZ:

1. ubezpieczenie OC
2. opiekę medyczną
3. wsparcie fachowców



Odwiedź naszą placówkę lub zadzwoń pod nr 555 555 555*

Z oferty „Multiochrona Premium FMO” można skorzystać w okresie od dnia 1.01.2018 r. do dnia 30.06.2018 r. Oferta „Multiochrona Premium FMO” nie dotyczy opłat za dystrybucję i innych opłat Dystrybutora. Z oferty „Multiochrona Premium FMO” mogą skorzystać klienci będący konsumentami, korzystający z usług dystrybutorów, z którymi ENERGA-OBROT S.A. zawarła generalne umowy dystrybucyjne dla umów kompleksowych, lub przyłączeni do sieci dystrybucyjnej ENERGA-OPERATOR S.A., korzystający z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych, którzy zawrą z ENERGA-OBROT S.A. umowę kompleksową. Oferta „Multiochrona Premium FMO” nie dotyczy klientów korzystających z liczników przedpłatowych. Szczegółowe warunki oferty oraz warunki ubezpieczeń: Assistance Domowy Pakiet Premium, Na ratunek z energią PLUS oraz Odpowiedzialności Cywilnej w Życiu Prywatnym Pakiet Premium określa Regulamin oferty „Multiochrona Premium FMO” wraz z załącznikami, dostępny na www.energa.pl.

* Koszt połączenia zgodnie z taryfą Twojego operatora.

eprasa.pl 3c981d2245

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

O upadłym dziennikarstwie

Zawód dziennikarza, jak rzadko który, wymaga gruntownych przeobrażeń. Ich początek zawiera się w określeniu – etyka dziennikarska. Czy będzie to zawód wolny, niezależny i etyczny, zdecydują w równym stopniu demokratyczne struktury państwa, ci, którzy będą ten zawód uprawiać, oraz pełni krytycyzmu użytkownicy środków przekazu, czyli my wszyscy”.

Tymi słowami kończy się moja książka pt. „Byłem dziennikarzem”, napisana 27 lat temu. Podałem w niej przykłady nieetycznego zachowania dziennikarzy, często zwykłego chamstwa, chwytów poniżej pasa, prymitywizmu, nie tyle nawet intelektualnego, ile osobistego, wynikającego z braku kultury i wychowania. Nigdy się z tym nie pogodziłem, ale obserwując to, co dziś dzieje się w mediach, nie sądziłem, że będzie z tym jeszcze gorzej. Właściwie z roku na rok, przez te 27 lat, jest gorzej i jeszcze gorzej.

Uczestnicząc przez sześć lat w pracach Zarządu Oddziału Warszawskiego oraz Zarządu Głównego SDP, miałem okazję dokładnie śledzić poczynania wydawców i dziennikarzy i konfrontować swoją opinię z kolegami. Do przyznawanej co roku nagrody Hiena Roku, tej pseudonagrody naszego Stowarzyszenia, zawsze było dużo kandydatów, a wybrać trzeba było jednego. Wybieraliśmy więc, często przy burzliwej dyskusji, te najbardziej drastyczne zachowania dziennikarzy łamiących kodeks etyki dziennikarskiej, a nie było to łatwe zajęcie, bo niekiedy sprawa kończyła się w sądzie. Nigdy nie zdarzyło się, aby „laureat” takiej haniebnej nagrody dokonał jakiegś samokrytyki i przeprosił oplutego adwersarza, kolegę i czytelników.

Dziś mam wrażenie, że chamstwo uprawiane w dziennikarstwie, plugawe teksty pisane na zamówienie, ordynarne słownictwo, pomówienia i znieważenia, groźby i powszechne kłamstwo spowszedniały do tego stopnia, że stały się normą. Dziennikarski prymityw czuje się bezkarny, gdyż wie, że nic mu nie grozi. Najważniejsze dla niego jest to, że o nim się mówi, nieważne jak. Porządni ludzie zaatakowani piórem, mikrofonem, kamerą nie chodzą do sądów, które nauczyły nas, że trudno tam o sprawiedliwość, co najwyżej o wyrok po latach procesowania się. Równocześnie wraz z dziennikarstwem schamiała nasza polityka, dla której pewną tamą mogłoby być uczciwe dziennikarskie zachowanie. Bo przecież niektórych ludzi powinno się unikać. Nie chodzi się na spotkania z politykami pozbawionymi elementarnych zasad kultury. W czym interesie jest nagłaśnianie skandalicznych zachowań polityków? Dlatego za schamianie polskiej polityki



odpowiadają także dziennikarze i właściciele wszystkich rodzajów mediów.

Prym w schamianiu wiecie pewna komercyjna stacja telewizyjna. Niełatwo o tym pisać. Dziennikarze boją się krytykować siebie, a o tej stacji piszą na ogół eufemistycznie „pewna prywatna stacja telewizyjna” albo „ta, co nadaje całą prawdę całą dobę”. Ponieważ byłem kiedyś pozwany przez tę telewizję do sądu, wiem, jakimi wpływami, także w palestrze, cieszy się ta stacja.

Dziennikarski telewizyjny prymityw nie rozumie, że ktoś może nie chcieć udzielać mu wypowiedzi. Będzie osaczał kamerą upatrzonego rozmówcę niczym pies pilnujący swojego ogrodu. To przydarzyło się ostatnio prezes Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej na dworcu w Warszawie. Pani prezes to-

warzyszyla wnuczka, a dziennikarski celebryta, nie bacząc na dziecko, nie potrafił uszanować odmowy udzielenia wywiadu. Metoda zdobywania nagrania „na chama” niestety jest także stosowana w telewizji publicznej, o czym piszę z wielką przykrością.

Zbyt małą aktywnością wykazują się KRRiT i Rada Etyki Mediów. Przypomnę, że ta ostatnia potrafiła potępić chamstwo dziennikarzy TVN Michała Figurskiego i Kuby Wojewódzkiego znieważających ukraińskie kobiety. Wcześniej wystosowała doniesienia do prokuratury w sprawie obrazy Jana Pawła II przez Jerzego Urbana. Poparła też ukaranie telewizji Polsat za kpiny z niepełnosprawnej redaktorki TV Trwam Magdaleny Buczek w wykonaniu lewackiej celebrytki Kazimiery Szczuki. Oceniała jako złamanie zasady szacunku i tolerancji wpis internetowy Magdaleny Ogórek wytykający Markowi Borowskiemu zmianę nazwiska. Uznała za nieetyczne programy Polsatu, w których oskarżano Małgorzatę Chechlińską o stworzenie „układu zakopiańskiego”, gdy tymczasem rodzina Solorzów, właścicieli Polsatu, jest w sporze prawnym z tą panią. Potępiła TVP Info za odmówienie Jackowi Karnowskiemu, prezydentowi Sopotu, przedstawicielowi Związku Miast Polskich, udziału w audycji o samorządach. Być może jest więcej dowodów na aktywność REM, ale jej słabością był zawsze skład, wielokrotnie kwestionowany przez skonfliktowane strony dziennikarskiego sporu. REM traciła na autorytecie, a dziś niewiele słychać o jej działalności. Wydaje się, że sytuacja jest nie do opanowania, tym bardziej że na forach internetowych rozlało się chamstwo, za co powinni odpowiadać także administratorzy i moderatorzy portali. Szeroko rozumiane środowisko medialne nadal nie ma skutecznego mechanizmu walczącego z naruszaniem zasad etyki w dziennikarstwie. Pozostaje długa i niepewna droga sądowa.

Ogon i pies

Im dalej od zwycięstw z 2015 r., tym głośnieżej rozlega się głos, że to zwycięstwo to właściwie własność PiS i może ono z nim zrobić, co zechce. Zwycięstwo stało się własnością partii – przynajmniej w świadomości partyjniackich aktywistów. Furda z tym, co myślą wyborcy, oni i tak nie mają wyjścia, muszą na nas głosować.

Dobra zmiana zaczyna belkotać nowomową, okadzać samą siebie i żreć się wewnątrz, jakby władza była jej przypisana na wieki wieków. Widziałem już takich chojraków i takie nieomylnie, miedziane czoła. W czasie rozkwitu AWS też mnie pouczali o tym, co wypada, co nie i jak należy prowadzić politykę, a jak kury szczać prowadzać.

Bezspornie my – świadomi i wierni swoim zasadom bez względu na sezony i mody – Szarzy Polacy, nie mamy dziś alternatywy, nie jesteśmy w stanie głosować na inną opcję niż stronnictwo Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli jednak, partyjne zadufki, myślicie, że na zawsze jesteśmy na was skazani i cokolwiek byście zrobili, my musimy to pokornie znosić, to jesteście w pułapce. Przed wami już było kilka grup, które myślały podobnie i skończyły na zapomnianym śmietniku.

Co? Udajecie, że nie pojmujecie, iż to o was mowa? Udajecie, że toczyście spór o Polskę, a w istocie powtarzacie trzeciologiczne bzdury produkowane dla was przez marnych



**Witold
Gadowski**

propagandystów? Jak się nie otrząśnięcie, jak ktoś nie pogoni was do postu, modlitwy i pracy, to skończycie tak samo marnie jak wasi poprzednicy.

PiS wzięło na siebie wielką odpowiedzialność na prawiania państwa, tylko dlatego daliśmy mu swoje poparcie i wynieśliśmy je do władzy. Dziś wielu prominentów dobrej zmiany uwierzyło, że ta władza to wyłącznie zasługa ich genialności i epokowego umysłu. Trudne są przebudzenia po takiej dawce sodowy, kac straszliwy, a wstyd jeszcze większy.

Wiele rozmów, opinii zwykłych ludzi we mnie ostatnio wsiąkło i wszystkie poważne, z troską analizujące sytuację i... krytyczne. PiS się zamyka, PiS zaczyna czcić samo siebie...

Droga partio władzy, zostałaś przez nas umocniona i osadzona na polskim tronie jedynie jako użyteczne narzędzie do sprzątnia i reformowania. Jeżeli nie spełnisz tego zadania, staniesz się niezdarnym balastem, który zostanie wyrzucony na śmietnik.

Macie usprawnić życie w Polsce, pogonić złodziei, ukarać aferzystów i sprawić, aby inni nas zaczęli szanować oraz z nami się liczyć. Daliśmy wam pełnię władzy, a więc i pełnię odpowiedzialności. I nie przyjmujemy belkotania, że ktoś wam nie pozwala, że znówujacy „oni” was blokują. Nie obchodzą nas wasze frustracje, żądamy skuteczności, siły ducha, uczciwości i empatii. Po to zostaliście wybrani!

Prawda

Katastrofa smoleńska przeorała nie tylko moje postrzeganie świata. Napisany na gorąco wiersz „Smoleńsk” spuentowałem w sposób jak najbardziej oczywisty:

[...] Chciałbym WIEDZIEĆ... To PRAWDA
czyni nas wolnymi!

Czas Ją poznać – choć wielu odwagi nie staje:
Czy katyńskie przekleństwo zawisło nad nimi?
Czy też już się zaczęło? Czy nas... zabijają?

Minęły lata zakłamywania i pogardy. Profanacja zwłok, zamiany ciał, kapitulacja państwa polskiego, śledcza kolaboracja (zdrada?) – do tego w międzyczasie przywykliśmy, to już nam spowszedniało. Dlatego również bez emocji przewidziałem koniec całej tej hucpy...

GDY STANIE SIĘ PRAWDA...

Kiedy nastąpi przełom (a finał jest bliski),
Znajdą twarde dowody... I pobudki niskie...
Gdy świeży wiatr rozwieje mgły smoleńskiej obłok,



**Lech
Makowiecki**

Zdrada znów wyjdzie z cienia, stanie w świetle,
o krok,
Nasunie się pytanie (zwykle w takiej chwili):
Jak się będą tłumaczyć ci, co mataczyli?

Skąd taka podłość u nich? Skąd łajdactwo takie,
Że ten, kto wyżej siedzie, nie chce być Polakiem?

Co powiedzą lemingi, które wierzyć chciały?
Nawet wbrew rozsądkowi... Wbrew logice całej...

Dlaczego w tym teatrze zaprzaństwa, przewiny
Ten, kto oglądał skutek, nie szuka przyczyny?

* * *

Pierwsi rzekną: „Znaliśmy od początku wszystko...
Wojny chcieliście? Z Rosją? Wybraliśmy przyszłość!”

Lemingi zaś skwitują: „Jednak ktoś ich ubił?”
Trudno... Stało się... Oj tam! Nikt ich tu nie lubił...”

PRZEZ ŚWIELLIK

Komunopol

Niedawno się dowiedziałem, podczas towarzyskiej pogawędki z tzw. liberalnym małżeństwem, że jestem, ni mniej, ni więcej, komunistą. Sprawa mnie zainteresowała, bo jestem, rzecz jasna, równocześnie mizoginem, funkcjonariuszem, faszystą, troglodytą, kruchtą, żydowskim lub ukraińskim sługusem, zgnilizną, rozkraczonym pisowczykiem, chamem, ale tego jeszcze nie było. A przecież zawsze ciekawie album z hejtem wzbogacić o tak barwny okaz.

Otóż, jak się okazało, pracuję w „pisowskim radiu i telewizji”, a PiS to komuniści. Nowy okaz do klasera okazał się jednak niezbyt rzadki. Niestety to, co miało być egzotycznym motylem, okazuje się zwykłą muchówką. Czymś, czego jest pełno. Stałym elementem propagandy, jej nową narracją, bo dotychczasowy „fasyzm” był zbyt grubo ciosany, więc teraz mamy historię o „komunizmie”.

Dowodów nie brak oczywiście w znanym ze zwalczania postkomunizmu od zawsze biuletynie państwa Wrońskich, Kublików i innych sztandarowych postaci niezależnego dziennikarstwa oraz walki o pluralizm w mediach. PiS aresztuje Frasyniuka (chodzi o doprowadzenie na przesłuchanie) jak komuniści, PiS szuka wrogów jak komuniści. Jak się okazuje, narracja ta jest jednak dużo szersza.

Ostatnio portal Politico, należący do niemieckiego Axela Springera, ogłosił, że Kaczyński i Orbán to komuniści. Wszystko przez „paternalizm, rządy silnej ręki, obsesję na punkcie wrogów zewnętrznych, a nawet retorykę odwołującą się do podziałów klasowych”. Proszę bardzo – pełna definicja.

Tylko jedna sprawa w tym dziwi. Właściwie to już nie wiadomo, czy ci komuniści są dobrzy, czy źli. Z szacownych instytucji i frakcji europejskich dowiaduję się, że ci hiszpańscy w czasie wojny domowej, towarzysze Świerczewskiego Karola, byli wręcz święci i umacniali wspólne wartości europejskie. Że w Polsce prześladowa się demokratów i komunistów,

wymawianych jednym tchem. Ba, Parlament Europejski ma w swoim gronie towarzyszy i towarzyszeki wprost deklarujących się jako wyznawcy czerwonej flagi oraz spadkobiercy Marksa. Che Guevara był przesympatycznym

bojownikiem o prawa uciśnionych. Odbieranie wyższych rent i emerytur byłym funkcjonariuszom komunistycznych służb specjalnych to gwałt na prawach człowieka.

Zacny demokrat Joschka Fischer, tłukąc podczas komunistycznych demonstracji policjantów, walczył o nowocześniejszą Europę. Nie inaczej było z guru dzisiejszej „liberalnej” Europy i kumplem Adama Michnika Danielem Cohn-Benditem. Ba, więcej, niedawno jako jedną z podstaw funkcjonowania Unii Europejskiej przedstawiano nie przemyslenia sługi Bożego Kościoła rzymskokatolickiego Roberta Schumana, ale Altiero Spinello, dżentelmena, którego nazwisko widnieje w honorowym miejscu jednej z siedzib europarlamentu, nazwanej zresztą jego imieniem. Spinelli był włoskim trockistą, który niby to z komunizmem się rozstał, by łatwiej mu było funkcjonować

w strukturach europejskich, ale pozostał fanatycznym wrogiem państw narodowych i tradycji, do której odwoływali się Adenauer czy Schuman. Projektował nowy, wspaniały świat, „antyfaszystowski”, w którym ci, którzy mają „przestarzałe” poglądy, zostaną „odsunięci”. Metod nie opisał, ale z reguły przy projektowaniu nowych, wspaniałych światów są one podobne.

Oto jeden z założycieli, do których odwołuje się dzisiejsza Unia Europejska. Skąd więc to okładanie jej przeciwników komunizmem? Może ma i ono podstawę merytoryczną. Przecież nawet pobieżna lektura historii pokazuje, że komuniści w gruncie rzeczy zawsze najbardziej się bali komunistów, którzy mogą odebrać im monopol na komunizm.

Wiktor Świellik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia



wSIECI
HISTORII

Szukaj w kioskach!



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII



Dzisiaj nie będzie felietonu, dzisiaj będzie przypowieść z wątkiem dydaktycznym”.

Przypomina mi się taka historia sprzed lat. To był zapewne 1985 r. Wówczas studenci zaoczeni byli rozpoznawalni, gdyż byli starsi od ich dziennych kolegów, a nierzadko nawet dwa razy starsi. Bo studia były w nagrodę. Nie można się było na nie dostać ot tak. Trzeba było mieć tzw. skierowanie, które zakład pracy skądś dostawał. Za takim skierowaniem szły możliwości otrzymywania tzw. urlopu szkoleniowego, taniego noclegu gdzieś w internacie, zwrot kosztów delegacji. Oczywiście studia były nieodpłatne. Każdy tzw. zjazd to były piątek, sobota i pół niedzieli. Skład tych studiujących grup był bardzo zróżnicowany. Byli pracownicy kultury, pielęgniarki środowiskowe, czasami milicjanci i ubecy. Ale o nich się od razu wiedziało. Co nie znaczy, że jako studenci nie byli „w pracy”. Dominującą część grupy stanowili jednak nauczyciele i pracownicy oświaty. Studenci zaoczeni byli na ogół pilni i rzetelnie przychodzili na zajęcia, robili notatki, pytali, a wieczorami trochę imprezowali – jakby chcieli nadrobić utracone w młodości lata studenckie.

Tego dnia miałem zajęcia z kierunkiem nauczanie początkowe. Ponury listopad. Ranek. W auli paliły się jarzeniowe światła. Byłem świeżutko po doktoracie, ładnie ubrany, pachnący jakąś wodą kolońską, gładko wygolony, a przede wszystkim mądry. Och, jaki mądry! Przecież! Miałem doktorat, byłem młody, a przede mną siedziała niemal setka zwykłych, zmęczonych kobiet. Wszystkie były ode mnie starsze. Niekiedy mocno. W rogu sali na stosie leżały ich palta, na parapetach grzałkami podgrzewała się woda na sypaną kawę, na głowach miały najczęściej berety wełniane („bo mam nieumyte włosy”). Były po dwóch dniach koczowania w uproszczonych warunkach, w lichych warunkach łazienkowych, zmęczone i z perspektywą długiej niekiedy drogi powrotnej. Głównie koleją.

Zatem w niedzielny ranek pojawiłem się na zajęciach. I wzrokiem pełnym wyższości ogarnąłem pachnącą palcami, kawą i kanapkami salę wykładową. Czulem się strasznie ważny. Gdy dotarłem do zagadnienia „cele kształcenia i wychowania”, zwróciłem się do jednej ze studentek: „Jutro pójdzie pani do tych dzieci i czego będzie pani od nich chcieć?”. Oczekiwałem wyrecytowania jakiejś formułki. A że mówiłem w ogóle głośno, tak mam do dzisiaj na wykładach i nie używam mikrofonu, to do tej nauczycielki niemal wrzasnąłem. Miałem jednak przewagę. Z całej więc wysokości swojego

Przypowieść



**Aleksander
Nalaskowski**

*W jednej chwili oklapłem
jak przekłuty balon. Byłem
krasnoludkiem. Wyleczyła mnie
z wielkości na zawsze, na amen*

nowodoktorskiego piedestału, młodości, mądrości i zapachu wrzeszczalem, a w podtekście było: „głupia babo”.

Wtedy studentka, jak uczennica w szkole, podniosła się z krzesła i powiedziała: „Bo ja bym chciała, aby te dzieci poszły kiedyś do nieba”. Usiadła i się uśmiechnęła do mnie serdecznie. I to był nokaut. W jednej chwili oklapłem jak przekłuty balon, straciłem zapach, zapomniałem o doktoracie, adolescencji i chyba tylko coś wymamrotałem pod nosem. Byłem krasnoludkiem. Wyleczyła mnie z wielkości na zawsze, na amen. To była najpokorniejsza lekcja pokory. Nagle bowiem zobaczyłem nauczycielkę, która coś wie naprawdę, a zwłaszcza wie, czego chce, ma swoją busolę i dokładnie zdaje sobie sprawę, komu i czemu służy. Że nie tylko nauczy czytać i pisać kolejne czeredki małych, lecz nie będzie jej obojętne, co czytają i piszą. Że zawsze będzie mogła zapytać sumienie: „Czy to, co robię, służy ich zbawieniu?”. Uroda tej deklaracji była tak ewangeliczna, że zwała z nóg; że poczułem, iż jestem jej ze swoją wyuczoną mądrością tak naprawdę do niczego niepotrzebny. Uczennica była daleko mądrzejsza od nauczyciela.

Cały czas, teraz się mówi „z tyłu głowy”, mam tę sytuację. Pamiętam twarz tej kobiety, brak strachu i spokojnie wypowiedziane słowo „niebo”. Chociaż czasy temu nie sprzyjały. Komuna Jaruzelskiego była wszak drapieżna, podsycana prochem Urbana i nienawistna. Dopiero co skończył się proces o morderstwo ks. Jerzego Popiełuszki. Ta studentka chyba jednak niczego się nie bała, bo jej praca była trochę nie z tego świata, ale z lepszego, uniwersalnego, opartego na prawdzie.

Zastanawiam się, ilu spośród dzisiejszych nauczycieli byłoby to w stanie powiedzieć, tak otwarcie zadeklarować, tak otwarcie jak swoje niezadowolenie ze wszystkiego, zwłaszcza z wykonywanego zawodu, podczas ZNP-owskich demonstracji. Ilu zadaje sobie pytanie: „Komu, u licha, właściwie służyć?!”. Ilu zawraca sobie głowę uniwersaliami? Pytania retoryczne?

Czy ci pedagogzy, którzy w szkołach promują czarne protesty? Czy może ci, którzy dokonują seksualnej edukacji, przyprowadzają na lekcje aktywistów z różnych grup „mniejszościowych”? A może ci, którzy tak ochoczo wyzbyliby się Sienkiewicza ze spisu lektur? A może tacy, którzy wojują o szkołę neutralną światopoglądowo, więc szkołę bez żadnego kręgosłupa? I jeszcze jedno. Jeśli nie zawracają sobie oni głowy zbawieniem, niebem, to tak naprawdę dokąd chcą posłać swoich uczniów? No dokąd?!

ROBERT MAZUREK

Głuchota wieku średniego

A więc należało im się. Uczciwą, ciężką pracę dla ojczyzny ratowania na te marne parę złotych premii zasłużyli. Taka teraz obowiązuje linia, tak mówią oni sami i to powtarzają ich medialni akolici. Więc ruki pa szwam, buzia w ciup i deklamujemy.

Chórem, proszę teraz na głos: „Tamci kradli miliardy – bez marudzenia, wszyscy powtarzają, nie ma, że zwolnienie od lekarza – nam się należą uczciwe premie w tysiącach”. Powtórzone? To przyswoić. I wiecie co, drodzy czytelnicy, a przede wszystkim wy, drogie czytelniczki? Ja serio uważam, że im się należą. Jako rekompensata za pracę w trudnych warunkach. Bo to szkodliwość potężna, patrzcie na efekty, na choroby zawodowe: nadwaga (legion ich), problemy z kręgosłupem (Gowin), migotanie przedsionków, no i utrata słuchu. A zwłaszcza ten słuch.

Bo cokolwiek mówić o PiS, jednego im odmówić nie można, słuch społeczny mieli znakomity. I co? To może opowiem historyjkę całkiem świeżo zasłyszaną. Oto jeden z ministrów niepartyjnych, fachowiec, nie aktywista, mówi tak: „Publicznie tego nigdy nie powiem, ale te pensje to absurd. Szukałem zastępców, ludzi, którzy mają dysponować wieloma miliardami złotych na zakupy, i nie znalazłem nikogo. »Sorry, ale ja muszę wyżywić rodzinę« – powtarzali mi wszyscy. I mogę narzekać, że politycy przez lata nie potrafili się dogadać, ale takie są fakty. Niedawno rozmawiałem o tym przy świątecznym stole, ale absolutnie nie znalazłem zrozumienia. »Emeryci też dostają mało«. »Ale ciociu – tłumaczę – nie każdy emeryt musi osobiście decydować o losie milionów Polaków«. Nic z tego, nikogo nie przekonałem”.

Minister ma rację. Czy politycy powinni zarabiać więcej? Oczywiście, że powinni. To, co w tej chwili dostają, to jakieś kpiny. Ale czy w obecnej sytuacji powinni wstydliwie, w tajemnicy i kręcąc niemożliwie

*Nie, panie prezesie, politycy
nie powinni zarabiać mniej,
lecz zdecydowanie więcej, i pan
o tym doskonale wie*

brać sobie jakieś premie? Nigdy! Pisałem to nie dalej niż miesiąc temu – jeśli dochodzi się do władzy, obiecując przejrzystość i ascezę, to nie godzi się, pokrętnie kombinując, brać sobie forszę ekstra. Nie godzi się, a kto tego nie wie, jest nie tylko głuchy, lecz i głupi. I choćby nie wiem, jakie pazurki pokazał, wyborcy mu je przytną, zobaczycie.

Ha, ha, ha! Wiem, że nikt mnie nie uwierzy, ale właśnie pisząc te słowa, dowiedziałem się, że ministrowie, jak jeden mąż, spontanicznie, postanowili oddać nagrody. Ba, postanowili również w nagłym, wielkanocnym napadzie ascezy obciąć zarobki politykom o 20 proc. Najbardziej bawią mnie wygibasy, których będą musieli teraz dokonać poli-

tycy (nie tylko PiS zresztą), a zwłaszcza hufce prorzadowych dziennikarzy, komentując tę decyzję. Teraz dowiecie się państwo, że skromność jest cnotą, a premie, których broniliśmy jak Kmicic Jasnej Góry, to zło. I odwrotnie, TVN24 państwu wyjaśnia, że złowrogi Kaczor do populiasta, a premie były OK. Miłej zabawy życzę.

Ale problem pozostał, a nawet Kaczyński – w napadzie złości na wyborców, którzy nie zrozumieli i zmusili go do takich zwodów – go pogłębił. Przecież to jest klasyczne wylewanie dziecka z kąpielą. Może i PiS wzrośnie, ale pokusa, by uciec do brukselskiego raję albo choć oskubać jakąś spółkę skarbu państwa, będzie jeszcze większa. I jasne, przykładowy Ziobro będzie zarabiał mniej, ale jego żona w zależnej od PZU spółce nie straci. O to chodzi? Albo o to, by zachachnąć z poselskimi kilometrówkami czy delegacjami à la Madryt?

Nie, panie prezesie, politycy nie powinni zarabiać mniej, lecz zdecydowanie więcej i pan o tym doskonale wie, tylko postanowił pan zareagować jak Tusk, kierując się sondażami. Słabe to.

robert.mazurek@hotmail.com

Kręte ścieżki kultury

Prawdziwa, czysta miłość, choćby na jej drodze spotkały ją rozczarowania, porażki, a nawet dramaty w postaci kłęski, zwykle pozostawia po sobie jakieś ziarenko dobra. Czyż to nie wzruszające? Jak w tej opowieści z życia wziętej.

Piotr Nitka, owdowiały przedwcześnie sadownik spod Grójca, będąc w pełni produktywnym wieku, zakochał się w posłance Joannie Scheuring-Wielgus. Nieznane są do końca powody tak silnego do poselskiej niewiasty przyływu uczuć hodowcy rodzimych owoców, głównie jabłek, gruszek i śliwek, choć zwanych węgierkami, to przecież rdzenie polskich. Jak on sam. Pewne jest natomiast, że widok anielskiej twarzy wybranki jego afektu, w tym wykrój ust, zarys klasycznej budowy ciała oraz inne pociągające przymioty, jakimi obdarzyła ją natura, a jakie nosił w swojej pamięci, czerpał na podstawie obrazów widzianych w Telewizji Polskiej SA, wysoko notowanej na giełdzie. W tym też medium podczas jakiegoś wywiadu jego bogdanka wyznała, że uwielbia muzykę gitarową. Piotr Nitka ledwo to usłyszał, nabył naj-



**Jerzy
Jachowicz**

droższą gitarę, jaka była w sprzedaży w miejscowym sklepie, oraz dał ogłoszenie do prasy: „Zatrudnię doświadczonego wirtuoza gry na gitarze”. Kilka tygodni później plakaty na mieście informowały, że Grójec odwiedzi Joanna Scheuring-Wielgus, gdzie odbędzie kilka spotkań w mieście i powiecie z miejscową ludnością.

Do czasu przyjazdu posłanki jej miłośnik brał trzy lekcje gry na gitarze dziennie. Trudził się maestro, męczył się sadownik, a postępów widać nie było. Piotr Nitka na każdym spotkaniu z posłanką Nowoczesnej był pierwszy, wychodził ostatni. Ciągłe bez gitary. Co innego jednak niż brak talentu sprawiało, że jego oblicze po każdym kolejnym spotkaniu stawało się smutniejsze, a na ostatnim już się nie pojawił.

„Gdyby potrafiła milczeć. Niestety, jak otworzy usta, czar pryska. Katastrofa” – myślał z rozpaczą.

Podczas tradycyjnej wielkanocnej wizyty w domu opiekuńczym pan Nitka przekazał swoją gitarę dzieciom. Jego podarunek stał się impulsem do powstania młodzieżowego zespołu muzycznego.

CO MNIE ZASTANAWIA

Pierwsze damy

Danutę Wałęsową nazywaliśmy Danuśką. Zapamiętałam ją, jak odczytywała przemówienie, odbierając Pokojową Nagrodę Nobla za małżonka. Wywiązała się z tego zadania bardzo dobrze, a musiała być przecież zdenerwowana. Późniejsze jej wystąpienia jako „pisarki i literatki” promującej swoją twórczość były, łagodnie mówiąc, mniej udane.

Panią Jolantę nazywam po prostu „panną Jolą” – choć była mężatką. Mąż przysparzał jej różnych kłopotów. Zapamiętałam zaprzysiężenie prezydenta Kwaśniewskiego i jej kapelusze w formie kosmicznego spodka. Później mam w oczach jej manewry na lotnisku, by się zalać na papamobil.

Pani Maria – niestety krótko była pierwszą damą. Kobieta wielkiej kultury i taktu. Miała wielki wdzięk i dużo prostoty w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jej liczne poczynania były ignorowane, przemilczane, wyśmiewane i przeinaczane. Wspierała męża nie tylko swoją miłością, lecz i mądrym działaniem. Miałam wielki zaszczyt parokrotnie się z nią spotkać i zamienić kilka



**Katarzyna
Laniewska**

*Dama pierwsza to Danuta,
następna to Jolanta, potem
Maria, Anna i Agata*

słów. Była teatromanką. Nie bywała tylko na premierach, które z racji urzędu przypadły mężowi, ale sama chodziła na spektakle, stojąc w kolejce do szatni. Taką cudowną ją zapamiętałam.

Pani Anna, no cóż trudno jej nie zauważyć, często zasiadała na różnych uroczystościach u boku męża albo kroczyła w pochodach razem z nim. Zapamiętałam ją, jak z małżonkiem wycinała kotyliony.

I wreszcie pani Agata, która słynie z dyskretnej elegancji i elokwencji. Z mądrego wspierania swojego męża i z różnorodnej działalności. Nie w świetle jupiterów ani reflektorów. Jest tam, gdzie powinna być. Towarzyszy mężowi podczas wyjazdów zagranicznych, ze swobodą porozumiewając się w różnych językach.

Myślę, że pierwsze damy powinny mieć jakąś sumę, którą mogłyby rozporządzać. A przede wszystkim powinny mieć płacone składki na emeryturę. Nie każdy jest tak zapobiegliwy, że wychodząc z pomieszczeń prezydenckich, zabiera różne rzeczy lub jak mędrzec jeździ z wykładami po świecie. Warto o tym pomyśleć.

SKREŚLONE

Polkowski



TRENDY I OWĘDY

Kwestia niesmaku

*Politycy jak nikt inny potrafią
zszargać koncertowo swój
wizerunek*

Trudno znaleźć adekwatne określenia, by przekazać potomnym to, czego dopuścił się prezydent Andrzej Duda, wetując ustawę degradacyjną. Uniemożliwił tym samym pozbawienie sowieckich namiestników Jaruzelskiego i Kiszczaka stopni generalskich.



**Ryszard
Makowski**

Sluchając jego komicznej argumentacji, można było odnieść wrażenie, że odleciał w kosmos, podobnie jak Mirosław Hermaszewski. Ja jako prezydent, najwyższy strażnik praworządności, jestem tak jak wy za przykładowym ukaraniem tych bandziorów, ale nie mogę tego uczynić, bo jeden z nich ma na imię Heniek i był kiedyś w Koszalinie. W ustawie brakuje trybu odwoławczego i ci porządni członkowie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, którzy mordowali w stanie wojennym górników i księży, są pokrzywdzeni. A, jeszcze jedno! O! Czy wypada odbierać wężyki generalskie po śmierci? Jak oni się mają bronić? Kto im wystawi L4? Czy zaprzaństwo i zdrada powinny nas tak oburzać? A jak się okaże po wnikliwych badaniach, że Jaruzelski i Kiszczak byli jednak ludźmi honoru? Gdyby przyszedł rozkaz z Kremla, też by polecili w kosmos. To musi wzbudzać szacunek. Kosmonauta to zawsze kosmonauta, nawet jak nie był na orbicie.

Tyle mniej więcej wart był wywód głowy państwa, kiedy to Wielki Piątek postanowił obdarować nas specyficznym zajęciem. Ostatecznie byliśmy świadkami degradacji. Pan prezydent zdegradował sam siebie i stanął ramie w ramie z jednym wyjątkowo paskudnym kapralem.

Zawistowski prezentuje: **WRON**



Wycinki z przeszłości

W tym tygodniu sięgamy do tygodnika „Światowid” z 1934 r., który 17 marca, z okazji imienin marszałka Józefa Piłsudskiego, stwierdzał: „Liczne portrety Marszałka są nierozzerwalnie związane z dziejami bojów o Niepodległość. Znaczą one etapy wszystkich walk i triumfów, poczynając od szarego munduru brygadiera aż do marszałkowskiej buławy wodza duchowego narodu. Jednym z najpiękniejszych jest portret z okresu Legionów, pędzla Jana Gumowskiego. Akwarela ta, malowana szerokim rozmachem, daje doskonałą charakterystykę bohaterskiej twarzy Marszałka. Oczy patrzą przed siebie w przyszłość

pewnie i z wycięsko. Ręka wspiera się silnie w charakterystycznym ruchu na rękojeści szabli, symbolicznego

oręża, który przepędził wrogów z polskiej ziemi i nowe prawa naszej wolności ugruntował. Portret J. Gumowskiego należy do nie- licznych, do których Marszałek Piłsudski osobi- ście pozował”.

(mk)



Pamiętać

Napisany w kwietniu 2014 r., przypomina mi się ten wiersz i narzuca nieodparcie i w tym roku. Myślę, że jest wiele powodów, aby go przywoływać – cztery lata, osiem lat po...



Leszek Długosz

*Pamiętać... to znaczy być dalej
twoim posłańcem*

Tu

– Na tym świecie

Trzymać cię za rękę

– Choć dzień daleki, nie ta okolica

Wciąż trzymać cię za rękę w tamtej chwili

Gdy nieba reset

Ziemia spod stóp leci

– Odtąd na całą twoją wieczność

Pamiętać, to widzieć cię w drobiazgach

W codzienności

Na horyzoncie rozpoznawać sylwetkę

Odwijać cię spod powieki

– Rozpoznawać jak refren

– Jak powracające ptaki

Z niewidzialnym zasiadać przy stole

Wtrącać twój głos do rozmowy

– Pamiętać, to być wiernym

Ponad interes, ryzyko opłacalności

Wszelaką koniunkturę

Niestrudzenie i odważnie pytać

– Skąd zdrada przyszła?

– I czyja wina?

Nie milczeć, kiedy upokarzają twoje imię

Kneblują zdanie

Zadeptują twoje ślady

Pamiętać... to umieć dochować wiary

Że sprawiedliwość, miłość, prawda

To kategorie nieprzynależne do żadnych tu

Układów

Lecz desygnaty zasady innej

Sp o z a

– Nie stąd...

(CzuJNIkiem żywym tego rezonansu jesteś?)

Pamiętać?... Żyć, jakby się miało zaraz

– Zaraz, za chwilę

Po imieniu odczuwać do siebie

A z odwróceniem głowy

– Jakby się miało znowu spojrzeć sobie w oczy?

CENNIK

PRENUMERAT*

	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Mamy szczęście, że zamiast jaloŖo się wku-
rzać, możemy się wku-
rzać... pisać. Wartość dodana jest
taka, że pisać, nie tylko uspokajamy
emocje, lecz dyscyplinujemy
odczucia i myśli.

Dokąd zmierza dobra zmiana?
Odpowiedź zależy od opcji poli-
tycznej, to jasne. I wtedy też odpowiedź będzie „jasna” oraz
„oczywista”. Jednak wśród sympatyków dobrej zmiany, ba,
wśród twardego elektoratu obecnej władzy narasta niepokój.

Gdy zawierucha trwa zbyt długo, to coraz lepiej do nas
dociera, że nadzieja i cierpliwość nie są zasobami nieograniczo-
nymi. Nie krzypmy się zatem bez umiaru naszą wyjątkową
historią (wytrwaliśmy bez swego państwa 123 lata!), bo nie
mamy cierpliwości, wiary ani wytrwałości naszych przod-
ków. Inne czasy.

ZWIĄZEK WYJĄTKOWY

Relacje Prawa i Sprawiedliwości z wyborcami mają szcze-
gólny charakter. To nie jest zwykły polityczny deal, choć tak
właśnie niektórzy traktują 500+.

Wielu wyborców zagłosowało na dobrą zmianę, ufając, że
będzie... właśnie dobra. W głębokim sensie. Ufając, że wresz-
cie będzie „jak trzeba”. Wyborcy bardzo często – nie tylko
przecież w Polsce – wiele spraw rozumieją jedynie intuicyj-
nie. Sercem. Nie tylko twardy elektorat aktywnie włączał się
w kampanie wyborcze, ufając, że politycy będą wiedzieli, co
i jak robić, aby było jak trzeba.

WSKAZALI SZERYFA

Wyborcy nie dali politykom Zjednoczonej
Prawicy mandatu na pełnienie funkcji sze-
ryfa. Wyborcy wskazali szeryfa. Dali mandat
na prawdziwe rządy, czyli na podejmowanie
spraw trudnych.

Wielu polityków z grubsza to czuje, nie-
liczni głębiej. I co z tego? Co z tego, gdy
politycy to tylko ludzie ze swoimi słaboś-
ciami? Ambicje własne, ambicje ponad
wszystko, których istnienia kilka lat
temu nawet sobie nie wyobrażali. Za-
wiść, chciwość, chęć zemsty, chęć
pokazania – żadne środowisko
nie jest wolne od tych nie-
cności. Wszystko to ludzkie,
arcyludzkie.

Ale tym razem wymagania są
większe. Może nawet nie tyle
większe, ile inne. Szeryf ma być
ponad ludzkie słabości. Rządzący
przecież się zobowiązali, że stworzą

Naród nie wybaczy

wyjątkową drużynę. I ona jest
wyjątkowa, bo dostała w depo-
zyt to wszystko, co dla tak wielu
Polaków najświętsze. Depozyt,
który może jednocześnie służyć
za wyjątkowy oręż. Ale w żadnym
wypadku nie może się stać zaso-
bem do roztrwonienia.

To odpowiedzialność, jakiej
nie powierzono chyba żadnej ekipie od 1989 r. To odpowie-
dzialność, jakiej nie podjęła się chyba żadna władza w całym
okresie transformacji. To nie są żarty.

NIE UJDZIE NA SUCHO

W polityce ciągle trzeba coś uładzać, ucierać, ba, rozdrab-
niać – w imię pokoju społecznego, dobra wspólnego. W imię
zewnętrznych uwarunkowań. I tak dalej. O tym nie możemy
zapominać. I prawdziwe wyzwanie polega na tym, aby roze-
znać, kiedy więcej dobra przyniesie urządzenie, a kiedy nie
można odpuszczać. Kiedy przeć jak taran, a kiedy stąpać
ostrożnie. Manewrować.

NIE SZSTAĆ

A co, jeśli sprawy ze swej natury są takie, że nijak uładzić się nie
chcą? Do skutku dyskutować. Rozmawiać. Pytać. Zapraszać.
Nie szstać bezrefleksyjnie obelgami zdrady. Tłumaczyć lu-
dziom swoje kroki i decyzje. Korzystać z przykładów naszych
wielkich rodaków, uczyć się na błędach także przez nich po-
pełnianych. Myśleć nie trzy kroki do przodu, ale rozpisywać
wielowątkowe scenariusze (wzorem np. ekonomii złożoności,
bo czasy nie sprzyjają prostym wykresom). To nie jest łatwe,
bo presja czasu, bo układy sił, bo konteksty niezależne od nas.

Na każdym polityku obozu dobrej zmiany winno ciążyć do
bólu przeświadczenie, że tym razem naród nie
wybaczy porażki. Tym razem to nie są tylko
rachunki między władzą a elektoratem,
gry polityczne z opozycją, gry polityczne
na arenie międzynarodowej. Zobowiąza-
liście się na więcej. Zobowiązaliśmy się na
naprawdę bardzo wiele. Może zbyt wiele?
Nie pocieszajmy się, że nie takie rze-
czy wyborcy wybaczały innym: SLD,
PO, PSL i komu tam jeszcze. Że lu-
dzie zapomną, bo przecież tyle już
zapomnieli, że się rozejdzie po
kosiach, że to kwestia czasu.

Naród polski tym razem nie
wybaczy. Bo być może
drugiej szansy na re-
konstytucję narodu nie
będzie.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



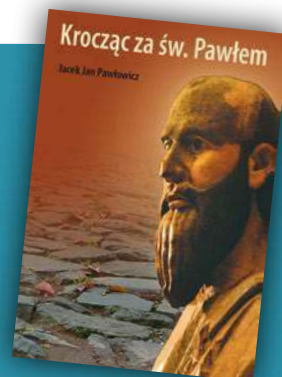
Zaproś „Niedzielę” do swojego domu!

PRENUMERATA „NIEDZIELI” Z WYJĄTKOWYM PREZENTEM



+

„SANTO SUBITO” –
film DVD



JACEK JAN
PAWŁOWICZ

„KROCZĄC
ZA ŚW. PĄWŁEM”

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ „NIEDZIELI”

telefonicznie: tel. (34) 324-36-45,
centrala: tel. (34) 369-43-00
lub (34) 365-19-17

listownie: Redakcja Tygodnika Katolickiego
„Niedziela”, ul. 3 Maja 12,
42-200 Częstochowa

e-mailem: kolportaz.niedziela@niedziela.pl

PRENUMERATA KRAJOWA

400,40 zł	roczna
200,20 zł	półroczna
100,10 zł	kwartalna

Numer konta dla prenumeraty krajowej (złotówkowe):
86 1020 1664 0000 3102 0019 7418

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

K W A R T A L N A

224,90 zł	pocztą zwykłą do krajów Europy
272,87 zł	pocztą lotniczą do krajów Europy
272,87 zł	pocztą lotniczą do krajów Ameryki

Przy zamawianiu prenumeraty zagranicznej półrocznej
należy kwotę za prenumeratę kwartalną
pomnożyć przez 2, a zagranicznej rocznej – przez 4.

Numer konta dla prenumeraty zagranicznej
(dla wpłat złotówkowych):
kod BIC (SWIFT) BPKOPLPW
PL 86 1020 1664 0000 3102 0019 7418

W tytule przelewu należy wpisać rodzaj prenumeraty i edycję diecezjalną, którą zamawiamy.

„NIEDZIELA” NA POCZCIE

TERAZ MOŻESZ NABYĆ TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” TAKŻE W URZĘDACH POCZTOWYCH W CAŁEJ POLSCE.

Miliony do zdrapania!

W WIELKIEJ ZDRAPCE 777
do wygrania nawet
2 000 000 zł



Graj w punktach

